Miss Polonia '89

str. 7

- Głodówka w Poznaniu — str. 3
- Watażka — str. 4
- Superagent Tambor w Polsce — str. 16
- Czy Stalin był antysemitą — str. 10

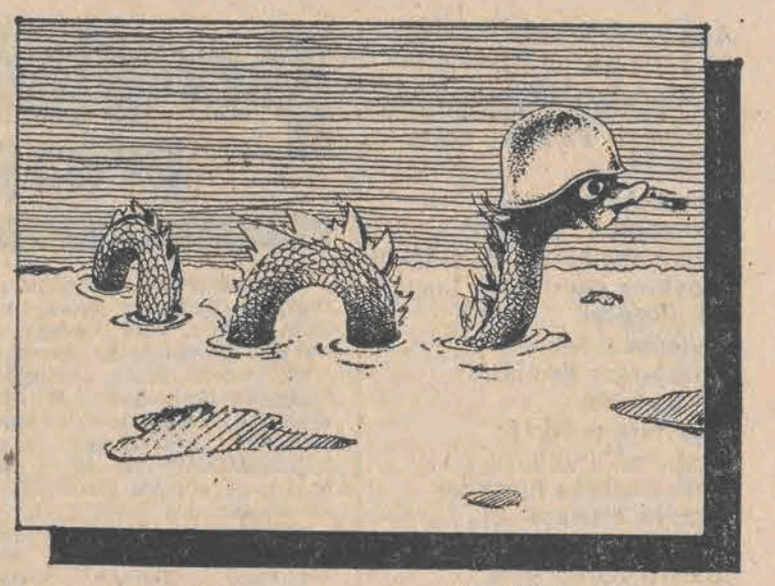

Rys. Dariusz Romanowicz

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 31 (1635) ROK XXXII 30 LIPCA 1989 ROKU CENA 80 ZŁ

Skrajne postawy wobec życia seksualnego, jak prostytucja i celibat, oznaczają przekroczenie właściwej miary.

Seks dla wierzących i niewierzących

MIROSŁAWA SARBIŃSKA

Niektórzy całe życie pozostają w celibacie bez wyraźnego upośledzenia fizycznego czy psychicznego. Popęd seksualny nie jest konieczny dla przetrwania jednostki. Natomiast jest niezbędny dla przetrwania gatunku. Gdyby wszystkie kobiety chciały zachować dziewictwo lub wszyscy mężczyźni zdecydowali się na celibat, to ludzkość przestałaby istnieć. Przyroda musiała więc znaleźć jakieś rozwiązanie tego dylematu. Musiała zachęcić poszczególne jednostki, aby dla dobra gatunku podejmowały „trud" spółkowania. Najlepszym rozwiązaniem jest oczywiście przyjemność wynikająca z kopulacji.

Już w wieku przedszkolnym nabiera dużego znaczenia wrażliwość organów seksualnych.

Małe dzieci odkrywają przyjemność masturbacji i kontaktów płciowych. Wcześnie poznają smak owocu zakazanego, ponieważ spotykają się z negatywną reakcją zaniepokojonych rodziców. W kręgach rówieśniczych dziewczynki i chłopcy pokazują sobie nawzajem organy płciowe, dotykają się nimi — doznają pierwszych podniecających dreszczy.

Jak powszechne są dziecięce eksperymenty seksualne? Otóż połowa indagowanych mężczyzn i blisko 40 proc. kobiet przypomina sobie podwórkowe zabawy o charakterze erotycznym. W głębokiej tajemnicy przed dorosłymi odgrywali role mamy i taty, bawili się w doktora. Nierzadko odbywało się to wśród rodzeństwa. Po wielu latach pamiętają jeszcze, że odczuwali dość intensywną przyjemność. A równocześnie mieli świadomość uczestniczenia w czymś złym, niedozwolonym, potępianym, grzesznym. Niektórzy wyznali później wszystko księdzu podczas spowiedzi, a następnie zamartwiali się, że odpokutują w piekle.

Starsi ludzie słusznie napiętnują dziecięcy seksualizm. Muszą istnieć odpowiednie sankcje. Ale nie wolno reagować zbyt brutalnie. Surowe kary fizyczne i obrazy wiecznych mąk piekielnych mogą spowodować trwałe urazy psychiczne. Najczęściej osoby głęboko religijne cierpią na podświadome lęki i zahamowania.

Poważnym błędem etyki chrześcijańskiej jest niedocenianie hedonistycznej funkcji seksu. Nieraz odnoszę wrażenie, że kapłani uważają życie seksualne za zło ko-

7

Foto: Grzegorz Gałasiński

Okna szczelnie zasłonięte. Na komodzie pali się jedna świeca. W półmroku przy okrągłym stoliku trzymając się za ręce siedzą przewodniczący sądu, naczelnik, Józefaccy i Kuleszowie. Cisza. Chwila napięcia i pojawia się w końcu duch, który mówi:

— *Kochani, dajcie wy mi wszyscy święty spokój. Radźcie sobie sami.*

I znika.

NA GRANICY DWÓCH WOJEWÓDZTW

leży niewielkie miasto G. Przy

To wszystko zdarzyło się w środku Polski — zmieniono jedynie imiona i nazwiska bohaterom.

Ta droga należy do nieboszczyka

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

podziale administracyjnym z roku 1975 nowe granice województw ustalane były najprawdopodobniej za biurkami urzędników w Warszawie i dlatego dochodzi często do tak dziwnych sytuacji jak tutaj. Oto idąc jedną z ulic w pewnej chwili zauważamy, że numeracja domów nagle ulega zmianie. Okazuje się bowiem, że zupełnie niespodzianie znaleźliśmy się we wsi O., ba! jesteśmy już w innym województwie. Tutaj, zaraz na początku wsi, przy drodze z G. do B. stoją obok siebie dwa domy. Między ogrodzeniami okalającymi jeden i drugi budynek jest wolny, 2,5-metrowy pas, który kiedyś, przed wielu laty został nazwany drogą i tak pozostało do dziś.

Droga jak wiadomo musi gdzieś prowadzić, ta ma długości około 15, no może 20 metrów i biegnie do zabudowań gospodarczych państwa Hanny i Tadeusza Józefackich, a owe budynki gospodarcze stoją za domem mieszkalnym Krystyny i Henryka Kuleszów. O drogę wybuchł więc spór. Tym bardziej, że po jakimś czasie okazało się, iż 2,5-metrowy pas ziemi w chwili obecnej nie bardzo wiadomo do kogo należy.

KORZENIE CAŁEJ TEJ SPRAWY SIĘGAJĄ DALEKO

w przeszłość, jeszcze do czasów przedwojennych. Oto w roku 1928 działkę wielkości 447 m², (która obecnie należy do Kuleszów) nabył Zbigniew Kostrzewski. Postawił sobie na niej drewniany dom i nie byłoby całej tej sprawy, gdyby w dziesięć lat później nie wpadł na pomysł, by swoim dobrym sąsiadom, państwu Marciniakom, którzy mieszkali obok, ze swojego gruntu na zasadzie służebności oddać ów nieszczęsny pas ziemi. Odpowiedni zapis z Aktu Notarialnego sporządzonego w roku 1938 brzmi:

„Zbigniew Kostrzewski oświadczył, że aktem niniejszym ustanawia na wieczne czasy drogę o szerokości dwóch i pół metrów przy granicy gruntów małżonków Marciniaków na swoim placu..."

Z drogi tej prawo korzystać mieli tak Marciniakowie jak i Kostrzewski, nie była to więc darowizna, a po prostu tak zwana służebność. Ale czas pędzi do przodu i wszystko zmienia. Przychodzą nowi ludzie, którzy wcale nie muszą się lubić, ustanawianie więc czegoś na wieczne czasy jest tak samo nierealne jak przewidywanie pogody trzy miesiące do przodu. Tak było i w tym wypadku, dopóki bowiem mieszkał tam Zbigniew Kostrzewski wszystko układało się jak najlepiej. Z drogi korzystał on i Marciniakowie, którzy nawet pobudowali sobie za posiadłością Kostrzewskiego budynki gospodarcze, do których najkrócej można było dojechać właśnie przez ów 2,5-metrowy pas ziemi. Wydawało się więc, że idylla będzie trwała rzeczywiście po wieczne czasy.

Po jakimś jednak czasie, a było to już po wojnie, Zbigniew Kostrzewski postanowił sprzedać swoją działkę. Szukał nabywcy i w końcu znalazł. Ziemię, razem z drewnianym domkiem, który się na niej znajdował chciała kupić jego bratowa, Janina Kostrzewska. Sprzedał jej w końcu działkę za niewielkie pieniądze, ale w całym tym handlowym zamieszaniu zapomniał niestety powiedzieć o drodze. A może była to dla niego sprawa tak jasna i czysta, że nie uważał za stosowne w ogóle o tym wspominać? Bo i po co, jeśli przez

6

Wszystko zaczęło się w chwili, gdy do drzwi jednego z mieszkań w domu przy ul. Obrońców Stalingradu zadzwonił siwiutki jak gołąbek staruszek.

Ten jeden szlaban

BOGUMIŁ A. MAKOWSKI

1.

Celniczce, której twarz i wyzywający wzrok zdawały się mówić, że raczej interesuje się kosmetykami, swoją urodą i mężczyznami niż tym, co ludzie wożą w bagażnikach swoich samochodów, mały fiat i jego kierowca wydali się jacyś podejrzani. Wśród turystów rzadkością są samotni Polacy. Ten miał wizę do RFN, ale nie miał towaru na ten kraj, w ogóle nie miał towaru. Jechał przez Czechosłowację i Austrię zamiast krócej przez NRD.

Obeszła faceta wkoło, obejrzała od stóp do głów, próbowała z nim flirtować, a ten nic — był jakoś dziwnie opanowany, na żarty odpowiadał poważnie, jakby zupełnie nie miał poczucia humoru, ponurak jakiś. Nawet propozycję przetrzymania do końca zmiany, a później wspólnej kolacji u niej odrzucił mówiąc, że jeżeli to żart, to bardzo nie na miejscu. Inny może byłby zachwycony, bo przecież na sam jej widok chłopom oczy wychodzą, a jak odezwała się swoim ciepłym, trochę niskim głosem i pochyliła się ukazując duży dekolt pod nie zapiętym mundurem, to już każdy turysta płci odmiennej był ugotowany.

Wsadziła głowę do auta, pogrzebała w rozrzuconych szpargałach. Mapy, jakieś notatki bez znaczenia, kilka filmów do aparatu, papierosy, grzebień — nic specjalnego. Odchyliła przedni fotel — ręce sprawnie obmacywały wykładzinę, tapicerkę, wreszcie tylny fotel. Nie zauważyła nic szczególnego. Już oddała paszport, wypowiedziała grzecznościową formułkę o szczęśliwej podróży, gdy jej uwagę zwrócił jakoś za nisko zawieszony tył ostro ruszającego „malucha". W ostatniej chwili machnęła do czechosłowackiego pogranicznika, żeby opuścił szlaban.

6

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70, 32-89-70

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Problematyka literacka: Henryk Pustkowski.
Problematyka kulturalna: Marian Zdrojewski,
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Andrzej Gębarowski, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Zofia Kędziora, Marek Koprowski, Mirosław Kuliś, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Marek Brzeziński (Paryż — Londyn), Grzegorz Gazda, Janusz Janyst, Andrzej Karolczak Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Wasyl Kocznow (Moskwa), Włodzimierz Krzemiński, Bogumił A. Makowski, Zenon J. Michalski, Adam Ochocki, Jerzy Panasewicz, Dariusz Romanowicz, Maciej Świerkocki

Ogłoszenia: Biuro Reklam i Ogłoszeń Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5, tel. 32 59-11.
Organizacja reklamy: **Andrzej Bartosiewicz**, tel. 36 80-99
Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada
Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe, RSW „Prasa-Książka-Ruch" 91-103 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5
DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa Książka-Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa Książka Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa Książka Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa Książka Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-odbiorczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa Książka-Ruch" 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa Książka Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 23 00-958 Warszawa konto PKO BP XV Oddział w Warszawie nr 1658 201045 139 11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykła jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Termin przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego

Zam. 1477 D-10

Przegląd prasy

Społeczeństwa zachodnioeuropejskie stają się coraz bardziej laickie. W bawarskiej wsi Schäftlarn tylko co dziewiąty mieszkaniec regularnie uczęszcza do kościoła. W rozmowie z Wojciechem Waligórskim dla „PRZEGLĄDU KATOLICKIEGO" (nr 29) proboszcz parafii ks. Anton Fürstenberger skarży się:

„Większość oficjalnie jest w Kościele, ale już się nim nie czuje. Brakuje osobistej więzi z Bogiem. I boję się następnego etapu, który zresztą już się zaczyna, że dzieci tych, którzy katolikami są tylko formalnie, przestaną w końcu mieć jakikolwiek z nami związek.

Podstawową przyczyną jest dobrobyt, wysoki standard życia. Dobrobyt, który czyni niepotrzebnymi takie słowa jak: proszę i dziękuję, gdyż umożliwia kupno dosłownie wszystkiego. Przekonanie, że się posiadło możliwość zrealizowania każdego marzenia. Dobrobyt ten powiązany jest z bardzo szerokim obszarem wolności. (...)

Dopiero, gdy wszystko się wali, gdy umiera ktoś najbliższy, gdy samemu wreszcie przyjdzie opuścić ten świat... — wtedy dopiero przypominają sobie, w co wierzyli w dzieciństwie. I wtedy przychodzą do kościoła. Boję się tylko, czy będzie miało gdzie wrócić następne pokolenie, dla którego Kościół jest już zupełnie obcy".

Ludzie nie mają zaufania do Kościoła, ponieważ widzą w nim władzę zagrażającą ich wolności. Dlatego ksiądz Fürstenberger stara się parafianom niczego nie narzucać. Nie wymaga, żeby przychodzili na specjalne rozmowy i oficjalne kursy, których często nie rozumieją.

TAK BYŁO

Kryzys życia religijnego najwcześniej rozpoczął się we Francji, bo już od połowy XVIII wieku. Wielka Rewolucja Francuska tylko przyspieszyła laicyzację. Pisze o tym znany historyk Gerard Cholvy w artykule opublikowanym przez katolicki tygodnik społeczny „ŁAD" (nr 28).

„Począwszy od 1792 roku oficjalna, odgórna laicyzacja narasta na sile. Przyjęto nowy kalendarz, wprowadzono rozwody, rozpoczęto tworzenie państwowych kultów oficjalnych: kultu Rozumu, a następnie Bytu Najwyższego. Rozpoczęto prześladowanie duchownych odmawiających złożenia przysięgi oraz nie chcących uznać wprowadzonej „karty kazań". Deportacja księży sprzeciwiających się (dekrety z maja i sierpnia 1792 roku) doprowadziła do opuszczenia kraju przez ponad 30 tysięcy kapłanów. (...)

Po upadku żyrondystów władza polityczna przeszła w ręce zwolenników energicznej walki z „fanatyzmem" to znaczy Kościołem, oraz „zabobonem" — religią ludową. Podczas terroru jakobińskiego (1793—1794) podjęta została na bardzo szeroką skalę świadoma akcja dechrystianizacyjna. Powszechnie zabraniano duchownym nauczania, zabierano nawet plebanie, które zamieniano na szkoły. Wielu księży, a nawet rabinów zmuszano do przejścia do stanu świeckiego. Propagowano małżeństwa kleru. Wszystkich duchownych, którzy w jakikolwiek sposób przeciwstawiali się, deportowano bądź skazywano na śmierć. (..)

Aby „oczyścić" chrześcijańską przeszłość, niedziele zamieniono na dekady, a wszystkie święta liturgiczne zastąpiono świętami rocznic rewolucyjnych, zwierząt czy kwiatów. Nawet rewolucja sowiecka nie dokonała niczego podobnego"

Polityka ta okazała się dość skuteczna. Jeden z kardynałów pisał w 1801 roku, że lud w miastach jest zupełnie obojętny, a wiejski przeważnie obojętny religijnie. Podobnie arcybiskup Bordeaux stwierdzał, że ludność jest całkowicie zmaterializowana i obojętna religijnie. W stolicy nawet większość kobiet nie znała żadnych modlitw.

„Rewolucja Francuska stanowiła więc przypieczętowanie i rozwinięcie do granic absurdu nurtów oświeceniowych. Spowodowała dechrystianizację szerokich warstw ludowych Francji, czego skutki żywe są po dzień dzisiejszy. Jednocześnie jednak umożliwiła powstanie wielu nowych form pobożności oraz metod pracy apostolskiej, które owocować będą w przyszłości. W każdym razie nie możemy zapominać, że Francja nie jest ani Irlandią, ani Polską, a jedną z najbardziej charakterystycznych cech jej katolicyzmu jest niejednorodność i wewnętrzne zróżnicowanie".

PREKURSORZY TOTALITARYZMU

W ocenach Wielkiej Rewolucji Francuskiej pojawia się dylemat: liberalizm czy totalitaryzm? Emanuel M. Rostworowski odnosi drugie określenie do kilkunastu miesięcy dyktatury jakobińskiej. W ciekawym artykule na łamach „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" (nr 29) podkreśla, że cnotliwy dyktator Maksymilian Robespierre był uczniem i wielbicielem Jana Jakuba Rousseau. Natomiast w ideologii Rousseau zawarte są pierwiastki totalitaryzmu: jakobińskiego, komunistycznego i nacjonalistycznego. Skodyfikował on bowiem dogmaty religii obywatelskiej i głosił, że niewierzących w nie należy wygnać z państwa, a naruszających karać śmiercią...

„Takie nauki mógł wyczytać u swojego mistrza Maksymilian Robespierre. A za naszych czasów studiujący w Paryżu młody Pol Pot wpierw napisał rozprawę o doktrynie Russa zanim na czele czerwonych Khmerów podjął w Kambodży swój eksperyment ludobójczego „powrotu do natury". Oczywiście pochopnym byłoby mniemanie, jakoby bez Jana Jakuba nie było Pol Pota, a bez robespieryzmu nie było bolszewizmu. Jednakże Russowi i Robespierre'owi przypada prekursorstwo w dziedzinie myśli i czynów. Byli pierwsi.

Aczkolwiek Jan Jakub ubolewał nad fatalną skazą cywilizacyjną prywatnej własności, jakobini nie byli jeszcze komunistami. Jednakże w praktyce ich rządów występują zjawiska określane przez historyków jako „socjalizm wojenny", a więc napędzany terrorem ścisły nadzór państwa nad całą zmilitaryzowaną gospodarką (konfiskaty, przymusowe dostawy i dystrybucje dóbr i towarów, reglamentacja cen i płac, wydawanie chleba i mięsa na kartki itp.). „Socjalizm wojenny" to swojskie dla bolszewików pojęcie. Swojską też była dyktatura partii kierującej wszystkim za pomocą komitetów i komisarzy, totalna rozprawa z religią, wręcz surrealistyczna nowomowa języka urzędowego i gazet, uznanie poczynań kontrrewolucyjnych za najcięższą zbrodnię i całkowicie arbitralne orzekanie o tej zbrodni oraz o węszonej wszędzie zdradzie przez Trybunały Rewolucyjne, rozrzutnie szafujące karą śmierci. Za czasów Stalina swojskim się stało również wysyłanie pod nóż gilotyny elity rewolucjonistów, nie nadążających za dyktatorem czy też zagrażających jego wszechwładzy: żyrondystów, hebertystów, dantonistów".

Na temat Wielkiej Rewolucji Francuskiej warto również przeczytać rozmowę Ewy Wilcz-Grzędzińskiej z prof. Andrzejem Zahorskim w „TYGODNIKU DEMOKRATYCZNYM" (nr 29). Wskazuje on pozytywne i negatywne skutki. Do pierwszych zalicza wprowadzenie reform, Deklarację Praw Człowieka i Obywatela, powstanie uczuć narodowych (nacjonalizm i patriotyzm), a do drugich — przelanie niewinnej krwi w imię jakichś utopii, zniszczenie wielu dzieł kultury, zaprzepaszczenie dorobku naukowego, załamanie życia duchowego, rozluźnienie obyczajów. Jedni uważają dziś tę rewolucję za początek, inni za koniec dziejów nowożytnych.

PLAN JERZEGO URBANA

Nad żywiołowymi procesami rewolucyjnymi bardzo trudno jest zapanować. Świadczy o tym rozwój wydarzeń w Polsce od sierpnia 1980 r. do grudnia 1981 roku. Być może jednak stan wojenny nie byłby potrzebny, gdyby politycy po obu stronach mieli więcej wyobraźni i zdecydowali się na kompromis. Z ciekawą propozycją wystąpił już 3 stycznia 1981 roku Jerzy Urban, który wówczas był dziennikarzem „Polityki". W liście skierowanym do I sekretarza Komitetu Centralnego PZPR, Stanisława Kani, dokonał oceny sytuacji i przedstawił plan ratowania kraju. Pisał między innymi:

„Wyobrażam to sobie jako stworzenie koalicyjnego rządu z minimalną większością PZPR-owców i to najbardziej strawnych dla społeczeństwa, a z udziałem reprezentatywnych katolików i umiarkowanych ludzi z kręgu „Solidarności". Koalicje takie musiałyby powstać równolegle we władzach województw, miast i gmin".

List red. Jerzego Urbana do Stanisława Kani opublikowała obecnie paryska „KULTURA" (nr 501) i przedrukowała „POLITYKA" (nr 29). Autor zaproponował zawarcie umowy koalicyjnej, rozwiązanie Sejmu, zorganizowanie demokratycznych wyborów ze wspólną listą, podjęcie prac nad nową konstytucją. Czytamy dalej:

„Powołanie koalicji, na co katolicy chyba pójdą, widząc tu swoje szanse, no i szanse ratowania przed interwencją pogrążającego się w chaosie kraju, byłby to oczywiście bardzo ryzykowny fakt dokonany. Operacja taka ma sens, jeżeli nasze kierownictwo uzna, że ryzyko warto ponieść, bo dryfowanie w ślad za zdarzeniami jest jeszcze ryzykowniejsze. (...)

Tu trzeba chyba kalkulować jak lekarz przed ciężką operacją: czy większa jest szansa, że pacjent przeżyje, gdy się go zoperuje, czy kiedy operacja się nie odbędzie. W chirurgii, gdy jest np. tylko 15 proc. szansy, że pacjent operację przeżyje — kroi się go na pewno. Rozumiem jak trudno jest postawić wszystko na jedną kartę, słabą kartę i nieprzyjemną kartę. I że łatwiej jest czekać w nadziei, że jakoś to się z czasem uspokoi, ale chyba potrzebna jest dziś ta chirurgiczna śmiałość, to zagranie losem Polski. (...)

Jestem człowiekiem skrajnie niechętnym katolikom, ich programowi, wyobrażeniom, mentalności, ale — co wygląda na paradoks — w rządach koalicyjnych widzę najlepszą szansę odrodzenia znaczenia i siły PZPR, oczywiście PZPR bardzo zmodyfikowanej programowo i pod względem stylu działania. W tej chwili PZPR dźwiga całą odpowiedzialność rządową, a inne siły, stojąc na zewnątrz, krytykują i naciskają swobodnie a nieodpowiedzialnie. Rząd koalicyjny sprawi, że część tych sił, zbierając poklask z tytułu swej opozycyjnej pozycji, zacznie współodpowiadać, więc zbierać cięgi od społeczeństwa. Społeczeństwo zobaczy — bo przecież sprawy w Polsce nie polecą nagle gładko — że to nie immanentne wady komunistów sprawiają kiepskie rządzenie. Upadnie więc wyobrażenie, że ci inni z ugrupowań katolickich, z „Solidarności" są lepsi. Pogorszy się ich pozycja wobec społeczeństwa, znikną mity istniejące w społeczeństwie, że wszyscy są świetni oprócz komunistów. Jeśli PZPR stanie się siłą twórczą pod względem myśli programowej, atrakcyjną — może to być podstawą do odbudowy pozycji partii w społeczeństwie jako ugrupowania bardziej pragmatycznego, lepiej otwartego na współczesny świat, nowoczesnego. Działanie w układzie koalicyjnym, walka o wpływy odmłodzi partię, uideowi, sprzyjać będzie wewnątrzpartyjnym przemianom. Odpadną karierowicze, ta cała partyjna urzędokracja. (...)

W każdym razie sądzę, że ratunek leży w dokonaniu operacji politycznej w wielkim stylu, spektakularnej i że polityka wleczenia się w ogonie wydarzeń, to ustępowania, to opierania się i mówienia „nie" żeby jutro znów ustępować, niczego dobrego nie przyniesie. Owa operacja w wielkim stylu musiałaby być, sądzę, bardzo śmiała. Źle by było, gdyby jej zakres został zminimalizowany, żeby była wypadkową opinii poszczególnych członków kierownictwa i ich lęków, żeby była kunktatorsko okrojona i połowiczna. Myślę, że idąc na coś takiego, trzeba by było narzucić całemu zespołowi kierującemu partią i państwem plan nie podlegający korekturom i obcięciom, choćby to spowodowało kryzys personalny. Taka operacja musi być bowiem śmiałym i pełnym wyobraźni skokiem do przodu, nie zaś kolejnym ustępstwem cząstkowym".

Okazało się, niestety, że kierownictwo partii nie było zdolne do przeprowadzenia tak radykalnej operacji. Na to trzeba było czekać ponad osiem lat.

E. L.

Z różnych stron.

Czy tylko nieporadność?

Stało się już w Łodzi złą tradycją, że jeśli pod koniec tygodnia zbiegają się dni wolne od pracy, to musi koniecznie czegoś brakować. I najczęściej brakuje... chleba. Teraz w ogóle wszystkiego brakuje: zapałek, soli, mąki, cukru, żyletek i... (tu każdy może sobie wstawić to, czego nie mógł ostatnio dostać). Do tej listy braków w piątek, 21 lipca 1989 roku, w przeddzień Święta Lipcowego w Łodzi trzeba dopisać również chleb. Brakowało go już w godzinach rannych, a grubo po południu w jednych sklepach nie było nawet śladu tego, co się nazywa pieczywem, a w innych stały długie kolejki, bo akurat chleb dowieźli. Ludzie przecież muszą coś jeść — tej banalnej prawdy jakoś nie potrafią zrozumieć ludzie, którzy odpowiadają za zaopatrzenie sklepów w chleb i inne artykuły spożywcze.

W czwartki odbywają się posiedzenia Sztabu Żywnościowego. Nie wiem, czy są to posiedzenia potrzebne, ale wiem, że mamy sztab i nie mamy chleba. Ciągle powtarzam, że „centralne" — w tym wypadku wojewódzkie — zawiadywanie pieczeniem chleba jest bez sensu i się nie sprawdza. Przeciwnie, sprawdza się jedynie nieudolność tego sposobu zarządzania. Może by więc rozwiązać Sztab Żywnościowy, a zacząć wymagać od kierowników sklepów, żeby spełniali należycie swoje obowiązki i stworzyć im warunki do takiego działania oraz możliwość zarabiania na wypełnianiu obowiązków. Czy to takie trudne?

Tego dnia, gdy brakowało w Łodzi chleba obradowała Rada Narodowa Miasta Łodzi. Ciekawym, czy zajmowano się jedynie świętowaniem, czy też zastanawiano się nad tradycyjnym brakiem chleba przed 22 Lipca? Może należałoby wreszcie wyciągnąć z tego jakieś wnioski?

WITOLD BOROWY

Z sądu

Wciąż nie możemy zafundować Czytelnikom mrożących krew z żyłach opowieści z rozgrywanego przed Wysokim Obliczem Sądu Wojewódzkiego w Łodzi procesu „zatytułowanego" I C 27/89 czyli „Andrzej Szymczak przeciwko Lucjuszowi Włodkowskiemu i innym o ochronę dóbr osobistych". Szanowny powód, uznawany w niektórych kołach za sądowego specjalistę raczył zawiadomić Wysoki Sąd, iż na razie jest chory, a następnie wybiera się na urlop. Niestety, w sprawach z powództwa cywilnego, trzeba się liczyć i z takimi okolicznościami. Wysoki Sąd mógł więc tylko na lipcowej rozprawie informacyjnie przesłuchać dwoje pozwanych, między innymi Lucjusza W. Szef „Odgłosów" spisał się wspaniale, w krótkim monologu prezentując strukturę organizacyjną redakcji, uwypuklając specyficzny charakter pracy dziennikarskiej ze szczególnym uwzględnieniem reguł gry z osobami współpracującymi. Kwestie zaufania do autora, prawo wypowiadania się na łamach przysługujące każdemu, jak wreszcie sprawa charakterystycznych cech niektórych form dziennikarskich enuncjacji — zakończyły przyjemny, kilkunastominutowy dialog redaktora naczelnego z Wysokim Sądem. Nie ogłoszono komunikatu, ale Obie Strony wydawały się zadowolone...

DARIUSZ D.

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— Zerwały mnie z łóżka odgłosy detonacji. Pierwsze bomby spadły na Łódź. Bombardowano Widzew, Dworzec Kaliski, Marysin, Julianów. Niemieccy lotnicy celowali w odlewnię Johna. Pocisk spadł w pobliżu, rozwalił budynek mieszkalny na dzisiejszej ulicy Mickiewicza. Ulicami mknęły na sygnale karetki pogotowia. Rannych zwożono do szpitala wojskowego. W niedzielę spotkaliśmy się w redakcji w uszczuplonym gronie, w poniedziałek przyszło już tylko kilku kolegów. Wielu w popłochu wyjechało — cykl wspomnień ADAMA OCHOCKIEGO.

— Nie upłynęło nawet 5 minut od ogłoszenia przez Mikołaja Kozakiewicza wyniku głosowania na prezydenta PRL, gdy rzecznik opozycji Janusz Onyszkiewicz wyjmował z szarej koperty dwie kartki papieru. Obydwie w niebieskim kolorze z czarnym nadrukiem z lewej strony i jednakowymi podpisami — Lech Wałęsa. To oświadczenie przywódcy „Solidarności" w związku z wyborem Wojciecha Jaruzelskiego oraz pierwszy list od niego — reportaż MIROSŁAWA KULISIA.

— W Sierakowie i Ciasnej rozpaliły się namiętności. Naczelnik sprzedał zamek myśliwski. Przedwojennych właścicieli o zdanie nikt nie pytał, bo i ślad po nich zaginął — reportaż ZBIGNIEWA GRZEGORZEWSKIEGO.

— Właścicielka ma dokumenty dające całkowite prawo do domu. Ale do środka nie może się dostać. Pan S. twierdzi, że bał się wpuścić panią Z. Opowiada, że kiedyś wtargnęła razem z milicjantem i zdemolowała meble zrzucając je ze schodów — reportaż ZOFII KĘDZIORY.

— Prawdziwy Jaś Kunefał, czyli Stanisław Piętak, był przystojnym mężczyzną, o dużych pięknych oczach i gładkiej cerze. Gdy mówił swoje wiersze, wydobywał z nich urzekającą pastelową miękkość. Uśmiechał się całą twarzą. Wojnę spędził w chacie ojców w Wielowsi pod Tarnowem — pisze TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI.

— Z inicjatywy Łazara Kaganowicza w 1934 roku Józef Stalin wydał zgodę na utworzenie w Kraju Chabarowskim jedynego wówczas na świecie państwa żydowskiego — Żydowskiego Obwodu Autonomicznego, który istnieje do dziś ze stolicą w Birobidżanie. Zajmuje obszar 36 tys. km. kw. i jest półtora raza większy niż państwo Izrael — pisze RYSZARD BADOWSKI.

— Niedługo stanie się tradycją, że w środy, bez pytania, londyńczycy będą wyciągali rowery z komórek i spokojnie pedałowali do pracy. Tradycja rzecz święta — korespondencja MARKA BRZEZIŃSKIEGO z Londynu.

Chcieli wstrząsnąć resortem — czy im się to udało?

Herbatka z witaminą

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

Dla opinii publicznej ma to być jak ostatni krzyk rozpaczy: jeżeli oni, ludzie powołani do leczenia, idą na ryzyko utraty własnego zdrowia — to znaczy, że gorzej już być nie może.

W poznańskim szpitalu onkologicznym zamknięto z braku pielęgniarek oddział ginekologii. Z tego samego powodu likwiduje się obecnie jeden z oddziałów chirurgii. Nie ma podstawowego sprzętu i aparatury, brakuje lekarstw Lekarze, zduszeni przez inflację, spadają do roli inteligenckich pariasów. Pod koniec czerwca br. wielu z nich dość ma biernego przyglądania się, jak służba zdrowia się wali. Chcą wstrząsnąć resortem, uświadomić ogółowi, iż niezbędne są szybkie i radykalne środki zaradcze. Decydują, że postawią na szali własne zdrowie, aby w przyszłości móc lepiej ochraniać cudze.

— Długo zastanawialiśmy się — wyjaśnia Artur Gromadzki, młody chirurg, czuwający nad stanem głodujących — jaką wybrać formę protestu. Niektórzy proponowali: zrezygnować z dyżurów, nie przyjmować godzin nadliczbowych. Odrzuciliśmy te pomysły, gdyż godziły one w pacjentów. Głodówka nie pogarsza opieki nad chorymi, bo koledzy, którzy nas zastępują, pracują po 14—16 godzin na dobę. Tak to ułożyliśmy.

Wybrali też miejsce: podcienie przed frontem okazałego budynku Urzędu Wojewódzkiego w Poznaniu, po obu stronach głównego wejścia. Jest to dość ruchliwy i reprezentacyjny punkt miasta, oddalony przy tym o kilkanaście metrów od jezdni, z parkiem naprzeciw. Są więc doskonale widoczni w dzień, a i w nocy mają znośne warunki do spania.

Byłyby lepsze, gdyby nie wieczorne wizyty pijaków, urządzających awantury. Chyba są nasłani — podejrzewają. W parku zaś — wskazują głowami na drugą stronę jezdni — rozsiadają się co wieczór dziwni osobnicy. Na ogół są spokojni, tylko pilnują z daleka i obserwują, ale na przykład w czwartek, gdy przechodziła alejką kobieta, co dostarcza protestującym herbatę w termosach, ożywili się nagle. Jeden doskoczył, wyjął zza kurtki niby kij ni pałkę, i tak jej przyłożył, że będzie się kurować przez miesiąc.

Po tym incydencie dostali z „Solidarności" na noc ochronę dwudziestu chłopa Niektórzy, zwłaszcza młodsi, palili się wprost, aby było ich od kogo ochraniać. Na szczęście, skończyło się na wypatrywaniu przeciwnika.

Leżą teraz na materacach dmuchanych, wzdłuż ściany: lekarze, pielęgniarki i salowe personel pomocniczy ze szpitala onkologicznego i z pogotowia. Przykrywają się kocami, bo zimno i wieje od parku Czytają książki, słuchają radia Są i tacy, co z ożywieniem rozmawiają, opowiadają sobie dowcipy. Nie widać po nich, żeby głodowali. Mówią, że to normalne po kilku dniach, jeśli wypija się płyny. Człowiek czuje się najgorzej pierwszego dnia, a potem jest jakoś lekko, tylko przy wstawaniu trzeba uważać, bo można się zachwiać. Wszyscy przyznają, że wytworzył się nastrój wspólnoty. Jeśli ktoś musi odejść, bo osłabnie, albo ma złe wyniki (badają się codziennie), albo musi zrobić coś z rodziną, z dziećmi — to, gdy tylko może — powraca, jakby coś go do grupy ciągnęło z powrotem.

W ten sposób, choć jedni odchodzą, powracają drudzy, a zaczynają trzeci, więc jest ich — głodujących — zawsze ponad dwudziestu. A tych, co są od początku, jest dwunastu. Jak apostołów — śmieje się któryś.

Jest także z nimi dwudziestoletni chłopak, bojowo nastawiony, co rozpoczął głodówkę solidarnościową, jako potencjalny podopieczny służby zdrowia. Wczoraj i przedwczoraj przygrywał na gitarze, śpiewając im piosenki Kaczmarskiego. A dzisiaj, od rana, odłożył gitarę i brzdąka tylko z rzadka. Leży na wznak, twarz ma pobladłą, okoloną rudawą brodą.

— Z tym chłopcem nie jest dobrze — mówi chirurg. — Zrobimy mu badania. Jeśli będzie trzeba — odwieziemy. Szkoda, bo nas tutaj bardzo rozweselał.

Gromadzki tłumaczy, jakie są objawy po kilku dniach takiej głodówki, gdy niczego się nie je, a tylko wypija płyny, z witaminami lub z solami mineralnymi, żeby choć częściowo uzupełnić ubytki: otóż, występują zaburzenia w trawieniu, objawiające się niekiedy zgagą, następuje spowolnienie ruchów i drżenie mięśni, a w miarę upływu czasu — mogą się zdarzyć zaburzenia akcji serca. Dziś jednego odwieźli spod Urzędu, bo wykryli, iż ma za duże zgęszczenie krwi, niedobór białka, zakwaszenie organizmu, co może doprowadzić do uszkodzenia nerek. Głodował od siedmiu dni, najpierw w upale, potem na zimnie.

Od czterech dni głoduje pan Matuszczak, który jest tutaj w zastępstwie swej siostry, pracującej w pogotowiu. Nie mogła przyjść sama, bo ma na głowie trójkę dzieci, więc on się zaofiarował. Mówi z drżeniem w głosie, że kończy jutro, w sobotę, 50 lat Mówi też, że wyprawi chyba jutro skromne urodziny. Przy herbacie z witaminą.

Dzisiaj jest piątek, dziewiąty i ostatni pełny dzień głodówki, ale oni jeszcze o tym nic nie wiedzą. „Dyrekcja" — jak mówią żartobliwie o lekarzach, stojących na czele protestu — wyjechała na rozmowy w Warszawie. Na miejscu pozostała Zofia Bartoszewska z wielkopolskiej „Solidarności" służby zdrowia. Głoduje już siódmy dzień, choć początkowo wcale nie zamierzała się przyłączyć. Przeszła tylko z „białym pochodem" przez miasto, no i okazało się, że będzie tu potrzebna. Bartoszewska ma za sobą długi związkowy staż w „Solidarności", jeszcze z 1981 roku. W 1986 roku otrzymała wypowiedzenie z ZOZ Grunwald w Poznaniu, gdzie była pielęgniarką. Za bardzo się udzielała w nielegalnym wówczas związku. Uważa, że prędzej czy później musiało dojść do protestu. Była tylko kwestia formy, jaką on przybierze. Oni — wskazuje na krzątającą się wokół młodzież z NZS Akademii Medycznej, chętną do wszelkiej pomocy — chcą w tym kraju pozostać i pracować w zawodzie. Nie zamierzają emigrować.

— Niech pan spojrzy, jaka to wspaniała młodzież. A jaka ich może czekać teraz przyszłość?

Pielęgniarka prosto po szkole dostaje teraz około 40 tys. zł. Po kilkunastu latach ciężkiej pracy, zarobi razem z nadgodzinami najwyżej 80 tys. zł. To dlatego jest coraz mniej pielęgniarek. Ubywa także lekarzy, bo nie wszyscy się uparli, żeby pozostać w Polsce. Chirurg po dwóch latach pracy w szpitalu onkologicznym (gdzie, z uwagi na szkodliwe warunki, płacą nieco więcej) dostaje 64 tys. zł zasadniczej pensji. Dorabia oczywiście dyżurami w szpitalu i na pogotowiu, czyż mógłby inaczej utrzymać żonę i dziecko? W sumie, pracując jakby na półtora etatu „wyciągnie" do 120 tys. zł. Wystarczy tylko na podstawowe potrzeby. A meble? A dokształcanie, a I stopień specjalizacji?

— Na czytanie — mówi Gromadzki — jest czas w autobusie. Czasem pożyczy się jakąś książkę z konsulatu amerykańskiego. My prawie nic nie sprowadzamy...

Pielęgniarki i lekarze zgodnie powiadają, że te przyobiecane, zaliczkowe 28 tys. zł w sierpniu, to przy obecnej skali inflacji po prostu jałmużna. Jeśli nadal będą się wlekli w placowym ogonie, a placówki służby zdrowia będą tak skąpo finansowane, pozostanie już tylko jeden kierunek — ku ostatecznej katastrofie zdrowotnej.

Tego samego zdania jest radny Michał Downarowicz, przewodniczący Komisji Gospodarki Wodnej i Ochrony Środowiska Miejskiej Rady Narodowej w Poznaniu. On również głoduje pod podcieniami — od czwartku. W środę Prezydium MRN uznało, że jeśli tylko zostaną w budżecie jakieś nadwyżki — pójdą na szpital onkologiczny. Będzie tego oczywiście za mało. Radny twierdzi, że na doraźną pomoc, polegającą na uzupełnieniu niezbędnego sprzętu, konieczny jest wydatek rzędu 2 mln marek (zachodnich). Taka jest skala zaniedbań w jednym szpitalu.

A w skali miasta? Szpitalem onkologicznym zajmował się już od maja, gdy usłyszał o katastrofalnym stanie technicznym zakładu radioterapii. Z rozmów z odpowiedzialnymi lekarzami odniósł wtedy wrażenie, że sytuacja zdrowotna w Poznaniu jest fatalna. Miasto odczuło wyraźnie skutki Czernobyla. W pierwszych dwóch miesiącach tego roku zachorowalność na białaczkę i nowotwory kości była większa, niż za cały ubiegły rok! A inne gałęzie medycyny? Leczy się od 15 lat w poznańskiej klinice nefrologii. Widzi, w jakich warunkach dokonuje się dializ. Na jego oczach — mówi — ta klinika rozpada się materialnie. Gdzie indziej, jeśli jest lepiej, to niewiele.

Downarowicz nie uważa więc wcale, że radni zrobili już dla służby zdrowia w Poznaniu wszystko, co mogli. Nie chodzi nawet o te złotówki:

— Jestem zawstydzony ich postawą. Głodówka trwa dziewiąty dzień i nie zjawił się nikt z Miejskiej Rady, a w szczególności — nikt z Komisji Zdrowia MRN. A to jest przecież psim obowiązkiem radnego, zapoznać się na miejscu z przebiegiem wypadków. Nawet, jeśli nie może pomóc.

* * *

Po powrocie delegacji z Warszawy, zapada postanowienie o warunkowym zawieszeniu (do najbliższego wtorku w południe) protestu głodowego. W tym czasie oczekiwać będą, że Rada Ministrów zatwierdzi osiągnięte warunki porozumienia. Głodówka zostaje więc przerwana w sobotę 15 lipca w południe — po 10 dniach trwania.

We wtorek 18 lipca około godz. 12 w siedzibie Tymczasowego Zarządu Regionu Wielkopolska NSZZ „Solidarność" zbiera się ponad 100-osobowy tłumek lekarzy, pielęgniarek, studentów, działaczy związkowych. Oczekują na decyzję — strajkować dalej, czy nie? Za oknem zacina ulewa, jest trzynaście stopni. Człowiek aż się trzęsie na samą myśl, że mógłby w tych warunkach powrócić na materac przed Urzędem. Pomimo to, bezustannie krążą dowcipy. Częstują się wodą mineralną (to nasze główne danie — śmieją się), wykrzykują uwagi na temat własnej i cudzej tuszy, nadwerężonej przez głodówkę. Z godzinnym opóźnieniem nadchodzi wiadomość:

— Zadzwoniła do Aliny Pieńkowskiej pani minister. Przekazała informację, że Rada Ministrów przystała na warunki finansowe, a resort zaakceptował pozostałe — słuchajcie teraz uważnie, jakie to są punkty, bo będziecie je musieli powtarzać w swoich placówkach!

Następują szczegóły. Dwukrotne zwiększenie sumy przeznaczonej na płace — ze 145 do 290 mld zł. Wypłata w pierwszych dniach sierpnia 56 tys. zł — zaliczkowo, na poczet przyszłej, systemowej już podwyżki. Docelowo, płace w służbie zdrowia mają być na poziomie 97 procent średnich zarobków w sferze materialnej. Kiedy to będzie wyegzekwowane — nie bardzo jeszcze wiadomo, bo rząd nie ma pieniędzy. Ważne jest więc, iż zaliczki są z „góry" — a nie, jak dotąd — z „dołu", w formie wyrównania za ubiegłe miesiące.

Dla większości zarobki są bardzo ważne, ale...

...— Dla mnie najważniejsze jest to, że pozbędziemy się wreszcie nomenklatury — mówi profesor Akademii Medycznej, który pragnie zachować anonimowość. — Porozumienie przewiduje, że przy wystawianiu kandydatur i przyjmowaniu na ważne stanowiska w służbie zdrowia, będzie się brało wyłącznie pod uwagę względy merytoryczne, znajomość rzemiosła, nie zaś względy polityczne. Jeśli będzie to przestrzegane, oznacza początek nowej ery...

Kto wie, czy ten punkt uzgodnionego porozumienia nie jest najważniejszy również dla pacjentów?

Z tego bowiem, że lekarze i pielęgniarki staną się nieco mniej biedni, niewiele jest pociechy dla chorych. Nadal, tak jak dotąd, obywatel z nowotworem złośliwym czekać będzie na łóżko w szpitalu onkologicznym od 2 do 4 miesięcy, a obywatel z guzem „łagodnym" — nawet do pół roku. A przecież szpital w Poznaniu nie jest żadnym wyjątkiem.

Collage: Grzegorz Gałasiński

Z tej ziemi.

Nie będzie wakacji

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

20.07.1989.

1.

Wakacje formalnie mamy, ale wakacje zawsze kojarzyły się z „ogórkami", spokojem, lenistwem, pracą na „pół gwizdka", upałami, letnią nudą, luzem w tramwajach i spokojem w życiu politycznym. W 1989 roku upały już były i mamy letnie chłody. Na Kasprowym Wierchu spadł śnieg i wieje silny wiatr. Nad morzem silne wiatry. W centrum pada. W tramwajach wcale nie ma luzu, nie ma też nudy. Właśnie wczoraj uporano się z „prezydenckim kryzysem", ale przed nami powołanie rządu, co — przewiduję — nie obejdzie się bez kolejnego kryzysu politycznego. I jak tu mówić o wakacjach? Nie — w 1989 roku wakacji w polityce — i nie tylko — nie będzie!

2.

Mamy już prezydenta. Wojciecha Jaruzelskiego wybrano 270 głosami, co uważam za spore zwycięstwo, gdyż zanosiło się na zupełnie inny wynik. I niektórzy członkowie Zgromadzenia Narodowego byli takim wynikiem zaskoczeni i rozczarowani. Spodziewali się zupełnie czegoś innego. Moim zdaniem — fakt dokonania wyboru trzeba uznać za pierwsze parlamentarne zwycięstwo koalicji, wśród której zresztą — jak to było widać — nie było jednolitego stanowiska w tej konkretnej sprawie.

Najbardziej zaskoczyło mnie stanowisko ZSL, które zaprezentował Aleksander Bentkowski. Klub poselski ZSL nie krył wewnętrznego podziału. Część jego członków była przeciwna wyborowi gen. Wojciecha Jaruzelskiego, co okazało się być „represją" za nieudolną politykę rolną poprzednich rządów i PZPR. Ale — przypomnijmy — politykę tę od niedawna firmowało również ZSL, które program tej polityki ustaliło wspólnie z PZPR, a w rządzie zasiadali też przedstawiciele wysokiego kierownictwa ZSL. Politycy mają jednak krótką pamięć, a za błędy i wypaczenia — niekoniecznie swoje — trzeba płacić. I to niekiedy bardzo drogo.

Rozumiem stanowisko ZSL. Dotychczasowa polityka rolna państwa wyrządziła rolnictwu poważne szkody i ZSL, — chcąc być partią chłopską — musi brać chłopów w obronę. Prawda ta wymaga jednak szerokiej popularyzacji i cierpliwego tłumaczenia, szczególnie wśród „mieszczuchów". Ludzie w mieście nadal uważają bowiem, że chłop ma się dobrze, buduje się, kupuje maszyny, jeździ samochodami, zachciało mu się luksusów, a wszystko to dzieje się kosztem miasta. Ludziom w mieście jawi się rolnictwo przestarzałe, chłop zaniedbany, przywożący „miastowym" mleko i jajka, pokornie stojący w progu z czapką w ręku. Ale to już nie te czasy! Nie wszyscy jednak to pojmują. Niedawno ktoś mnie przekonywał, że przed wojną chłop jeździł furmanką oraz koniem i rzeźnicy mieli co bić i sprzedawać. Dziś ma maszyny, woła o więcej i nie ma co jeść.

Niby prawda, a przecież nieprawda. Chłop jest dziś wytwórcą, producentem i musi mieć nowoczesne środki produkcji, niezbędną wiedzę i doświadczenie. Wielu młodych chłopów ukończyło studia, odbyło zagraniczne praktyki i mogliby wiele osiągnąć, gdyby nie różnego rodzaju hamulce, które utrudniają bądź uniemożliwiają rozwijanie rolniczej produkcji. Polski nie wyżywi się przy pomocy konika i biednego, zahukanego chłopa. Walka o rozwój wsi — jaką między innymi podejmuje ZSL — jest walką o przyszłość Polski. „Chłop potęgą jest i basta", ale to ciągle potęga drzemiąca, która nie ujawniła do końca swoich sił. Chodzi o to, aby ujawniła je w rozwijaniu rolnictwa.

3.

Toczy się teraz dyskusja na temat tego, czy „jedność jest przeżytkiem?". Dotyczy to przede wszystkim PZPR. Partii grozi bowiem rozpad. Jedni uważają, że powinna ona przekształcić się w socjaldemokrację, inni, że powinna podzielić się na dwie partie: socjalistyczną i komunistyczną, jeszcze inni, że powinna się jedynie przeobrazić. Wszystko odbywa się w sferze dyskusji i przewidywań. Są to — można powiedzieć — teoretyczne rozważania. Ale ta teoria wynika z praktyki.

Znajdujemy się nieustannie w splocie sprzeczności, które zmuszają do podjęcia radykalnych reform, a z drugiej strony wpływają na nie hamująco. Wiadomo, że dotychczasowa formacja socjalizmu miała kształt stalinowski i życie ją odrzuciło. Ale też stalinizm straszył nas nieustannie powrotem do kapitalizmu. Jeszcze dziś w niektórych krajach socjalistycznych uważa się, że to, co dzieje się w Polsce, na Węgrzech i w ZSRR — to jest powracanie do kapitalizmu. Stalinizm uznawał albo status quo, czyli trwanie w stalinizmie, albo każde inne rozwiązanie uznawał za powrót do kapitalizmu. Otóż takie myślenie daje i dziś znać o sobie. Natomiast mało kto zastanawia się, co urodzi się z dokonujących się przeobrażeń i że to — mimo różnych antykomunistycznych okrzyków i wołania o reprywatyzację — może być inną formą socjalizmu. Powiedziałbym nawet, że to musi być inną formą socjalizmu. Do tej pory znaliśmy tylko socjalizm w wydaniu stalinowskim. Taki socjalizm opierał się na dogmacie jedności. Jedność była — można powiedzieć — dobrem nadrzędnym, choć dobrem tym powinien być człowiek i tylko człowiek. W imię tak pojmowanej jedności prześladowało się ludzi. Otóż taka jedność jest — moim zdaniem — przeżytkiem.

Prawda jest przecież taka, że różnimy się poglądami nawet w PZPR, a cóż dopiero w społeczeństwie, w środowiskach, w gronach zawodowych, nawet w rodzinie. I będziemy się nieustannie różnili. Jest to warunek rozwoju. Czy to znaczy, że nigdy się nie zjednoczymy? Oczywiście, że to nie znaczy, że nigdy nie potrafimy zjednoczyć się. Ale w konkretnych działaniach, wokół konkretnych spraw, wokół konkretnych celów, jakie sobie postawimy. Nie ma bowiem takiej sytuacji, kiedy wszyscy myślą jednakowo i to samo, co było wymaganiem podstawowym w partii typu stalinowskiego. Różne mamy poglądy i mamy prawo je wypowiadać, ale gdy decydujemy się na wspólne działanie, to różnice odkładamy na czas przyszły, kiedy powstaną znów warunki do dyskutowania i rozważania. Nawet w partii. I musimy się tego z uporem i cierpliwie uczyć.

4.

Jedność jest wygodna. Jedność — rozumiana w sposób stalinowski — zakłada bowiem brak sprzeciwu, brak dyskusji, zakłada, że przywódca każdego szczebla ma rację i tylko on ma tę rację. Kto nie z nami, ten przeciw nam! Kto nas nie popiera — ten wróg! A przecież niegdyś komuniści mieli sympatyków. W dawnych czasach, oczywiście. W czasach stalinowskich pojęcie „sympatyk" zaginęło, zostało odrzucone, powstało na jego miejsce inne pojęcie: „bezpartyjny bolszewik" Niby to samo, a przecież zupełnie coś innego. Sympatyk zachowywał swoją odrębność, tożsamość, swoją niezależność. Bezpartyjny bolszewik tylko formalnie nie należał do partii.

Z dogmatycznej potrzeby jedności narodziły się różne fronty. A przecież u podstaw idei frontu demokratycznego, z jakim wychodziła PPR, leżała właśnie idea sympatii, poparcia w konkretnej realizacji konkretnych celów, w konkretnej rzeczywistości historycznej. Idea ta z czasem została kompletnie wypaczona w myśl nieprawdziwej jedności moralno-politycznej.

W nowej rzeczywistości, jaka się wytworzyła teraz — a szczególnie po wyborze prezydenta — rodzi się pytanie o przyszłość PRON. PRON zniknął z powierzchni życia społecznego i politycznego, warto więc zapytać o jego przyszłość.

Watażka

RYSZARD BINKOWSKI

Płk Stefan Konopka jest krępy, siwowłosy, ruchliwy, twarz ma gładką, bez zmarszczek, oczy zaś bystre, niebieskie, które w chwilach wzruszenia przybierają barwę topniejącego lodu. Bo jakże się tu nie wzruszać, gdy dzieciństwem staje się I wojna światowa i dziewięcioletni chłopiec musi być gospodarzem, żywicielem matki i pięciorga rodzeństwa, z których troje umiera w ciągu czterech dni. Głód i brud, choroby, toteż z konieczności stał się szmuglerem omijającym wachy niemieckie na wałach w Warszawie. Kiedyś ujęto całą grupę małych szmuglerów i zamknięto w komórce, skąd uwolnił ich i nakarmił jakiś Ślązak z armii pruskiej.

Po tej gehennie pojawił się w Warszawie Józef Piłsudski i głodni, brudni ludzie, w szmatach i trepach, płakali z radości. Ale nie minęło parę miesięcy, a już była nowa wojna o granice, o Lwów, potem zaś bolszewicy stanęli nad Wisłą. Nie było nic, gdyż zaborcy rozgrabili majątek, broń zbierano z całego świata. Był też sabotaż, jakiś komunista wysadził skład z amunicją, aby bolszewicy mogli zająć Warszawę. Mali chłopcy donosili amunicję na linię frontu, on też zaznał smaku krwi i śmierci.

Wykształcił się w wolnej Polsce, tak ciężko wywalczonej, ze krwi i bohaterstwa zrodzonej, został inżynierem budownictwa, po czym został oficerem zawodowym. Ale początkowo nawet nie myślał, że we wrześniu 1939 roku będzie kierował specjalnym pociągiem wojskowym, na wschód i z powrotem, i walczył w obronie Lublina, za co zresztą ma medal.

2.

Na tym jednak wojna dla Stefana Konopki się nie skończyła. Po zaprzysiężeniu go przez Tadeusza Gółkę wstąpił do 10-osobowej grupy, która utworzyła w Kampinosie organizację pod nazwą Służba Zwycięstwa Polsce. Jest ostatnim z żyjących członków tej grupy, która stała się zalążkiem Związku Walki Zbrojnej, przekształconego następnie w Armię Krajową. Koło ZBoWiD-u w Łomiankach wydało po wojnie oświadczenie, że Konopka został zaprzysiężony jako drugi współorganizator ZWZ.

Przybrał pseudonim „Karol Lis" i działał jak lis. Kluczył, chytrzył, na zlecenie organizacji pracował nawet dla Niemców, a wszystko po to, by pomagać Polakom i Żydom. Po bombardowaniach Warszawy w 1939 roku, kiedy jeszcze nie doszło do masowej eksterminacji Żydów, Stefan Konopka kupował od nich place i zburzone domy. Wykupił w ten sposób całe kwartały ulic. Dawał Żydom pieniądze, które dla wielu z nich stwarzały potem szanse na przetrwanie, na możliwość wykupienia się przed śmiercią. Po wojnie Stefan Konopka mógł być miliarderem, ale został bez grosza, ponieważ go wywłaszczono. Jeżeli dziś chciałby odzyskać swoje mienie, to już dla wnuków.

A wracając do przeszłości, to prowadząc firmę remontowo-rozbiórkową Stefan Konopka zarabiał, ale niewiele z tego brał dla siebie. Bo np. na polecenie organizacji zdobył za własne pieniądze 125 ausweisów, co kosztowało kupę pieniędzy. Jest pisemne oświadczenie dowództwa oraz p. Uznańskiego, że Stefan Konopka przez całą okupację ukrywał i ratował z opresji Żyda, którego ochrzcił i nadał mu imię Leon Krotowski. Po wszystkich okupacyjnych perypetiach, o czym będzie jeszcze mowa, mgr inż. Leon Krotowski poszedł w ministry i zapomniał o swym opiekunie. Dziś już nie żyje.

Bywało tak, że rano policjant krzyczy przed domem: „Inżynier! Ciachaj na grabkę, bo ptaszek w klatce". To znaczy, że Krotowskiego zamknęli. A on nie miał w domu pieniędzy. Wziął pistolet, granaty i w pewnym domu wymusił 110 tys. zł pożyczki. Sto na wykupienie Leona Krotowskiego, dziesięć na wyekspediowanie go w bezpieczny rejon. Udało się.

W trakcie robót rozbiórkowych w getcie trafił na schron z 300 Żydami, których stamtąd wyprowadzono i uratowano. W korytkach z obrokiem dla koni sprowadzał do getta lekarstwa i żywność, i tępił szmalcowników. Kupił dwie pięćsetlitrowe beczki, w których wywoził z meliny wykupionych wcześniej Żydów. W tzw. międzyczasie był więziony przez gestapo w Radomsku, stąd udało mu się zbiec, uczestniczył w spaleniu 7 niemieckich samolotów, ratował zrzutową broń i aparaty radiowe. Kiedyś, w trupa zalany, przeszedł bez szwanku przez łapankę SS i do dziś nie wie, jak to się stało.

3.

Po powstaniu Stefan Konopka z nieodłącznym Leonem Krotowskim zaszył się we wsi pod Sochaczewem, skąd wkrótce wygarnęło ich gestapo. Trafili do Pruszkowa, wprost do budynku, z którego szły transporty na śmierć. Stefan Konopka był zmasakrowany, ciało gniło, całe w strupach, a Leon Krotowski znakomicie mówił po niemiecku. I to on właśnie wyjaśnił Niemcom, że Konopka musi iść do latryny, bo ma biegunkę, po czym dodał, że po odchodach zostają takie muszki, przez które wszystkich może szlag trafić. No to wzięli Konopkę na zabieg, rozerwali bandaże i strupy, i wysmarowali jodyną za pomocą wielkiego pędzla malarskiego. Zdrętwiał, lecz przeżył. A potem szczęśliwym trafem uciekli razem z Leonem Krotowskim. Ciężarówką z odpadkami, której kierowca, jakiś Ślązak z Wehrmachtu, sam uciekał od Niemców. Po to, aby ponownie trafić do wsi Antoniew pod Sochaczewem, gdzie zastało go wyzwolenie.

Przeżył okupację, wszelkie przyjemności na Gestapo i w Szupo, niemieckie łapanki, toteż udało mu się też przeżyć łapanki na „akowszczyków". Wstąpił do Ludowego Wojska Polskiego. I tylko drażnią go dziś informacje, że taki a taki akowiec leży na cmentarzu w Sochaczewie, bo wie, że tamten po wywózce w głąb Rosji nie wrócił, podobnie jak setki innych akowców.

4.

Znalazł się w Łodzi, gdzie zabezpieczał majątek na terenach dzisiejszej Politechniki. On zabezpieczał, a inni wywozili to na wschód. Potem prowadził firmę budowlaną w Piotrkowie i okolicznych powiatach, wznosząc budynki użyteczności publicznej. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie zarejestrował pewnemu człowiekowi auta na swoją firmę. Tamten trochę zarobił i w dowód wdzięczności wstawił do firmy motocykl. Syn Stefana Konopki wraz z kolegą pojechali w stronę Sulejowa, przewrócili się i motocykl przyprowadził do firmy Stanisław M., który został osobistym kierowcą pułkownika Stefana Konopki. Pułkownik nie miał pojęcia, że Stanisław M. był wpierw konfidentem niemieckim, aby potem pełnić tę samą rolę w UB. Przekonał się o tym po podjęciu pracy w Pyrzycach na Pomorzu, skąd niebawem zabrano go i przywieziono do Piotrkowa. Miał przed sobą dwuletnią przerwę w życiorysie, jednakże władze wystawiały mu później zaświadczenia, że w latach 1949—1951 nie był karany. A on spędził te lata w piwnicy PUB w Piotrkowie i w tamtejszym więzieniu. Nie wiedział, o co był oskarżony, za co otrzymał karę śmierci i czemu go po dwóch latach nagle zwolniono. Dzisiaj myśli z wisielczym humorem, że pewnie za to, iż budował ośrodki zdrowia i szkoły dla akowskich wsi. Dziwi się tylko, czemu spalono przezeń ośrodek zdrowia w partyzanckim Ręcznie.

Swoje przeżył przez te dwa lata. Np. obcowanie ze szpiclami, z których jeden był synem młynarza w Rozprzy. Drugiego szpicla tłukli w każdej celi, toteż musieli go przykuwać na korytarzu. Konopka spał obu szpiclów, a sam omal nie połknął krzyżyka razem z własnymi zębami. Miał krzyżyk na łańcuszku, odprawiał w celi msze, a gdy wchodzili ubowcy, ukrywał krzyżyk w ustach. I pewnego razu dostał tak po twarzy, że byłby udławił się krzyżykiem...

Piwnica po węglu, zagrzybiona, zabierano nawet opakowania po papierosach, aby więzień podcierał się palcem. Po kolejnym biciu i 17 godzinach przesłuchania w UB, gdy już myślano, że leży w lesie przy drodze do Tomaszowa, Konopka jakby zmartwychwstał. Tak, był całkowicie sparaliżowany, ale dzięki pomocy Żyda z tytułem profesorskim, dzięki zastrzykom i masażom wrócił do życia i... na wolność. Tyle że bez pracy, bez pieniędzy na tramwaj. Pracę wymusił u znajomego urzędnika szantażem, na wariata, z pistoletem w ręku i z granatem w kieszeni...

Oderwawszy się na chwilę od tematu, pokazuje pięknie oprawiony tom. Rzadkie, cenne przedwojenne dzieło pt. „Wodzowie Odrodzonej Polski". Oczywiście kserokopia, zrobił sobie 11 egzemplarzy tej książki.

5.

Jako inspektor nadzoru budowlanego Stefan Konopka stał się nawet przodownikiem pracy, ale ponieważ był także zaplutym karłem reakcji, więc nie zrobiono zeń człowieka z marmuru. W przedsiębiorstwie komunalnym w Zgierzu na porządku dziennym były kradzieże, np. kradzież dwóch wagonów drewna to była normalka, czego nie tolerował, więc i jego nie tolerowano. A w ogóle, ze względu na twardość i desperackie numery, takie jak straszenie bronią sprzedajnych urzędników, uznano go za watażkę, budowlanego, który coś tam zbudował, żeby zaraz uciekać. Tylko że on nie uciekał z własnej woli, żadnych sensacji i przygód. W Łodzi wzniósł kompleks budynków przy Brukowej, w Skierniewicach budował Instytut Sadownictwa dla prof. Szczepana Pieniążka. Nadzorował też prace przy budowie Hali Sportowej w Łodzi, zabiegał o materiały, śruby wykonywano ręcznie, i nawet mu nie zapłacono.

Na Ziemiach Odzyskanych budował dla Rosjan obiekty wojskowe. Do czasu, gdy woda zalała szyb kopalni miedzi w Lubinie. Uciekał jako przyszywany kuzyn komendanta milicji, bo już wydano nań wyrok jako na akowskiego sabotażystę i imperialistycznego dywersanta. Ukrył się w Karlinie na robotach budowlanych, ale stamtąd też go wykurzono...

Opowiada z goryczą, że ten cień wlecze się za nim do dziś. Ot, jest w zarządzie, jest przewodniczącym komisji interwencyjnej koła Związku Inwalidów Wojennych w Śródmieściu, które swego czasu liczyło 580 członków. Lokal przy Piotrkowskiej 215 mieścił się na piętrach, do pokonania 58 stopni, dla inwalidów istna Golgota, więc załatwił lokal na parterze. Założył centralne ogrzewanie, wystarał się o mundury dla pocztu sztandarowego, ale czyny te przypisano komuś innemu. I jeszcze są tacy, co mówią, że Stefan Konopka nie ma prawa chodzić w mundurze z insygniami pułkownika. A on odpowiada hardo, że jeszcze generałem zostanie.

Jeden z jego współtowarzyszy broni wyceniany jest na pół miliarda, on zaś zdobył się na mieszkanie w starym budownictwie o pow. 44 m kw. przy Świerczewskiego 19. Wnukom załatwił mieszkania, a sobie nie potrafi. A piwnica znajduje się na drugim końcu długaśnego podwórza i stary, schorowany człowiek nie jest w stanie nosić węgla na wysokie piętro i palić w kuchennym piecu. Zwodzono go z zamianą mieszkania, oszukiwano, a dla innych mieszkanie było. Może by i zaniechał starań, ale w Wigilię 1987 r. zaczął się dla niego kolejny, może już ostatni etap życia.

6.

Po śmierci syna pierwsza żona straciła panowanie nad sobą i przez dziesięć lat leżała, ogarnięta paraliżem psychicznym i fizycznym. W tę Wigilię sam pojechał do wnuków, wrócił późno, bo czekał ponad godzinę na tramwaj. Z żoną źle... W Nowy Rok Konopka widzi, że żona umiera. Młody lekarz z pogotowia żądał skierowania do szpitala, starszy lekarz z drugiego pogotowia zabrał chorą do szpitala, nawet sama zeszła do karetki. 2 stycznia Stefan Konopka był w szpitalu, trzymał żonę za nogi, głaskał po twarzy, westchnęła głęboko i zasnęła. A naprawdę to wydała ostatnie tchnienie, bo ledwie wrócił do domu, zadzwoniono ze szpitala, że zmarła...

No i ten watażka, pełen wigoru i wariackich pomysłów, załamał się i ze względu na stan zdrowia musiał szukać pomocy i opieki u 73-letniej kobiety, której też ciężko żyć i pracować w tym starym mieszkaniu. Płk. Stefan Konopka zwrócił się do Zwierzchnika Sił Zbrojnych o przyznanie uprawnień do osobnej kwatery. W lutym 1989 roku z Głównego Kwatermistrzostwa WP przyszła odpowiedź, w której napisano m.in.:

„Z dokonanych ustaleń wynika, że Obywatel pełnił zawodową służbę wojskową w latach 1927—1946 i w świetle obowiązujących obecnie aktów prawnych nie nabył z tytułu pełnienia tej służby uprawnień do przydziału z zasobu wojska osobnej kwatery stałej i związanych z tym świadczeń".

Nabył prawo do cierpień i poświęceń, do noszenia licznych odznaczeń i do uszycia sobie munduru, który niektórzy mają mu za złe.

W czerwcu Urząd Rady Ministrów skierował do UD Łódź-Śródmieście pismo z wnioskiem o przychylne rozpatrzenie sprawy mieszkania dla Stefana Konopki. I nic się nie dzieje. Pułkownik ma widok na prostokątną studnię podwórza, gdzie czasem myją auto sąsiada, a w perspektywie widok na Doły. Z tytułu służby Ojczyźnie nabył prawo do osobnej kwatery stałej, którą sam sobie zbudował.

Nabył prawa do wieczystej, stałej kwatery, którą sobie zbudował w Łodzi na Dołach.

Reformy w ZSRR

Pieriestrojka w punkcie zwrotnym

WITOLD KASPERKIEWICZ

Na Zjeździe Deputowanych Ludowych Związku Radzieckiego sprawy przebudowy systemu gospodarczego były leitmotivem obrad. Pogłębia się bowiem proces dezorganizacji rynku, rozszerza się zakres systemu kartkowej sprzedaży, kwitnie spekulacja i czarny rynek, ceny nie odzwierciedlają realnych kosztów produkcji. Społeczeństwo ma ponad 270 mld rubli ulokowanych na rachunkach oszczędnościowych (stanowi to ok. 45 proc. rocznego dochodu narodowego z 1987 r.), a ile pieniędzy znajduje się w przysłowiowej „pończosze", tego nikt nie jest w stanie oszacować. Ruble te wlewają się na rynek i potęgują inflację tłumioną, która charakteryzuje się wprawdzie względną stabilizacją cen, ale przy wydłużających się kolejkach po towary.

Zmiany w systemie kształtowania cen, polegające na złagodzeniu państwowej kontroli cen, mogłyby zmniejszyć kolejki, ale jest to problem delikatny politycznie. Zliberalizowanie polityki cenowej spowodowałoby bowiem wzrost cen detalicznych podstawowych towarów, co z pewnością napotka na opór społeczeństwa i nie przysporzy pieriestrojce zwolenników. Zaopatrzenie rynku mógłby poprawić import artykułów konsumpcyjnych z Zachodu, ale rząd radziecki ogranicza ten import ze względu na stan bilansu płatniczego, który uległ pogorszeniu z powodu spadku cen na ropę naftową.

Rozwiązanie tych problemów postawi nieuchronnie kierownictwo radzieckie w pozycji między Scyllą konieczności uzdrowienia gospodarki poprzez uruchomienie mechanizmu rynkowego a Charybdą nacisków płacowych i socjalnych szerokich zresz społecznych nie przyzwyczajonych do działania zgodnego z regułami efektywności i samofinansowania.

Premier Nikołaj Ryżkow z całą otwartością przedstawił deputowanym krytyczną ocenę kondycji gospodarki radzieckiej. Stwierdził on, że dotychczasowy ekstensywny model rozwoju gospodarczego nie zapewnił rozwiązania trzech podstawowych zadań stojących przed państwem radzieckim: podniesienia standardu życia narodu, efektywnego rozwoju gospodarki oraz utrzymania wysokiego poziomu zdolności obronnej kraju. Dotrzymanie kroku amerykańskiej potędze militarnej wymaga od gospodarki radzieckiej ogromnych wysiłków i skoncentrowania dla potrzeb wojska najlepszych specjalistów, najnowszych urządzeń i technologii. Utrzymanie kompleksu wojskowego stanowi więc olbrzymie obciążenie dochodu narodowego (szacowane na ok. 15 proc.).

Innym „garbem", który przytłacza gospodarkę są wydatki związane z funkcjonowaniem aparatu zarządzania. W Związku Radzieckim istnieje armia biurokratów oceniana na 16 milionów. Koszt utrzymania tego aparatu wynosi 40 mld rubli rocznie, z czego 2,5 mld pochłaniają organy zarządzania państwowego, a pozostałą sumę aparat zarządzania zjednoczeń i przedsiębiorstw.

Istotnym elementem proponowanego na Zjeździe programu przewartościowań w polityce gospodarczej jest konieczność przegrupowania zasobów ekonomicznych z sektora wojskowego i aparatu biurokratycznego na korzyść rolnictwa, przemysłu lekkiego, handlu i sfery socjalnej. Michaił Gorbaczow stwierdził, że wzrost możliwości zapewnienia bezpieczeństwa państwa środkami politycznymi i dyplomatycznymi pozwala zmniejszyć wydatki na cele obrony narodowej. W związku z tym w latach 1990—1991 nastąpi redukcja owych wydatków o 14 procent, w długim okresie kierownictwo radzieckie będzie dążyć do tego, by w 1995 r. udział wydatków na obronę w dochodzie narodowym był 1,5—2 raza mniejszy niż obecnie. Można się więc spodziewać, że dylemat „armaty czy masło" zostanie wreszcie rozstrzygnięty na rzecz „masła".

Na Zjeździe wyrażono przekonanie, że niemożliwe jest wyciągnięcie gospodarki radzieckiej z grzęzawiska stagnacji bez radykalnej reformy ekonomicznej, czyli bez przestawienia działalności wszystkich ogniw gospodarczych na tory efektywności i samofinansowania, i bez głębokich przemian w sferze stosunków własności. We wspomnianym przemówieniu M. Gorbaczow sformułował tezę, iż „reforma gospodarcza jest po prostu niemożliwa bez radykalnej odnowy stosunków własności socjalistycznej, bez rozwoju i zgrania jej różnorodnych form". Oznacza to konieczność odejścia od monopolu własności państwowej w gospodarce, który to monopol przybrał zwyrodniałą i nieefektywną formę zbiurokratyzowanego pseudo-przedsiębiorstwa. Niezbędne jest więc wykorzystanie majątku produkcyjnego społeczeństwa w innych niż dotychczasowe formach własności. Możliwe są w tej dziedzinie różnorodne rozwiązania, np. kontrakt dzierżawny („arendnyj podriad"), przedsiębiorstwa samorządowe, spółdzielnie, spółki akcyjne etc.

Bardzo popularną innowacją systemową w zakresie form własności są kontrakty dzierżawne, które narodziły się w rolnictwie, a obecnie przeżywają swój rozkwit w przemyśle i budownictwie. Kontrakt dzierżawny, krótko rzecz ujmując, polega na tym, że przedsiębiorstwo wydzierżawia od ministerstwa użytkowany przez siebie majątek produkcyjny. Umowa zawierana jest na określony czas, w którym przedsiębiorstwo zobowiązane jest do zapewnienia rekonstrukcji majątku produkcyjnego, do realizacji zamówień państwowych po cenach urzędowych i do uiszczenia opłaty dzierżawnej. Opłata ta obejmuje wszystkie dotychczasowe świadczenia na rzecz budżetu i jednostki nadrzędnej, połączone w formie zryczałtowanej kwoty.

Przebieg Zjazdu, jak sądzą komentatorzy polityczni, pokazał, że większość deputowanych odrzuciła zarówno propozycje zbyt radykalnych zmian, jak i zahamowania tempa pieriestrojki. Dominowali centryści opowiadający się za stopniowymi przemianami w gospodarce i systemie politycznym. Nie zabrakło jednak na Zjeździe mocnych akcentów, o które zadbali radykałowie partyjni, na przykład Boris Jelcyn, gorący zwolennik zdecydowanych i konsekwentnych zmian w gospodarce radzieckiej i całym systemie sprawowania władzy.

B. Jelcyn wysunął propozycję zdecydowanej decentralizacji władzy i gospodarki oraz demontażu istniejącego systemu nakazowo-rozdzielczego, czego niezbędnym elementem jest ostra redukcja liczby ministrów gałęziowo-działowych. Opowiedział się także za przerwaniem realizacji obecnego planu pięcioletniego i przygotowaniem nowego planu na kolejne pięciolecie, już na podstawie nowych zasad ekonomicznych wprowadzanych przez reformę. Ukoronowaniem licznych propozycji B. Jelcyna stała się koncepcja utworzenia intelektualnego centrum złożonego z wybitnych uczonych, ekonomistów, prawników i politologów, które opracowałoby perspektywiczną strategię rozwoju społeczno-gospodarczego Kraju Rad.

Trudności i bariery pieriestrojki piętrzą się wszędzie. Potężną rafą jest interes biurokracji partyjnej i państwowej, reprezentowany na różnych poziomach hierarchii władzy radzieckiej. Sądzi się jednak, że najbardziej groźną formą oporu przeciw pieriestrojce nie jest mniej lub bardziej otwarta opozycja części aparatu centralnego i republikańskiego, lecz nieróbstwo i apatia znacznych odłamów społeczeństwa radzieckiego, hołdującego zasadom prymitywnego egalitaryzmu.

Doradcy M. Gorbaczowa twierdzą, że obecne zmiany mają odmienny od poprzednich praw reform charakter, gdyż kierownictwo partyjne stara się demokratyzować życie publiczne, ujawniać prawdę o gospodarce i historii, a także próbuje zaangażować w proces reform wszystkich od dołu do góry. Podkreślają również, że odmienna jest osobowość samego M. Gorbaczowa, reformatora o niezwykłym talencie i energii.

Tragiczna historia mężczyzny, który bał się swej żony (3)

Glugla

JÓZEF RETMAN

1.

Jan W. zna każdy zakątek szpitalnego parku. Widział w nim wszystkie cztery pory roku.

— *To ładne miejsce* — przyznaje. — *Cisza, spokój. Ale wolałbym nigdy go już nie oglądać. Chcę stąd wyjść — nawet gdybym miał wrócić do więzienia. Tam przynajmniej wyrok jest znany. Wiadomo, ile trzeba odsiedzieć. Tutaj — nie. Mówią, że jestem chory, niebezpieczny dla otoczenia. Panie redaktorze, żeby pan widział te badania, po których sąd kazał mnie tu zamknąć. Czyste kpiny. Jak można decydować o losie człowieka po pół godziny rozmowy i przejrzeniu akt z prokuratury? Żadnych dowodów! Wszystko na podstawie zeznań żony i jej świadków. A że ja też mogę mieć świadków, nawet nie pomyślano. I tak ma wyglądać sprawiedliwość?!*

— Dlatego odmawia pan leczenia?

— *Odmawiam, bo jestem zdrowy. Normalnie myślę, mówię, normalnie się zachowuję. Wychodziłem na przepustki — nic się nie stało, wracałem... A w ogóle, to dlaczego mnie puszczali, skoro jestem taki niebezpieczny? Przecież to się nie trzyma kupy. Poza tym, napatrzyłem się tu już, co potrafią zrobić z człowieka lekami. I dlatego właśnie odmawiam, że dalej chcę być normalny. Bo, panie redaktorze, to wcale nie ja zwariowałem. Nie ja miałem urojenia. Niech pan posłucha dalej.*

2.

W marcu osiemdziesiątego siódmego Jan W. przeniósł się z piekarni prywatnej do państwowej. Stracił na tym, i to sporo, ale mógł wreszcie każdą noc spędzać w domu. Uznał, że tak będzie lepiej. Raz — ze względu na zmęczenie, bo nie zawsze były warunki, żeby się przespać w dzień. Dwa — z uwagi na wizyty różnych znajomych żony, ślady bytności których zastawał nieraz rano. Wprawdzie nie dociekał już, który to był tym razem „kuzyn", gdyż Maria W. jako kobieta przestała go interesować, ale nie było mu przecież obojętne, co dzieje się w domu podczas jego nieobecności i na jakie widoki narażone są dzieci. A sądząc z tego, co mu czasem opowiadały, nie były to raczej widoki budujące.

Stosunkowo częstym gościem w mieszkaniu W. był też dzielnicowy K. Wpadał sprawdzić, jak sprawuje się jego podopieczny, a przy okazji ucinał sobie z jego żoną krótsze lub dłuższe pogawędki w jej pokoju. Niekiedy przynosił też dla Jana W. wezwanie, spotykali się więc również w komisariacie, gdzie Jan W. dowiadywał się, że bije żonę pięściami po głowie, grozi jej pozbawieniem życia, wymachując nożem, albo ostrzy na nią siekierę w obecności córek. Źródłem informacji dla dzielnicowego K. była oczywiście niezmiennie i jedynie Maria W., która kiedyś w złości powiedziała mężowi, że zrobi wszystko, żeby trafił albo za kratki, albo do domu wariatów. I dodała jeszcze:

— *Nawet gdybym d... miała płacić.*

Jan W. pomyślał, że to dosyć prawdopodobne, zważywszy na skłonności żony do męskiego towarzystwa oraz — jej niezbyt wysoką pensję. Czuł też ponadto, w całej tej akcji rękę szwagra żony, Sławomira Z., który będąc członkiem kółka łowieckiego, miał w nim za kolegów milicjantów, i to na ogół oficerów. Że zaś naprawdę była to cała, przygotowana i realizowana konsekwentnie akcja, nie miał najmniejszych wątpliwości, bowiem teściowie na przykład już od dłuższego czasu mówią o nim — głupi, a żona w odpowiedzi na pozew o rozwód już kilka miesięcy wcześniej napisała kłamliwie, że jakoby obiecał jej, iż będzie się leczył. Skąd niby miałaby wiedzieć, że jest naprawdę chory, jeśli dotychczas nie badał go żaden psychiatra? Odpowiedź nasuwała się sama — to ona wymyśliła jego rzekomą chorobę psychiczną i starała się zasugerować to dziom.

Tymczasem nadszedł termin trzeciej już rozprawy rozwodowej, wyznaczonej na 24 kwietnia 1989 r., na której to Jan W. mając na względzie jak najszybsze zakończenie ciągnącej się prawie rok sprawy, zgodził się całą winę za rozpad małżeństwa wziąć na siebie. Poradziła mu tak jego adwokatka, gdy pełnomocnik żony uzależnił jej zgodę na rozwód od takiego właśnie oświadczenia. No więc Jan W. „przyznał się", mimo że sędzina podpowiadała, by się jeszcze dobrze zastanowił. Nie zdążył jednak tego zrobić, gdyż reprezentująca go pani mecenas zamknęła mu usta, mówiąc:

— *Tak, tak, bierzemy winę na siebie.*

W tej sytuacji znów odroczono sprawę, bo przecież trzeba przesłuchać świadków. I już wówczas Jan W. zaczął żałować, ponieważ wyczuł, że niczego to nie przyspieszy, zmniejszy natomiast szansę na uzyskanie opieki nad dziećmi, o co od początku zabiegał.

Po wyjściu z budynku sądu nie wrócił już do piekarni. Odebrał córki ze szkoły i przedszkola i poszedł z nimi na spacer, wstępując po drodze do baru na obiad, co często czynił, gdyż żona mało gotowała. W domu byli około czwartej po południu, a tam — niespodzianka — wezwanie na posterunek, podpisane — jakżeby inaczej — przez dzielnicowego K. Jan zdziwił się trochę, że wezwanie — na zwykłej kartce wyrwanej z notatnika, a nie jak zawsze — na druczku, ale poznał charakter pisma K., więc o pomyłce nie mogło być mowy. Dlatego postanowił pójść. Zapytał dzieci, czy zechcą mu towarzyszyć, bo to na pewno jakiś drobiazg, więc krótko potrwa a przy okazji pobędą jeszcze na powietrzu. Usłyszawszy to, żona kategorycznie zabroniła im wychodzić z ojcem, one jednak uparły się, że pójdą, a właściwie — pojadą na rowerkach. I w końcu pojechały.

3.

Przed komisariatem Jan W. zostawił córki same, obiecując że za chwilę wróci, po czym wszedł do środka i zgłosił się u dzielnicowego K., który już na niego czekał.

— *No, przyszedłeś wreszcie ty...* — powiedział zamiast „dzień dobry", po czym wyjął spod biurka siekierkę bez trzonka i zapytał, czy poznaje.

— *Nie.*

— *To przecież twoja!*

Jan W. chciał w tym momencie wyrazić swe zdumienie, bo skąd jego siekierka tutaj, w jaki sposób, ale nie zdążył nawet otworzyć ust, gdyż tuż przed nosem wyrosła mu nagle pięść dzielnicowego i dosłownie cudem uniknął ciosu. Drugi — wymierzony kolanem w brzuch — dosięgnął jednak celu i Jan W. zgięty wpół, potoczył się pod ścianę. Tam dopadli go trzej inni funkcjonariusze i razem z K. zaczęli okładać pięściami.

— *Panowie, co robicie!? Z dziećmi jestem* — próbował bronić się Jan W.

— *Ch... mnie obchodzą twoje dzieci* — syknął na to dzielnicowy i bił dalej.

Później przeprowadzili go do drugiego pomieszczenia, położyli na ławce, przytrzymali za nogi i głowę i w ruch poszły pałki. Kiedy bliski był już omdlenia, ten, co trzymał za nogi, stwierdził, że chyba mu już wystarczy. Przestali. Dzielnicowy K., chyba na postrach, zaczął jeszcze głośno zastanawiać się, czy by Jana W. nie zamknąć w areszcie, ale doszedł do wniosku, że tym razem jeszcze go puszczą. A po chwili odezwał się z zadowoleniem:

— *No i co? Przyznałeś się wreszcie w sądzie, że to twoja wina!* — i pożegnał Jana W. kopniakiem.

Dziewczynki, widząc pobitego ojca, były przerażone. Ze współczuciem i lękiem patrzyły jak obcierał sobie chusteczką cieknącą z nosa i warg krew. Przynaglały, żeby uciekać jak najszybciej do domu. Nie było to jednak takie proste, gdyż Jan W. z trudem łapał powietrze, a ból pleców i pośladków nie pozwalał na szybki marsz. Przechodząc obok baru, postanowił wejść tam, żeby przemyć twarz. Siedząca przy kasie jedna z pracownic zapytała, co mu się stało. Znała go z widzenia, jak większość stałych klientów.

— *Milicja tak mnie urządziła* — wyjaśnił roztrzęsiony i poczuł, że łzy same napływają mu do oczu. Nie chciał, żeby widziała, jak płacze, więc zrezygnował z przemycia twarzy i wyszedł.

Kiedy dotarł do domu, żony nie było (miał wrażenie, że gdy milicjanci przeprowadzali go z pokoju do pokoju, w otwartych drzwiach mignęła jej twarz, ale pewny nie był). Sam wyprawił więc starszą, Małgosię na religię, doprowadził się trochę do porządku i niedługo potem wyszedł z młodszą, Asią przed blok, bo w mieszkaniu robiło mu się duszno. Posiedział trochę na ławce, pospacerował z córką — poczuł się lepiej. Wieczorem zajrzał do sąsiadów, starszego już wiekiem małżeństwa, żeby się wyżalić i poradzić. Pokazał ślady od pałek na plecach. Zapytał też, czy poświadczą, co widzieli, gdyby zaszła taka potrzeba. Sąsiad powiedział, że tak, ale najpierw — dodał — jechać trzeba na pogotowie. Jan W. przyznał mu rację, ostatecznie jednak — ze względu na późną porę — zrezygnował. Był zmęczony, obolały; przerażała go wizja jazdy przez pół miasta, pomyślał, że lepiej, jeśli teraz się położy. Przyniosło to ulgę, ale około północy zaczęło mu się zbierać na wymioty. Wstał, ochlapał się w łazience zimną wodą, po czym powoli ruszył z powrotem do łóżka. W drzwiach zachwiał się i upadł na podłogę. Musiało to obudzić dzieci, bo usłyszał, jak w drugim pokoju odsuwają stół, którym żona zabarykadowała na noc wejście, i zaraz zobaczył je przy sobie. Pomagając mu wstać, płakały. Wyjrzała też Maria W., a widząc, co córki robią, zawołała je do siebie.

— *Zostawcie go* — powiedziała — *niech sobie tu zdycha!*

Następnego dnia była sobota. Jan W. powoli odzyskiwał siły, nie na tyle jednak, aby normalnie stanąć do pracy. Lekarz zakładowy, do którego zgłosił się z rana, dostrzegłszy tak wyraźne ślady pobicia, skierował go do szpitala. W szpitalu — znów badania (już dokładniejsze), zastrzyk i... skierowanie do następnego, a właściwie do przyszpitalnej przychodni, gdzie Jan W. dostał sześć dni zwolnienia, lekarstwa oraz polecenie wykonania dalszych badań specjalistycznych. Miał też zamiar od razu zdobyć zaświadczenie o obdukcji, ale okazało się, że będzie to możliwe dopiero w poniedziałek, a i to musi przyjść bardzo wcześnie, gdyż kolejki są długie i nie wszyscy się dostają.

Jan W. pomyślał, że bijący go w piątek po południu milicjanci doskonale musieli o tym wiedzieć i dlatego poczynali sobie tak śmiało. Uświadomił sobie również, że przede wszystkim jednak ośmieliło ich to, że na sprawie rozwodowej zgodził się wziąć winę na siebie. Wcześniej, choć nieraz grozili mu, że jeśli nie przestanie znęcać się nad żoną, to dadzą mu odpowiednią nauczkę, nie mieli odwagi bić. Kończyło się na wyzwiskach i pogróżkach. W piątek, gdy dzielnicowy K. dowiedział się o przebiegu rozprawy w sądzie, nabrał widać pewności, że powtarzające się doniesienia Marii W. są prawdziwe i zdecydował się spełnić swe wcześniejsze obietnice.

Jan W. wyciągnął z tego prosty wniosek: musi natychmiast odwołać swoje oświadczenie o przyjęciu na siebie winy za rozpad małżeństwa, co też w kilka dni później uczynił na piśmie. Zadał też sobie kilka pytań, a mianowicie:

W jaki sposób dzielnicowy K. zaledwie w kilka godzin dowiedział się o tym, co było na rozprawie? Skąd miał siekierkę? I wreszcie — co łączy go z Marią W.? Czy tylko sprawy służbowe? W kontekście różnych wypowiedzi żony wszystko to wydawało się Janowi W. bardzo, bardzo podejrzane.

4.

15 maja 1987 r. odbyła się kolejna rozprawa rozwodowa, do której Jan W. zgłosił aż dziesięciu świadków. Żaden z nich nie został jednak wezwany, a sprawę znów odroczono, ustalając tylko, że będzie płacił miesięcznie pięć tysięcy alimentów. Pretensji ani do samego faktu, ani do wysokości alimentów nie miał, ponieważ rozumiał, że to jego obowiązek, choć nie było całkiem obojętne, czy daje na dzieci dobrowolnie, czy na mocy postanowienia sądu. Nie mógł natomiast zrozumieć, dlaczego tak długo nie dostaje rozwodu. Dlaczego sąd z tym zwleka. Sprawy innych małżeństw — słyszał — kończyły się w kilka miesięcy. Jego trwała już prawie rok, a końca nawet nie było widać. Czyżby komuś — zastanawiał się — na tym zależało? Był już tak zmęczony ostatnimi wydarzeniami, tak wykończony nerwowo, że — gotów dopuszczać każdą, nawet najbardziej nieprawdopodobną możliwość.

Pod koniec czerwca Maria W. wyjechała z córkami — jak zwykle — na wieś, do swoich rodziców. Jak zwykle też nie uznała za stosowne uzgodnić tego z mężem, zapytać, czy ma może inne plany. Wróciła ostatniego sierpnia w asyście teściowej. Dziwnym zbiegiem okoliczności dosłownie w pięć minut po nich zjawił się dzielnicowy K., po cywilnemu, z wezwaniem dla Jana W. na następny dzień. W sprawie prowadzonego dochodzenia.

Podejrzewając najgorsze, Jan W. wybrał się do komisariatu w towarzystwie znajomego, Wojciecha F. i jednego z sąsiadów, którzy na wypadek ponownego pobicia mieliby być jego świadkami. Na szczęście tym razem obyło się bez użycia pięści i pałek, choć prawdę rzekłszy, niewiele brakowało. Ale i tak sytuacja przedstawiała się niewesoło. Po prawie trzygodzinnym bowiem przesłuchaniu, K. podsunął do podpisania Janowi W. protokół i inne dokumenty, z których wynikało, że od 1978 roku, a więc od prawie dziesięciu lat znęcał się moralnie i fizycznie nad żoną. Był to efekt dochodzenia przeprowadzonego na polecenie prokuratury rejonowej, którą Maria W. jeszcze przed wyjazdem na wakacje znów powiadomiła o „przestępstwie".

Jan W. początkowo odmawiał złożenia podpisu, argumentując, że byłoby to przyznaniem się do czynów, których nie popełnił. Żądał też okazania dowodów, że choć raz uderzył żonę, albo że groził jej siekierą. (Na pytanie, po co mu w ogóle siekiera, odpowiedział zgodnie z prawdą, że zabrał ją wraz z innymi narzędziami z poprzedniego mieszkania, gdzie był piec i gdzie w komórce rąbał na opał stare podkłady kolejowe, które jako pracownik PKP mógł kupić za grosze). Dzielnicowy K., od którego czuć było alkohol, zmusił go jednak do podpisania, twierdząc przy tym, że chodzi jedynie o poświadczenie, że podejrzany zapoznał się z dokumentami śledztwa. Może i tak — pomyślał w końcu Jan W. — i zastraszony, skołowany złożył wreszcie podpis. Długo jednak nie dawało mu to spokoju. Wciąż nie był pewien — przyznał się tym podpisem, czy nie. Raz już w sądzie wziął winę na siebie — dla świętego spokoju. I co z tego wyszło? Z drugiej strony — próbował się uspokoić — gdyby nie podpisał, K. na pewno by mu tego nie darował i skutek byłby prawdopodobnie taki sam lub podobny. Czy miał zatem inne wyjście?

5.

12 października 1987 r., po męczącej, bezsennej nocy Jan W. zdecydował się przedstawić w prokuraturze swoją wersję wydarzeń. Opisał wszystko, łącznie z tym, jak był prześladowany przez dzielnicowego i pobity. Wiedział, że z milicją trudno wygrać, ale był już u kresu wytrzymałości psychicznej i gotów zrobić wszystko, żeby skończył się wreszcie ten koszmar.

Nic z tego! 13 października wieczorem dzielnicowy K. znów odwiedził Jana W., informując tym razem, że nazajutrz ma go doprowadzić do szpitala na badania psychiatryczne. Takie jest polecenie prokuratury. Zapytał przy tym, czy ma go zabrać natychmiast i przetrzymać przez noc w areszcie, czy też Jan W. da mu słowo honoru, że rano stawi się na umówione miejsce. Jan W. wybrał naturalnie to drugie. Czuł jednak, że jego dni i tak są już policzone. Padł ofiarą spisku, który przy pomocy rodziny i milicji uknuła jego „wspaniała" żona. Tak, jak powiedziała: albo za kraty, albo do wariatów. No i chyba dopięła swego. A ja — myślał — ja jestem bezsilny, bo sam.

Badanie rozpoczęło się około siedemnastej i trwało nie dłużej niż pół godziny. Jan W. był zmęczony, głodny (od rana trzymano go w izbie przyjęć bez jedzenia i picia), zdenerwowany. Mimo to, starał się jakoś trzymać, a na zadawane pytania odpowiadać spokojnie, choć biegli lekarze psychiatrzy (było ich dwoje) zdawali się mieć o nim z góry wyrobione zdanie, gdyż nie ukrywali nawet, że wcześniej zapoznali się już z wynikami dochodzenia. Nie mogli więc być obiektywni. Tym bardziej jeszcze, że przecież całe dochodzenie opierało się prawie wyłącznie na tym, co kłamała żona i jej świadkowie.

A pytania... Pytania Janowi W. wydały się śmieszne. Ile to jest pięć razy pięć i dodać trzy? Co to jest rzeczownik? Skąd się bierze woda w rzece? Gdzie zachodzi słońce? I jeszcze coś w tym rodzaju.

Jak można poznać psychikę człowieka na podstawie odpowiedzi na kilka takich pytań? Jak można być absolutnie pewnym, że jest zdrowy albo chory? Jan W. nie potrafił sobie tego nawet wyobrazić. Nie potrafił pojąć, pogodzić się. To okrutne — myślał — nieludzkie, straszne...

Nie minęły dwa dni, a Jan W. wracając wieczorem do domu, dowiedział się od sąsiadów, że... jest poszukiwany przez milicję. Znowu coś od niego chcą. Byli już trzy razy. Niewiele myśląc, odwrócił się na pięcie i pojechał na noc do kolegi, Wojciecha F. Nazajutrz wybrał się do zespołu adwokackiego, by porozmawiać z obrońcą przydzielonym mu z urzędu, o czym został pisemnie powiadomiony. Wszedł do pokoju — młoda dziewczyna, przedstawił się, a ona *„zacznijmy od ustalenia kwestii finansowych..."*. To wystarczyło. W innym zespole polecono mu mecenasa Kazimierza O. Ten — od razu było widać — doświadczenie i kultura. Wysłuchał klienta, zadał kilka rzeczowych pytań i mówi, że to niemożliwe, aby Jan W. był psychicznie chory. Zaraz też zgodził się go bronić. A o pieniądzach — ani słowa. Jan W. wyszedł od niego podbudowany, choć mecenas uprzedził go, że nie będzie łatwo podważyć opinię lekarzy. To biegli sądowi i sąd z ich zdaniem zawsze się liczy.

6.

Tak było istotnie. Na rozprawie karnej 19 stycznia 1988 roku, która zaczęła się od odczytania wniosku prokuratury o umieszczenie Jana W. w szpitalu psychiatrycznym na przymusowym leczeniu, jedynie mecenas Kazimierz O. zakwestionował trafność opinii lekarzy S. i G. Nikt inny nie miał wątpliwości. Nikomu też nie przyszło do głowy dociekać, czy zebrany w toku dochodzenia materiał obciążający Jana W. odpowiada prawdzie i w jakim stopniu? A przecież to właśnie na jego głównie podstawie opierała się opinia psychiatrów. Mimo to, sąd przyjął wniosek obrony, aby lekarze zbadali też Marię W. oraz powtórzyli badanie jej męża. Musieli być to jednak — zdaniem sądu — ci sami lekarze. Inni nie wchodzili w rachubę.

Dlaczego? — zastanawiał się Jan W. Dlaczego sąd tak się upiera? Czy to, aby znów nie jest jakaś zmowa? Przecież jeśli S. i G. pomylili się za pierwszym razem, wraz z pewnością nie zechcą przyznać się do błędu. A może... Sam już nie wiedział, co ma o tym wszystkim myśleć.

Drugie badanie odbyło się 3 lutego 1988 r. w budynku sądu. Rozmowa z Marią W. trwała około dziesięciu minut, z Janem W. — dwa razy dłużej. I znów — co to była za rozmowa. Najpierw doktor S. stwierdził, że właściwie i tak to niczego nie zmieni, a potem ani ona, ani doktor G. nie pozwolili Janowi W., by opowiedział o sobie i żonie; żądali jedynie odpowiedzi na konkretne pytania. Dlaczego nie chcieli dowiedzieć się więcej? Jan W. odniósł wrażenie, że przede wszystkim nie mieli czasu. Ale nie odrzucał również ewentualności, że lekarze zostali przekupieni albo działali tak na czyjąś prośbę czy polecenie. Może szwagier żony znalazł do nich „dojście"?

Zaraz po badaniach wszyscy udali się do sali rozpraw. Biegli — jak należało się spodziewać — podtrzymali swoje zdanie. Prokurator — wniosek o umieszczenie w szpitalu. Obrońca — sprzeciw wobec wniosku, twierdząc, że jest bezpodstawny. Choćby dlatego, że nie ma żadnych jednoznacznych dowodów na to, że Jan W. rzeczywiście znęcał się nad rodziną i bił żonę. Na to doktor G. powiedział:

— *Nie bije, bo on się jej po prostu boi!*

Jan W. nie dowierzał własnym uszom — więc bije, czy nie bije? Raz mówią tak, raz tak. O co w takim razie naprawdę chodzi? Przekonał się, gdy ogłoszono postanowienie: cierpi na chorobę urojeniową na tle zdrady małżeńskiej, jest niebezpieczny dla otoczenia i dlatego musi być leczony w szpitalu.

Tego dnia po południu żona powiedziała mu z wyraźną satysfakcją:

— *Widzisz! Obiecałam, że cię zniszczę i dopięłam swego. A piśnij tylko słówko, to pójdę na komisariat i zaraz po ciebie przyjdą.*

Do córek zaś:

— *Nie bawcie się z wariatem, bo was jeszcze pozabija. Sąd zadecydował, że jest głupi i niedługo go zamkną.*

7.

— A co z rozwodem?

— *Następna parodia, panie redaktorze. W międzyczasie odbyły się jeszcze dwie rozprawy. Jedną prowadziła w zastępstwie inna sędzina, która przyznała się od razu, że właściwie nie zna sprawy i że może przesłuchać świadków, skoro przyszli, ale to i tak bez znaczenia. Na drugiej żona nie stawiła się. Rzekomo dlatego, że nie dostała wezwania, bo w sekretariacie pomylono adres. Tak twierdził jej adwokat. Ale prawdopodobnie był to tylko taki wybieg, bo jak wiedzieli, że ze mnie zrobią głupiego, to po co rozwód? Było to 27 stycznia. Przyszli wszyscy moi świadkowie. Na próżno. Następny termin wyznaczono na 2 marca. Ale 2 marca to ja już siedziałem w więzieniu.*

C.D.N.

Imiona osób zostały zmienione. Tytuł całości został zaczerpnięty ze słownika gwary ziemi kaliskiej lub ziemi chełmińskiej i oznacza tylko pewne pojęcie. Nie wiąże się z żadną konkretną osobą czy rodziną używającą tego nazwiska.

ze str. 1

tyle lat wszystko było dobrze, to dlaczego akurat teraz miałoby się coś zmienić. Istnieje tu tylko jedno ale, mianowicie, że zamiast działki wielkości 447 m² bratowa kupiła plac, który liczył sobie 380 m². I w ten sposób droga, która powinna wchodzić faktycznie w skład jej posiadłości pozostała poza nią. Będzie to miało później dla całej sprawy znaczące konsekwencje.

I TAK WSZYSTKO ULEGA DALSZYM PRZEMIANOM

Po Marciniakach ziemię przejęła ich wnuczka, Hanna Józefacka. Natomiast Janina Kostrzewska drewniany dom, w którym nie mieszkała, oddała Gminnej Spółdzielni z pobliskiej wsi w dzierżawę. Mijały kolejne lata, z drogi korzystali Józefaccy i wydawało się, że tak już pozostanie, w końcu przecież umowa była kiedyś podpisana na wieczność. Czas jednak przynosi następne zmiany. W roku 1985 działkę od bratowej Kostrzewskiego kupują Henryk i Krystyna Kuleszowie.

I DOPIERO TERAZ ZACZYNA SIĘ WŁAŚCIWIE CAŁA SPRAWA

Bo oto w trakcie sprzedaży Janina Kostrzewska dowiaduje się u notariusza, że jej działka ma nie 447 metrów, tylko 380. Jak to się stało, że podczas kupowania ziemi od swojego szwagra i podpisywania odpowiednich aktów nie zwróciła na ten drobny szczegół uwagi, trudno w chwili obecnej dociec (najgorzej to robić interesy z rodziną). Fakt jednak pozostaje faktem. Kuleszowie kupują więc działkę wielkości 380 m², większej przecież w żadnym wypadku kupić nie mogą. Rozbierają mocno zniszczoną drewnianą chałupę i stawiają nowy, murowany dom. Miejsca w obejściu mają mało, traktorem można wjeżdżać tylko tyłem, ale jakoś dają sobie radę. Wiedzą, że pas ziemi przylegający do gruntów Józefackich powinien właściwie należeć do nich, ale nie podejmują żadnych kroków, by go odzyskać.

W pewnym jednak momencie, co było zresztą do przewidzenia, wybucha problem drogi. Józefaccy bowiem przyzwyczaili się, że droga należy właściwie do nich i postanowili z tego skorzystać. I tak wymyślili sobie, z ich punktu widzenia zupełnie zresztą słusznie, żeby lepiej można było dojechać do własnych budynków gospodarczych, należy z ziemi Kuleszów zabrać narożnik o długości 7 i szerokości 5 metrów. Oddają więc sprawę do sądu i... wygrywają. Tym razem jednak druga strona postanowiła nie ustępować. Odbywa się kolejna sprawa, w której wygrywają Kuleszowie. Józefaccy źli wielce, że sprawa przybrała taki niekorzystny dla nich obrót wzywają biegłego, który sporządza mapkę,

Ta droga należy do nieboszczyka

na której umieszcza drogę w ich gruntach.

CZY PAMIĘTAJĄ PAŃSTWO FILM „SAMI SWOI"?

Cóż za pytanie, ten film był tyle razy powtarzany w telewizji, że doprawdy trudno nie pamiętać również słynnego sporu o ziemię między Kargulami a Pawlakiem. Poszło tam wtedy o to, że jeden sąsiad zaorał drugiemu ziemię na trzy palce. Tu sytuacja jakby podobna. Otóż Józefaccy zakładają w sądzie kolejną, trzecią już sprawę, o to, że słupki ogrodzenia Kuleszów są wbite za daleko, z jednej strony o 10 centymetrów, z drugiej zaś o 20 centymetrów i w ten sposób posiadłość Kuleszów zachodzi na teren drogi. Dziesięć centymetrów to chyba akurat w przeliczeniu te trzy palce. Nie ginie więc duch w narodzie. Nie wiem tylko, czy rzeczywiście jest to powód do radości. W tym wypadku zdziwił się nawet sąd, obyty w końcu z różnymi pokrętnymi sprawami, a wydawałoby się, że naszych sądów nic już nie powinno zaskoczyć. A jednak!

Sąd jedyne chyba co mógł w tej, przyznają wszyscy, trudnej sprawie zrobić, to wyznaczyć biegłego, by sprawdził wszystko na miejscu. Tak też się stało. Biegły zbadał dokładnie sprawę, pomierzył, wymierzył miarką wszelkie odległości i stwierdził, że... słupki są wbite na swoim miejscu i nie ma mowy o żadnych 10 czy 20 centymetrach różnicy. Jeśli zaś chodzi o drogę, to jego zdaniem powinny z niej korzystać obie strony. Sąd już miał przyznać rację swojemu biegłemu, ale w tym momencie adwokat państwa Józefackich pokazał mapkę sporządzoną przez wcześniej wezwanego przez nich biegłego, na której to mapie droga była wrysowana w ich działkę. Sąd zwrócił się z pytaniem do swojego biegłego, co o tym sądzi. Ten odpowiedział, że przewertował wszystkie dokumenty od 1939 roku i nie natrafił nigdzie na taką mapę. Spawa jednak została odroczona.

DO KOGO NALEŻY WIĘC DROGA?

Ano właśnie, tutaj powoli dochodzimy do sedna sprawy. Boć przecież ten 2,5-metrowy pas ziemi musi w końcu do kogoś należeć. I należy! Kwestię własności rozstrzygnął naczelnik miasta B., który w stosownym piśmie stwierdził, że błędnie został odczytany wcześniejszy zapis w akcie notarialnym i obecnie skreślono z ewidencji zapis, jakoby droga należała do Hanny Józefackiej (na jakiej podstawie dokonano tamtego zapisu też w tej chwili nie wiadomo), a jej właścicielem jest... Zbigniew Kostrzewski. No i w ten oto sposób wszystko się wyjaśniło. Droga, o którą od pewnego czasu trwa spór między sąsiadami należy do nieboszczyka.

Nie wiem tylko, czy owo wyjaśnienie zadowala którąś ze stron konfliktu. Podejrzewam, że raczej nie. Nie koniec to bowiem całej sprawy, a obawiam się, że dopiero początek, ponieważ w piśmie naczelnika było na zakończenie stwierdzenie, że całą sprawę powinien rozstrzygnąć sąd. Koło się więc zamknęło. Ale czyja jest w końcu ta droga?

Józefaccy uważają, że droga na wieczne czasy należy do nich i korzystają z niej, jak od wielu lat korzystali, a nawet w ostatnim czasie w pewnym miejscu drogi postawili bramę (czego w zasadzie do zakończenia sprawy nie wolno było im robić). Kuleszowie sądzą, że droga powinna być ich i że oni mają do niej większe prawa niż Józefaccy, co zresztą nie jest wcale pozbawione sensu. Sąd pogubił się chyba już całkowicie i zawiesił całą sprawę stwierdzając w odpowiednich pismach, że może do niej powrócić tylko w tej sytuacji, gdy Kuleszowie dostarczą akt własności na ten pas ziemi. Jak wiadomo jest to absolutnie niemożliwe, bo niby skąd Kuleszowie mieliby wziąć ów akt własności. Myślę, że zanim wypełni się jakiś druczek i zawiesi rozprawę należy ją najpierw dokładnie zbadać. Adwokata Kuleszów najmniej interesowało, czyja jest droga i ostatnio wycofał się w ogóle z całej sprawy. Naczelnik miasta B. odkrył, że droga jest nieboszczyka. I bardzo dobrze! Nie wiadomo tylko, co na to wszystko nieboszczyk. Może więc naprawdę wspólnymi siłami należałoby zająć się wywoływaniem duchów?

P.S. Wszystkie imiona i nazwiska zostały zmienione

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

ze str. 1

Ten jeden szlaban

Fiacik poszedł na bok, a ona wraz z dwoma kolegami najpierw wyjęli przednie fotele, później próbowali zrobić to samo z tylnymi, ale szło opornie. Wreszcie udało się je odkręcić, ale wyjąć było ciężko. Bo też i były ciężkie.

Z fotela rozprutego z chirurgiczną dokładnością wysypało się na stół dwadzieścia pięć kilogramów srebra w wyrobach, głównie grubych bransoletach i łańcuchach, cztery i pół tysiąca rubli, sporo kawioru, pięćdziesiąt tysięcy forintów i kilka, ale to już drobnostka, stanowiących właściwie wyściółkę fotela, lisów. Widok tego dobra niejednego finansowego rekina państwowej gospodarki przyprawiłby o drżenie rąk, zaś staruszkowie i renciści ze starego portfela, ledwie wiążący koniec z końcem, mogliby z wrażenia opuścić ten padół, na którym życie toczy się wokół kobiet i pieniędzy.

2.

A wszystko zaczęło się od dzwonka, który pewnego marcowego dnia w 1978 roku zadźwięczał u drzwi mieszkania Kazimierza P. i jego rodziny — żony i córki. W progu stał siwiuteńki jak gołąbek staruszek w długim czarnym palcie z futrzanym kołnierzem i staromodnym kapeluszu na głowie. U jego stóp stały dwie ogromne walizy. Powiedział, że nazywa się Chaim Izaak Sch. i przyjechał z Ziemi Swiętej — Izrael. Chciał odwiedzić stare kąty, a przy okazji zabrać ze sobą pamiątki pozostawione w starej ojczyźnie.

Kazimierz P. zaprosił z przysłowiową już tylko, polską gościnnością przybysza do domu. Połowica pana Kazimierza, Teresa rzuciła się z córką do przygotowania naprędce, jakiegoś poczęstunku godnego zagranicznego gościa. W tym czasie Żyd rozebrał się w przedpokoju, pod zdjętym kapeluszem spoczywała mycka. Sch. porawił coś w rodzaju minipejsów, dociągnął węzeł krawata i rozejrzawszy się dookoła westchnął:

— Tak, to samo mieszkanie...

Później przy stole zastawionym ze skromną elegancją potoczyła się opowieść pana Chaima o życiu w Izraelu, długiej i niebezpiecznej ucieczce do niego z Polski. Wreszcie temat rozmowy zszedł na mieszkanie.

Po zakończeniu wojny, kiedy ostatni Niemcy opuścili Łódź, do mieszkania w jednej z kamienic przy ulicy Obrońców Stalingradu wprowadzili się rodzice żony Kazimierza P. Teresa skończyła gimnazjum, później medycynę. Potem była wielka miłość, ślub, wreszcie rodzice Teresy doczekali się wnuczki, ale nie dożyli jej pójścia do szkoły. Od tamtej pory w kamienicy wiele się zmieniło. Wielu lokatorów skanalizowało swoje mieszkania, założono gaz. Starzy umierali, młodzi żenili się, odświeżali swoje mieszkania, niektórzy po coś kuli ściany.

Chaim Sch. opowiadał o swoim dzieciństwie, kilkakrotnie wspomniał o rodzinnych pamiątkach, ale nie mówił, gdzie one są i skąd ma je zabrać. Wreszcie otworzył jedną z waliz i zaczął wyjmować z niej prezenty. Sporo tego było — ciuchy, jedzenie, słodycze, lalki nawet, bo w Izraelu doniesiono mu, że w jego dawnym mieszkaniu żyje dziewczynka, która okazała się dorodną panną. Wreszcie wyjął z portfela pięć zielonych papierków z napisem „one hundred dollars", ale zanim wręczył je gospodarzowi, spytał, czy nie będą mieli nic przeciwko zabraniu z tego domu swoich pamiątek.

— Tak, tak. Niech pan weźmie co swoje — bez zastanowienia, niemal jednocześnie wykrzyknęli państwo P. widząc po raz pierwszy w życiu tyle dolarów.

Sch. zamiast iść do hotelu został ulokowany w pokoju córki państwa P., zaś ona przeniosła się na noc do dużej kuchni.

3.

Następnego dnia Chaim Izaak Sch. poprosił o młotek i jakieś dłuto i w miejscu, gdzie podłoga zbiega się ze ścianą, tuż za kaflowym piecem zaczął wybijać dziurę. Z dużej wnęki, po odbiciu tynku wyjął trzy cegły i podwinąwszy rękaw białej koszuli wsunął głęboko rękę w otwartą skrytkę.

Najpierw na podłogę spadło kilka warstw papieru, później jakieś zatłuszczone szmaty, aby wreszcie mogła ukazać się sporych rozmiarów metalowa kasetka. Zanim odpiłowano kłódkę zamykającą skobel, bo klucza do niej nie było, Żyd przypomniał o obietnicy.

Rodzinie Kazimierza P. z wrażenia krew zatrzymała się w żyłach. Po policzkach Chaima Sch. popłynęły łzy. W kasetce oprócz „świnek" była biżuteria i sztućce, wszystko z metali, wśród których srebro było najmniej wartościowym. Także trzy miniatury żydowskich, obrzędowych świeczników były ze złota.

W sercu Kazimierza P., pracownika działu głównego mechanika jednego z łódzkich przedsiębiorstw, nagle zbudziła się ogromna chciwość, nie znana do tej pory temu inżynierowi — urzędnikowi.

— Ach, mieć tego trochę — westchnął — ale po co trochę. Wszystko!

Zaczęły się targi. W końcu Żyd dostał po jednej sztuce tego, co było przynajmniej podwójne, rzeczy pojedyncze Kazimierz P. podzielił według zasady: to dla ciebie, a to dla mnie. W sumie z niemal pół kilograma skarbu Żydowi przypadła niespełna jego jedna trzecia. Ze łzami w oczach, prosząc Jahwe i ludzi o sprawiedliwość i zmiłowanie wyszedł z mieszkania P.

Kazimierz P. nie mógł w nocy spać. Trochę dręczyło go sumienie, trochę myślał co z tym „fantem" zrobić dalej. Konsekwencji się nie bał — wiedział, że Żyd nie zgłosi się na milicję, bo wtedy nie będzie mógł nawet próbować wywieźć z Polski tej resztki, którą ocalił. Żona pana Kazimierza też nie mogła zasnąć — myślała o tych wszystkich kolczykach i pierścionkach, jakie zostały w domu. Tylko córka państwa P. spała spokojnym snem sprawiedliwego. Była jedynaczką i wiedziała, że wcześniej czy później to wszystko będzie należało do niej.

Długo w domu P. myślano co zrobić z precjozami i pieniędzmi. W końcu postanowiono, że sprzeda się tyle, aby po dołożeniu do oszczędności można było kupić marzenie rodziny — samochód i nowe meble.

Wkrótce państwo P. i ich córka pojechali na przejażdżkę nowiutkim polonezem kupionym na giełdzie. W kilka miesięcy później, na podwórko gdzie mieszkali wjechała lora z nowymi meblami. Stare, dzień wcześniej, zabrała do komisu meblowego.

Życie w domu P. wróciło do normy. Wścibskie sąsiadki próbowały się dowiedzieć skąd u P. ten nagły przypływ gotówki, ale rodzinna zmowa milczenia dała tylko żel dla plotek. Najczęściej mówiono o tajemniczym spadku, pieniądzach z zagranicy, toto lotku.

Zadowolenie Kazimierze P. z ulokowania pieniędzy w meblach i szczytowym osiągnięciu polskiej myśli motoryzacyjnej było jednak połowiczne — pełnię szczęścia mąciły myśli, jak pomnożyć zdobyte skarby. I wreszcie olśnienie — pieniądz musi być w ruchu!

Regularnie raz w tygodniu, w każdym z łódzkich dzienników ukazywały się ogłoszenia o kupnie bonów. Dawał je Kazimierz P. Na początku zawsze na ofertę. Na rozruch interesu sprzedał jeszcze trochę złota. Później oferty zbierali przez telefon jego znajomi, aż doszło do tego, że w szafce państwowego biurka, w państwowym zakładzie pracy, państwowa instytucja założyła mu prywatny telefon. Pan Kazimierz zastrzegł w informacji numer i nazwisko abonenta, i choć teraz sam zbierał większość ofert, to jednak jeszcze czasami korzystał z pomocy nieświadomych przyjaciół.

Najpierw był bardzo ostrożny i kupował tylko bony PKO — wtedy można było tylko nimi handlować. Później, wraz z rozkręcaniem interesu skupował też „żywą" walutę. Wykorzystując różnice cen jego skupu i cinkciarzy, odsprzedawał im dewizy z niewielkim zyskiem, który przy dużych kwotach dawał duży zarobek. Wykorzystywał także „regionalne" różnice cen i co kilka tygodni, w dni wolne od pracy wyjeżdżał w Polskę. Transakcje najczęściej przeprowadzał w hotelach, nocnych lokalach, zajazdach... Tam łatwo znajdował cinkciarzy — hurtowników. Sam w detal rzadko się bawił — zachodu z tym trochę było, bo trzeba było działać w dni, kiedy Pewexy i banki SA były otwarte. Detal był też trochę niebezpieczny, bo zawsze można było się narazić na, delikatnie to nazywając, niezbyt przyjemny kontakt fizyczny z „rodziną" obstawiającą Pewexy.

4.

Do stanu wojennego Kazimierz P. wyposażył mieszkanie w dwa kolorowe japońskie telewizory, wideo i sprzęt grający również z Kraju Kwitnącej Wiśni. Z pomocą bożą i ludzką — opłacał drogie korepetycje u wykładowców Akademii Medycznej — córka dostała się na medycynę. Sobie kupił nowego poloneza, a żonie i córce po „maluchu". Z rozpoczętą budową domu nie spieszył się, żeby „fiskus" nie zaczął przejawiać szczególnego zainteresowania. Postępował przemyślnie i ostrożnie, zupełnie inaczej niż nowobogaccy. Jedynym przejawem dostatku były samochody. On ubierał się więcej niż skromnie. Żonie też nie pozwalał na konfekcyjne szaleństwa.

— Na to przyjdzie czas — powtarzał przy zbyt wygórowanych prośbach, sprzeciwiał się, kiedy Teresa chciała się zwolnić z pracy i być „przy mężu". Jedynie córce, bo młoda i wokół niej powinien się kręcić męski świat, żeby mogła znaleźć odpowiedniego kandydata na męża, coraz fundował coś z ciuchów, ale pieniędzy na to nigdy dziewczynie do ręki nie dawał. Szli we dwójkę, albo trójkę i kupowali.

Stan wojenny zatrzymał trochę „interesy" — ludzie mniej wyjeżdżali, strach był jakiś ogólny, ale i tak dawał sobie radę. Wtedy drżał, żeby prywatny telefon w biurze nie został przez kogoś odkryty.

Pierwszą wpadkę miał w Katowicach. Pojechał tam w delegację, ale cóż szkodziło trochę dorobić do lichej diety. Żeby po powrocie nie budzić sensacji w pracy, że pojechał własnym samochodem i nie chce zwrotu za benzynę, kupił bilet kolejowy do Katowic. Szybko załatwił sprawy służbowe i zaczął się kręcić koło Pewexu. Koników pełen garnitur, ale tutaj też ruch w interesie największy i popyt duży, bo wódka w ciągłej sprzedaży. Zaparkował samochód dwie przecznice dalej i przeszedł się koło sklepu.

— Potrzeba czegoś? — zaraz usłyszał nad uchem.

— Po ile dzisiaj bony? A dolce?

Siódmy klient, którego „załapał" na rogu chciał od razu 700 dolarów. Poszli do samochodu i kiedy po przeliczeniu złotówek odliczał dolary, klient zgrabnie zapiął mu kajdanki. Zaraz zjawiło się jeszcze dwóch jakichś cywilów, wepchnęli go do auta, któryś z nich usiadł za kierownicą. Kiedy powoli przejeżdżali przed Pewexem kilku koników pomachało im ręką.

Zabrano mu wszystko co przy sobie miał: ponad trzy tysiące dolarów, tyleż bonów, trochę marek RFN i koron szwedzkich oraz niespełna dwa miliony złotych. Także samochód, jako narzędzie przestępstwa przepadł na Skarb Państwa. Żadnego innego przepadku nie było, bo więcej nie miał już nic. Wszystko było zapisane na żonę i córkę, zaś gotówka ukryta wspaniale i nie do odnalezienia.

Nie wiadomo, czy na skutek zabiegów adwokatów, czy grubej forsy, a może jednego i drugiego, z dwóch lat jakie miał odsiedzieć, za kratkami spędził tylko osiem miesięcy. Tam skończył uniwersytet w swoim „zawodzie", nawiązał kontakty.

5.

Kiedy w otwartych drzwiach „kryminału" zobaczył wolność, wiedział już, że nie będzie jadł chleba za państwowe pieniądze, że będzie na swoim. Rozglądał się za czymś, co dawało możliwość swobodnego jeżdżenia po kraju, a przy tym jeszcze jakiś stały zarobek. Myślał o taksówce, później transporcie zarobkowym.

Zdecydował się na krawiectwo. Znalazł krawcową bez pieniędzy. Z własnym zakładem, za to zdolną i pracowitą. Sprzedał „malucha" żony, spieniężył trochę cennych zapasów i zaczął rozkręcać interes. Kupił pięć maszyn do szycia, zapas tkaniny. Zakład swoim nazwiskiem firmowała żona do spółki z krawcową. On był mechanikiem maszyn, zaopatrzeniowcem, transportowcem. Zatrudnili legalnie czterech pracowników i zaczęli szyć bluzki. Kazimierz P. jeździł z towarem i dzięki znajomościom z więziennego uniwersytetu nawiązał nowe kontakty, wprowadzono go do dobrego towarzystwa właścicieli butików.

Kiedy zakład zaczął przynosić pierwsze dochody, wziął część należną rodzinie i rozejrzał się za walutą. Znów kupował z ogłoszeń. Jeżdżąc po kraju w swoich interesach zawsze miał przy sobie trochę bluzek. Wielokrotnie płacił drogówce myto, tylko dlatego, że był prywaciarzem. Przez jego ręce przepływały coraz większe ilości pieniędzy. Teraz już nie bawił się w detal. Za to zaczął zajmować się także cennymi kruszcami.

Pieniądze zapewniły mu względy kierowników sklepów jubilerskich. Kupował grube srebro i drobne złoto, które później odsprzedawał potrzebującym kolegom detalistom. W dni targowe, wyglądając raczej na nawiedzonego kolekcjonera niż posiadacza ogromnej fortuny, przemierzał Górniak i bazary w poszukiwaniu srebrnych monet, sztuców. Czasami zdarzył się stary złoty zegarek, bywały ekstra niskie ceny u nie zorientowanych frajerów. Życie układało się zupełnie dobrze.

Obydwa interesy szły nieźle. Córka kończyła studia, należało pomyśleć o mieszkaniu dla niej. Najpierw wykończył swój dom, o który do tej pory nie miał czasu zadbać tak, aby nadać mu ostateczny szlif. Później szybko zaczął budowę domu dla jedynaczki, kupił sobie „tanie" auto — FSO 1500, szybszy i wygodniejszy od „malucha", którym teraz zamiast córki jeździła żona.

Kiedy zaczęto mówić o nowych przepisach dewizowych, zaczął przewidywać erupcję konkurencji. Gromadził srebro, walutę, lisy. Jednym skokiem do Austrii chciał zapewnić „godziwy" byt swojej rodzinie. Za przywiezione pieniądze chciał szybko wykończyć córce dom. Resztę miał wpłacić na konto, aby po kilku latach procenty mogły uzupełniać dochód z krawiectwa, umożliwić zwiedzanie świata.

6.

Zamienił się z żoną na samochody, małego fiata zarejestrował na siebie i to była jedyna rzecz, jaką oficjalnie posiadał. Poza nim Kazimierz P. nic więcej nie miał!

W Krakowie przespał się w hotelu, wcześnie rano ruszył do granicy. Silnik pracował równym rytmem, samochód toczył się z prędkością 60—80 kilometrów na godzinę. Kazimierz P. nie palił więcej niż zwykle. Na ogolonej twarzy nie było widać zdenerwowania. Nie sądził, że spokój może być dla niego zgubny. A przecież tak niewiele brakowało. Tylko jeden szlaban.

BOGUMIŁ A. MAKOWSKI

ze str. 1

nieczne. Seks ma służyć niemal wyłącznie prokreacji. Czy taka jest rzeczywiście wola Boga? Nie wierzę. Dlaczego dobry Bóg miałby ograniczać ludziom korzystanie z największego źródła rozkoszy? Zachwalanie abstynencji seksualnej jest nieporozumieniem. Jeśli ktoś żyje w celibacie, to jego osobista sprawa i jego strata, ale po co namawia do wstrzemięźliwości innych? W pełni zgadzam się z poglądem, który wyraził niedawno prof. Wolfgang Bartholomäus. W wywiadzie udzielonym czasopismu „Der Spiegel" (1 V 1989) powiedział:

„Myślę, że sens przesłania biblijnego jest taki, iż tym, co sankcjonuje stosunek płciowy, jest miłość. A miłość jest możliwa nie tylko w małżeństwie. I dlatego to miłość, a nie formalny związek zawarcia małżeństwa, powinna stanowić o stosunku seksualnym dwojga ludzi. Gdy się naprawdę kochają, mogą wyrazić to również w stosunku seksualnym — nieważne czy w małżeństwie, czy nie. Za teorią oficjalnego Kościoła kryje się pesymizm seksualny, który uważa pociąg seksualny za coś zdrożnego. Dla mnie to coś pięknego".

Wolfgang Bartholomäus jest profesorem pedagogiki na wydziale teologii katolickiej uniwersytetu w Tybindze (Badenia-Wirtembergia). Był osobą duchowną, lecz ożenił się i zerwał z celibatem. Pozbawiono go za to kościelnego prawa nauczania, ale może pracować naukowo i wykładać na uczelni.

Teolog zachodnioniemiecki uważa dziś za dopuszczalne stosunki przedmałżeńskie. Młodzi muszą bowiem w pewnym stopniu eksperymentować, aby lepiej się poznać. Związki nieformalne — jeśli oparte są na miłości — mają własną wartość. Ślub kościelny wprowadzono przecież dopiero na soborze trydenckim (1545—63). Chodziło o silniejsze podporządkowanie wiernych Kościołowi. Od tamtego czasu do ważności małżeństwa wymagana jest obecność kapłana.

Seks dla wierzących i niewierzących

Wolfgang Bartholomäus szacuje, że około jednej trzeciej teologów katolickich i nauczycieli religii myśli podobnie jak on, nieraz nawet za wiedzą biskupów. Przełożeni reagują przeważnie tylko wtedy, gdy nieortodoksyjne poglądy stają się przedmiotem dyskusji publicznej. W hierarchicznej strukturze Kościoła papież i biskupi mają ostatnie słowo, chociaż nie zawsze mają rację. Ale w tak ważnej sprawie jak seks ludzie sami szukają słusznej drogi.

W krajach zachodnich psychologowie coraz więcej piszą dziś o życiu seksualnym, a coraz mniej o religijności. Gordon W. Allport zauważył, że zagadnienia religii i seksu jakby zmieniły się miejscami. Dawniej mało pisano o seksie, a dużo o religii.

„Dzisiaj, przeciwnie, psychologowie piszą ze szczerością Freuda czy Kinseya o namiętnościach seksualnych ludzi, a rumienią się i popadają w milczenie, kiedy mowa o żarliwości religijnej. Tylko bardzo nieliczni dzisiejsi autorzy podręczników psychologii poświęcają temu tematowi co najwyżej dwie wstydliwe stroniczki, mimo że religia, podobnie jak seks, należy do tych zainteresowań ludzkości, które mają charakter prawie uniwersalny".

Wiele badań nad religijnością i seksem prowadzi się także w naszym kraju. Dzięki temu wiemy, że przed 25 laty aż 40 proc. kobiet rozpoczynało życie seksualne dopiero po ślubie. Natomiast obecnie, choć religijność zdecydowanie wzrosła, odsetek ten zmniejszył się do 10—15 procent. Duchowni prowadzący wykazy ślubów i chrztów oceniają, że prawie co druga panna młoda jest już w stanie błogosławionym. Postulat czystości przedmałżeńskiej odrzuca ogromna większość młodzieży.

Czy to znaczy, że Kościół nie ma żadnego wpływu na obyczajowość seksualną?

Badania przeprowadzone w 1988 roku wśród studentów Uniwersytetu Łódzkiego wykazały, że istnieją jednak duże różnice między grupą osób uczestniczących w każdą niedzielę w mszy świętej (35 proc.) a tymi, którzy wcale nie chodzą do kościoła (17 proc.).

Na pytanie ankietowe — czy utrzymujesz stosunki seksualne? — uzyskano następujący rozkład odpowiedzi ogółu respondentów: tak, dość regularnie — 29 proc.; tak, od czasu do czasu — 27 proc.; nie, ale miał(a)em już pierwszy stosunek — 12 proc.; nie, nigdy nie miał(a)em stosunku seksualnego — 32 proc. Nie miało jeszcze nigdy stosunku 19 proc. mężczyzn oraz 38 proc. kobiet.

W grupie gorliwie praktykujących (w każdą niedzielę są na mszy) co druga osoba nie miała dotąd stosunku seksualnego (51 proc. kobiet i 41 proc. mężczyzn). Natomiast wśród tych, którzy nie chodzą do kościoła, tylko 16 proc. nie miało stosunku (18 proc. kobiet i 14 proc. mężczyzn). Pod tym względem w obu wyróżnionych zbiorowościach chłopcy i dziewczęta zachowują się podobnie.

Trzeba stwierdzić, że dużo studentów nie rozpoczęło współżycia płciowego. Wystarczają im pieszczoty (petting) nie kończące się spółkowaniem. Ale znaczny odsetek się onanizuje: dość często — 5 proc. (co dziesiąty mężczyzna i 2 proc. kobiet); od czasu do czasu — 15 proc. (28 proc. mężczyzn i 7 proc. kobiet); kiedyś próbowało — 29 proc.; a nigdy tego nie robiło 51 proc. (22 proc. mężczyzn i 68 proc. kobiet). Uprawia więc masturbację ponad jedna trzecia mężczyzn oraz prawie co dziesiąta kobieta wśród badanych studentów Uniwersytetu Łódzkiego.

W porównaniu z młodzieżą krajów zachodnich polscy studenci rzadko się onanizują. Na uniwersytetach Republiki Federalnej Niemiec uprawia masturbację aż 92 proc. mężczyzn i 72 proc. kobiet, a na amerykańskim Uniwersytecie Columbia aż 98 proc. mężczyzn oraz 54 proc. kobiet. We wszystkich krajach znacznie częściej rozładowują w ten sposób napięcie seksualne mężczyźni. Zbigniew Lew-Starowicz pisze:

„Masturbacja przestała być w powszechnym odczuciu źródłem kompleksów, poczucia winy, utożsamiania z patologią w wyniku wieloletniej działalności uświadamiającej na ten temat. Jest traktowana jako zastępcza forma realizacji potrzeb seksualnych, typowa w wieku młodzieńczym. Rzecz jednak w tym, że nie zawsze kończy się ona w okresie dojrzewania, jakkolwiek wówczas obejmuje większość mężczyzn i blisko połowę młodych kobiet. Z różnych badań wynika, iż u około 20 proc. dorosłej populacji stwierdzono zachowania masturbacyjne, które mogą być formą zastępczą wobec niemożności współżycia seksualnego, niemożności osiągania orgazmu we współżyciu przez kobiety. Zdarza się również masturbacja niezależnie od bardziej lub mniej udanego współżycia z partnerem".

W listach intymnych dwie studentki, Elżbieta i Maria, skarżą się, że w normalnych stosunkach nie osiągają pełnej satysfakcji. Obie są mężatkami. Prawdziwą rozkosz przeżywają w łazience, kiedy drażnią łechtaczkę strumieniem wody z prysznica. Nie mogą powstrzymać się przed tego rodzaju praktykami. Elżbieta wstydzi się powiedzieć mężowi, że jest gorszy od strumienia wody. Z powodu zbyt długich wizyt w łazience obawia się nawet, że może zawalić rok. Maria zaś wyznała mężowi, że miewa orgazmy tylko w trakcie pobudzania łechtaczki, ale wstydzi się powiedzieć o strumieniu wody. Unika wspólnych kąpieli z mężem, bo odnosi wtedy wrażenie, że jest nienormalna, zboczona. Próbowała się również pobudzać ręką, ale bez rezultatu. Doznaje orgazmu tylko w ten jeden sposób.

Czytając podobne listy i słuchając różnych zwierzeń dochodzę do wniosku, że kobiety coraz częściej domagają się orgazmu. Wiedzą już bowiem, że mają prawo do maksymalnej rozkoszy. Czytają kobiece czasopisma, oglądają filmy erotyczne i myślą sobie, dlaczego inne tak często wstępują do raju, a pod ich kołdrą jest smutno i nieciekawie. Przez to prowokują seksualnie obcych mężczyzn. Udają łatwiejsze do zdobycia niż naprawdę są.

Pewien doświadczony mężczyzna twierdzi, że w dziedzinie erotycznej jest najwięcej pozorów.

Podobno trudniej uwieść prowokatorki, aniżeli kobiety stateczne, uchodzące za wzorowe mężatki. Uosobienia skromności i niewinności prowadzą nieraz podwójne życie. Modlą się w kościele, a mają demona seksu w ciele. Skrajny przypadek opisał w powieści „Piękność Dnia" Joseph Kessel.

Severine była dwa lata po ślubie. Miała dobrego męża. Kochali się wzajemnie. Wszyscy brali ich za nowożeńców odbywających dopiero podróż poślubną. Ale młoda kobieta nie odczuwała pełni satysfakcji. Kochała własne ciało i dostrzegała w nim niewyjaśnioną lubieżność. Na zewnątrz zaś objawiała prawie dziką wstydliwość. Dlatego nikomu do głowy nie przyszło, że piękna i młoda mężatka regularnie odwiedza dom schadzek. W godzinach od drugiej do piątej oddawała się obcym mężczyznom odwiedzającym lokal Madame Anais przy ulicy Virene. Znano ją tam pod pseudonimem Piękność Dnia.

Przywiodło ją do domu publicznego rozwiązłe pragnienie i równocześnie powstrzymywał lęk przed całkowitym upadkiem. Ale z czasem wstydliwość i przestrach wyczerpały się. Już na początku doświadczona Madame Anais zauważyła w spojrzeniu Severine nieśmiałą skargę seksualną. Młoda kobieta nie szukała czułości, delikatności i zaufania, bo to wszystko otrzymywała w nadmiarze od własnego męża. Natomiast pragnęła zachwycającej, zwierzęcej rozkoszy, którą dawali jej bywalcy domu schadzek. Byli to prości mężczyźni, zupełnie niepodobni do męża pracującego w szpitalu jako chirurg.

„Skoro los nie pozwolił, żeby otrzymała od Pierre'a dar, jaki przynosili jej nieznani prostacy, cóż mogła na to poradzić? Czyż musiała się wyrzec rozkoszy, która u innych kobiet łączyła się z ich miłością. Gdyby była obdarowana tym szczęściem, czy przebiegałaby tę straszliwą drogę? Któż więc mógł jej wypominać uczynki, jakich domagały się od niej tkanki, za które nie była odpowiedzialna? Miała to samo prawo, co każde zwierzę, do poznania świętego spazmu, jaki wiosną każe ziemi zadygotać mokrym dreszczem".

Pewnego razu została zaproszona wraz z mężem przez dwóch młodych chirurgów. Jeden z nich uchodził za mężczyznę odnoszącego same sukcesy u kobiet. W tańcu śmiało i bezczelnie przyciskał się. Ale jego brutalność budziła w Severine tylko wzgardę, ponieważ uwodziciel światowych dam nie miał prymitywnej dzikości klientów domu publicznego. Powiedziała mu w końcu, że nie jest stworzony do gwałtu...

Severine bardzo kochała i szanowała swego męża, nie chciała go skrzywdzić, pragnęła uratować małżeństwo. Ale ulegała fatalnemu prawu zmysłowej przyjemności bez głębszych przeżyć duchowych. W ramionach prostaków doznawała rozkoszy gwałtowniejszej niż jej najbardziej lubieżne doświadczenia. Silny popęd seksualny doprowadził ją do prostytucji. Skończyło się to tragicznie.

Niełatwą chyba rolę Severine znakomicie zagrała Catherine Denevue w filmie „Piękność Dnia" Luisa Bunuela. Światowa publiczność masowo oglądała udział dobrze wychowanej kobiety w perwersyjnych praktykach domu schadzek. Wśród milionów widzów z pewnością było wiele mężatek rozczarowanych własnym życiem seksualnym. Czy któraś z nich skrycie marzyła o naśladowaniu Severine? Chyba tylko skrajne dewiantki? Normalna kobieta może bowiem myśleć o cudzołóstwie, lecz nie o prostytucji i domu publicznym. Przed krokiem w lewo czy w prawo powstrzymuje ją zresztą poczucie godności, wstyd, bądź strach przed naruszeniem szóstego przykazania.

Biblijny zakaz cudzołóstwa dotyczył bardziej kobiet niż mężczyzn.

Prawo żydowskie zezwalało na wielożeństwo i tolerowało konkubinat. Żonaty mężczyzna nie mógł łączyć się tylko z kobietami zamężnymi. Mężczyzni byli uprzywilejowani, ponieważ Bóg jest rodzaju męskiego i prorocy byli mężczyznami. Po dziś dzień tak jest, że mężczyźnie więcej wypada i uchodzi niż kobiecie. W pewnym sensie jest to zgodne z naturą.

Moim zdaniem religijne zakazy dotyczące życia seksualnego są potrzebne. Nawet mroczna aura grzechu zawiera pozytywne elementy. W wierszu Małgorzaty Hilar dziewczyna kładzie się na sianie, rozrzuca ręce do gwiazd i dostrzega nad sobą oczy chłopca *„czarne ciężkie jak grzech"*. Podobne uczucie udziału w czymś grzesznym ma chyba większość młodych dziewcząt rozpoczynających życie seksualne. Wierzące i niewierzące są świadome odwiecznych nakazów i zakazów moralnych. Źle jest tylko wtedy, gdy wyżej od seksu stawia się celibat. Nie potrafię zrozumieć osób dobrowolnie rezygnujących z przyjemności seksualnej. Żal mi młodych zakonnic, które — jak w innym wierszu Małgorzaty Hilar — *„nie pieszczą twarzy ukochanego"* i *„nie usłyszą nigdy płaczu własnego dziecka"*.

Najtrudniej zrozumieć takie kobiety jak Lotika z powieści Ivo Andricia „Most na Drinie". Ta młoda wdowa miała ogniste oczy, krucze włosy, ponętne kształty. Była *„piękna i uwodzicielska, a zarazem cnotliwa i chłodna"*. Prowadziła hotel w małym miasteczku, przyciągała tłumy kochliwych mężczyzn, lecz nie pozwalała im na żadne poufałości. W dyskretny sposób wspierała osoby będące w tarapatach.

„A czyniła to z taką samą zręcznością, z jaką prowadziła hotel i trzymała na wodzy spitych, rozmiętnionych i natarczywych gości, zabierając im wszystko, co się dało, w zamian nie dając nic, ale nigdy nie odtrącając ich na stałe i całkowicie".

Wszyscy mężczyźni za nią szaleli. A ona igrała jak toreador z bykami. Potrafiła sobie poradzić nawet z rozwydrzonymi, ordynarnymi osobnikami w niebezpiecznych chwilach ich pijaństwa. Z większością gości postępowała jak z chorymi. Znała słabe strony tych *„zmysłowych uczuciowców"*. Wyróżniała tylko Alibeja Paszicia, z którym dłużej rozmawiała. Był to człowiek skromny, spokojny, powściągliwy i zamknięty w sobie. Mieszkańcy uważali, że z powodu Lotiki pozostał w kawalerskim stanie.

Lotika ciężko pracowała, lecz nie dla siebie. Wysyłała pieniądze bliższym i dalszym krewnym. Korespondencyjnie kierowała losami blisko tuzina rodzin w Galicji, Austrii i Węgrzech. W pomaganiu innym znajdowała jedyną przyjemność. Seks dla niej nie istniał. Ale płynął czas. Nadeszła starość i złe lata.

„Lotika podupadła. Z jej dawnej piękności pozostały tylko ślady. Jest chuda, twarz ma woskową, włosy przerzedzone na ciemieniu i bez połysku, a zęby, jej śliczne, jak perły równe i zdrowe zęby wyszczerbiły się i pożółkły. Spojrzenie czarnych, zawsze jeszcze ognistych oczu jest twarde, chwilami smutne".

Przypomniane wyżej losy Severine i Lotiki oraz inne przykłady wskazują, że skrajne postawy wobec seksu kończą się porażką życiową. Nie warto się prostytuować, a szkoda żyć w celibacie. Jak we wszystkim zresztą, trzeba znaleźć właściwą miarę, co nie jest takie łatwe.

MIROSŁAWA SARBIŃSKA

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI PREZENTUJE:

Miss Polonia '89

JOSIF BRODZKI

Tyranowi

Bywał tutaj: chleć jeszcze nie w gali —
w sukiennym palcie; opanowany, przygarbiony.
Siadał jak zwykle, zamawiał kawę,
którą później dopijał z kulturą światową,
w ten sposób jakby brał odwet (nie na nim,
lecz na Czasie) za ubóstwo, upokorzenia,
za marną kawę, znudzenie i bitwy
w dwudziestym pierwszym, przegrane przez niego.

A Czas wchłonął ten odwet.
Teraz tu pełno ludzi, wielu śmieje się,
zbyt głośne płyty. Lecz najpierw, jak usiąść
za stolikiem? W jaki sposób obejrzeć się za siebie?
Wszędzie plastyk, nikiel — to wszystko nie to;
w ciastkach posmak bromu.
Niekiedy, tuż przed zamknięciem, wracając z teatru
bywa tutaj, ale incognito.
Kiedy wchodzi — wszyscy wstają.
Jedni z obowiązku, drudzy — ze szczęścia.
Ruchem dłoni poufałym
przywraca przytulność wieczoru.
Pije swoją kawę — lepszą, niż wówczas,
i jo rogalik, przysiadłszy w fotelu,
tak smaczny, jak martwi: «O, taki»
nawołałby, jeżeliby zmartwychwstał.
1972

Przełożył: ADAM A. ZYCH

Poczta literacka

Pani J. K. — Łask. To miłe uczucie, kiedy po latach otrzymuje się list od osoby, która była słuchaczką wykładów z teorii literatury swego czasu prowadzonych przeze mnie. Mam nadzieję, że niebawem porozmawiamy nie tylko o poezji i wierszach, które Pani do listu załączyła, ale także o ważkich problemach egzystencjalnych; bowiem te stanowiły znaczną część Pani tekstów. „Porada literacka" na łamach „Odgłosów" byłaby z konieczności krótka, niepełna, rzecz zaś wymaga dłuższej rozmowy. Pozdrawiam.

Pani A. M. F. — Poznań. Do Poznania trochę dalej niż do Łasku. Może jednak pojawię się na kolejnym Listopadzie Poetyckim. Chciałbym bowiem także poza kilkoma zdaniami oceniającymi Pani wiersze „dopowiedzieć" dokładniejszą poetykę tych interesujących (choć nierównych pod względem artystycznym) tekstów, uzasadnić swoje uwagi krytyczne. Ma Pani talent i byłoby bezsensownie komplementować wiersze tylko gwoli sprawienia autorce radości. Wybaczone mi zatem będzie (mam nadzieję!) mentorstwo, bowiem czynione w imię dobrej sprawy. Podobał mi się szczególnie wiersz „Ewa". Musi wszakże odczekać „w kolejce" na swoją możliwość ujawnienia się w „okienku z wierszem".

ZABYTKOM NA RATUNEK

Czy tylko pieniądze?

MARIAN ZDROJEWSKI

Zacznijmy od początku. W „Życiu Warszawy" z 17 czerwca br. ukazał się felieton pt. „Byczo jest!". Autor, podpisujący się inicjałami „B.St.", powołując się na audycję programu I PR, a w niej na rozmowę ze Stanisławem Mikulskim i wypowiedzi innych osób, zauważa z jaką troską władze republiki białoruskiej zaczęły otaczać drogie naszemu sercu pamiątki narodowe. I na tym tle konstatuje ze smutkiem, „iż na naszej rdzennie polskiej ziemi, na terenie naszego państwa wbrew oficjalnemu, urzędowemu optymizmowi, tyle pamiątek historycznych idzie ku ostatecznej ruinie, bez zbytnich nadziei na ich uratowanie (...). Tam troska — tu milczenie. Coraz mniej się o zabytkach mówi, coraz rzadziej pisze, nasz spadek historii zaczyna powlekać mgła zapomnienia — pisze B. St. I na koniec, powołując się na publikację Romana Kubiaka, pt. „Bliżej agonii", zamieszczoną w nr. 23 „Tygodnika Kulturalnego", cytuje jej obszerny fragment odnoszący się do sytuacji w Łodzi:

„Zabrane przedwojennym właścicielom pałace, do których wprowadziły się urzędy, szkoły, muzea i fabryki, trzymały się nad wyraz długo i uparcie. Nawet bez przydziałowego cementu i rąk konserwatora zabytków. Zespół budynków Herbsta przy ul. Przędzalnianej, zdobiony malowidłami ściennymi i witrażami, otoczony parkiem i oranżerią, równo 30 lat dewastowała spółdzielnia inwalidów, produkująca bombki choinkowe. W dziele niszczenia nie ustępowała jej, po sąsiedzku zakwaterowana, Polska Akademia Nauk. XIX-wieczny pałac Grohmanów również dostał się fabryce. ZPB im. Obrońców Pokoju urządziły w nim przedszkole dla dzieci swoich robotników. Po zamienieniu pałacowych wnętrz w rumowisko, drzwi zabito deskami. Ten sam zakład, kiedy już wystawił maszyny z będącej w rejestrze zabytków „białej przędzalni" zburzył ją (...). Pałac Heintzla został (...) mianowany szpitalem, pałac Poznańskich, wyższą uczelnią, a na słynnych parkietach Scheiblera stanęły urzędnicze biurka. Mniej reprezentacyjne obiekty można dziś obejrzeć tylko na starych fotografiach. Los pałaców podzielają śródmiejskie kamienice...".

I oto na łamach „Rzeczpospolitej" (z dnia 8—9 lipca) głos zabrał na ten temat minister Aleksander Krawczuk, posiłkując się konkretnymi przykładami i jakby nie dostrzegając, iż problem leży w czym innym, „Faktem jest, że autor felietonu może wskazać dziesiątki, a może i setki obiektów w Łodzi, które nie są z różnych względów otaczane opieką — pisze min. Krawczuk. — Ale ja za to mogę wskazać setki obiektów, które zostały w ostatnich latach, właśnie w latach kryzysu, uratowane, oddane do użytku, otoczone należytą opieką. Dotyczy to całego kraju. Zajmijmy się jednak samą Łodzią, bo o niej mówił autor artykułu w swoim felietonie.

Podam tutaj listę kilkunastu obiektów, które właśnie w bieżącym roku są restaurowane, zabezpieczane, w dużej mierze z funduszy ministerstwa kultury. A więc:

Zespół rezydencjonalny, pofabrykancki, Łódź, ul. Tylna 9, odbudowywany dla potrzeb Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego (...). Dawna fabryka przy ul. Piotrkowskiej 282 — remontowana na rzecz Centralnego Muzeum Włókiennictwa. Pofabrykancki zespół rezydencjonalny adaptowany na Muzeum Wnętrz XIX w. (będzie to filia Muzeum Sztuki), przy ul. Przędzalnianej 72. Budynek handlowy adaptowany dla potrzeb ekspozycji sztuki nowoczesnej Muzeum Sztuki, ul. Piotrkowska 98. Zespół rezydencjonalny, pofabrykancki, adaptowany dla potrzeb Muzeum Kinematografii przy placu Zwycięstwa 1. Pałac pofabrykancki adaptowany dla potrzeb Muzeum Historii Miasta Łodzi, ul. Ogrodowa 15. Dom pofabrykancki adaptowany po pożarze dla potrzeb Domu Środowisk Twórczych, aleja Kościuszki 33 (...). Jeszcze mamy w Łodzi cmentarz żydowski, mauzoleum Poznańskiego, mamy nasz udział w ratowaniu ratusza miejskiego, mamy przy ul. Wigury willę pofabrykancką adaptowaną na siedzibę PTTK, taką samą willę przy ul. Szkolnej, gdzie mieści się szkoła rolnicza (...). Oczywiście — pisze min. Krawczuk — można wskazać w Łodzi obiekty, które idą w ruinę, bo brak środków, czy też nikt nimi się nie chce zająć. Łatwo wskazać, co trzeba robić, ale problem jest taki: po pierwsze za co, po drugie kto to będzie użytkował, kto będzie utrzymywał. Bardzo często instytucje czy zakłady nie kwapią się do tego, bo rzecz jest bardzo kosztowna, mało efektowna. Jest bardzo wiele zabytków, których nikt nie chce przejąć...".

„To wszystko powiedziałem szczerze i z głębi serca — napisał min. Krawczuk — ale również muszę powiedzieć, że nieco mnie zaskoczył felieton noszący tytuł „Byczo jest!" (...). Zaskoczył mnie dlatego, że są w nim jakieś — mówiąc łagodnie — dysproporcje, czy też powiem mocniej — niesprawiedliwości, jeśli chodzi o ocenę sytuacji zabytków w różnych rejonach".

Otóż podobnie, jak autora przytoczonych słów zaskoczył felieton w „Życiu Warszawy", tak mnie pewne fragmenty wypowiedzi ministra Krawczuka, a raczej — mówiąc łagodnie — nieścisłości, które są także zaskakujące.

Nie wiem z jakich źródeł czerpał pan minister przytaczane szczegóły. Ja posłużę się materiałami przedstawionymi Komisji Kultury Rady Narodowej m. Łodzi oraz wiedzą wyniesioną z wizytacji obiektów, dokonanej przez komisję. Zacznijmy od zespołu rezydencjonalnego przy ul. Tylnej 9. Jest to XIX-wieczny pałac Grohmanów, który w stanie całkowitej ruiny przekazały miastu ZPB im. Obrońców Pokoju, czyli dawne zakłady Scheiblera i Grohmana. Po wieloletniej eksploatacji i całkowitej dewastacji odmówiły jakiejkolwiek rekompensaty. W 1983 roku miasto przekazało obiekt Muzeum Archeologicznemu i Etnograficznemu. W dwa lata później przystąpiono do remontu z wymianą konstrukcji dachowej, stropów, instalacji. Do tej pory udało się zaledwie wykonać remont więźby dachowej, wymianę pokrycia dachowego i częściową wymianę stropów, a zakończenie — to brakujące setki milionów złotych, a więc daleka przyszłość.

Dawna fabryka przy ul. Piotrkowskiej 282 to jeden z najstarszych obiektów przemysłowych Łodzi (tzw. biała fabryka), użytkowany przez Centralne Muzeum Włókiennictwa. Dopiero ekspertyza techniczna, która wykazała groźbę katastrofy budowlanej spowodowała wprowadzenie obiektu do planu remontów. Wydano już 76 mln zł, w tym 34 mln zł z nadwyżek budżetowych RN. Zakończenie remontu przewiduje się na przyszły rok.

Wspomina też pan min. Krawczuk o adaptowanym budynku handlowym, przy ul. Piotrkowskiej 98 dla potrzeb ekspozycji sztuki nowoczesnej Muzeum Sztuki. Rzeczywiście, taki był zamysł, aby ten — niewiele mający wspólnego z zabytkiem — dom (tzw. Dom Buta), przeznaczyć na potrzeby Muzeum Sztuki, nb. bardziej znanego i docenianego w Paryżu czy Nowym Jorku niźli we własnym kraju. Przyobiecano ten obiekt w zamian za wcześniej obiecane zabudowania fabryczne, przy zbiegu ulic Mickiewicza i PKWN. Podczas gdy zabudowania fabryczne nie wymagałyby tak szerokiego zakresu prac adaptacyjnych, tak stan techniczny owego „Domu Buta" wymagać będzie nakładów obliczanych dziś na 1,5 miliarda złotych. „Adaptacja" obejmie bowiem budowę łącznika z sąsiadującym kinem i jego adaptację. Przy dotychczasowych nakładach i możliwościach, remont musiałby trwać co najmniej 20 lat. Stąd coraz głośniej o usilnych poszukiwaniach zasobnego użytkownika. A jedyne zadanie, które udało się zrealizować dla potrzeb Muzeum Sztuki to remont zespołu rezydencjonalnego Herbstów, przy ul. Przędzalnianej 72 z przeznaczeniem na Muzeum Wnętrz. Lecz do jego zakończenia pozostała konserwacja malowideł, westybulu, witraży, zagospodarowania ogrodu zimowego i parku.

Rzecz jednakże nie w prostowaniu nieścisłości. Województwo łódzkie charakteryzuje się głównie reliktami urbanistycznymi dawnych osad włókienniczych, unikalnym w skali polskiej budownictwem przemysłowym — fabrykami, domami tkaczy, a także pałacami, willami pofabrykanckimi o bardzo bogatym wystroju, zachowanym nierzadko do dziś w niezmienionej formie, nie mówiąc już o licznych kamienicach posiadających cechy eklektyzmu i secesji, czy 68 cmentarzach, spośród których 4 objęto ścisłą ochroną konserwatorską (wśród nich unikalne w kraju przykłady sztuki sepulklarnej, że wymienimy ponad 40-hektarowy cmentarz żydowski z 200 tys. nagrobków).

Zabytkowych obiektów architektury i budownictwa jest tu 2.176, z czego 80 proc. stanowią domy mieszkalne. Ewidencją konserwatorską objęto na terenie miasta 1.065 obiektów. Tymczasem środki na rewaloryzację — pochodzące głównie z CFRK — zaledwie w 1/3 zabezpieczają potrzeby. W ub.r. wyniosły 199.200 tys., zaś na ten rok — 270 mln zł. Z przeznaczeniem na zabytki architektury, parki, cmentarze i zabytki ruchome, zaś na samą architekturę — zaledwie 195 mln zł. Owszem, dodatkowo, w drodze usilnych starań, pozyskano 150 mln zł z nadwyżki budżetowej RN. Wszystko to ma wystarczyć na osiem poważnych zadań, wśród których są obiekty muzealne, kultury, natomiast sam wykaz obiektów zabytkowych, w których trwają prace remontowo-konserwatorskie liczy sobie 17 pozycji i 27 obiektów remontowanych przez inne resorty. Wszystko to sprawia, że remonty trwają wiele lat i wciąż w tych samych obiektach.

Pan min. Krawczuk pisze na koniec, że jest bardzo wiele zabytków, których nikt nie chce przejąć, choć wcześniej i później wymienia (PTTK, Szkołę Rolniczą, Politechnikę Łódzką) liczne przykłady obiektów przejętych i zadbanych. Rzecz, jak się wydaje, sprowadza się nie tylko do pieniędzy. Owszem, do pieniędzy także, lecz w pierwszym rzędzie do nowych uregulowań prawnych, podatkowych. Żeby ratować to, co dzisiaj wymaga pilnych i nie cierpiących zwłoki starań potrzeba miliardów złotych. Ile z tych milionów i miliardów winni pokryć sprawcy dewastacji zabytków, ich dawni użytkownicy!? Czy i kiedy obciążymy sprawców takiego wandalizmu? Czy i kiedy ukrócimy bezprzykładne marnotrawstwo naszego dziedzictwa?

Sposobów jest wiele. Metody znane są w krajach rozwiniętych. W pierwszym rzędzie — pokrywanie kosztów dewastacji, zrujnowania obiektów, traktowanego w całym cywilizowanym świecie za coś niezwykle nagannego, potępianego. To do właścicieli, użytkowników, należy udział w wydatkach, kosztach zachowania obiektu, remontowania. Także i w wysokich czynszach — sposobów jest wiele. Jednakże jednym z najbardziej skutecznych jest system podatkowo-kredytowy, opłacalny dla obu stron, w pierwszym rzędzie broniący przed wandalizmem, który gdy jest, jak u nas, powielany w wielu mutacjach niesie ze sobą zastraszające skutki społeczne w różnych obszarach życia.

Postronny czytelnik może odnieść wrażenie, iż dopiero hałas wokół łódzkich zabytków uczyniony w prasie centralnej skłonił nas do zabrania głosu. Otóż pragnę przypomnieć, że w 8 nr. „Odgłosów" przedstawialiśmy dramatyczną sytuację w jakiej znalazły się łódzkie zabytki. Tyle tylko, że nikt z odpowiedzialnych osób na to nie zareagował. Podobnie jak na publikację w „Tygodniku Kulturalnym". Dopiero felieton w „Życiu Warszawy" wywołał reperkusje. Tylko że nie w „wyliczance": co, gdzie i za ile zrobione leży problem, lecz w nowym podejściu, w nowych uregulowaniach prawnych, o których czas najwyższy pomówić głosno.

Pestki dyni

Kraj nasz od niejakiego czasu przypomina stonogę, która nagle zaczęła się zastanawiać, w jakiej kolejności powinna stawiać nogi. Co było ze stonogą — wiemy. Co będzie z nami — nie.

Teleexpress namawia młodych ludzi do szukania i poznawania swoich korzeni, do odtwarzania drzew genealogicznych. Każda rzecz warta jest poznania; pochodzenie własnej rodziny, nazwiska — tym bardziej. Tym bardziej, że znajomość historii w ogóle i w szczególe jest u nas mizerna. Lecz ja bym zachęcał do innej praktyki. Szczerze zachęcał. Tak młodych, jak i starych i tych mających po 40 lat. Mianowicie do pisania kroniki codziennej, notatek aktualnych, pamiętników. Warto to wszystko, co się dzieje wokół utrwalić na piśmie, bowiem sami sobie, po kilku latach nie będziemy wierzyli, żeśmy to przeżyli istotnie. Że byliśmy tego wszystkiego świadkami naocznymi. A już wnukowie, to zupełnie nam nie uwierzą. Zapiski powinny dotyczyć spraw dużych i małych; szczególnie małych, drobnych, codziennych, szarych pozornie — przez nie bowiem dopiero możemy ujrzeć, i być może zrozumieć — niezwykłość czasów i ludzi.

Przytoczę anegdotę, którą wyczytałem u K. Mielińskiego, w „Tygodniku Kulturalnym" (17.IV.88) o baronie Rothschildzie, tym paryskim. Otóż James poza tym, że był świetnym bankierem — to był ekscentrycznym snobem i salonowcem typu „dandy" na skalę swego majątku, który był ogromny. Przyjaźnił się z królami, arystokracją i artystami... Pewnego razu Delacroix poprosił Rothschilda: — Czy nie zechciałbyś pozować mi jako model? Zamierzam bowiem namalować żebraka. Ty zaś sprawiasz wrażenie takiego, któremu nic w życiu nie wychodzi... James był rozbawiony. Nazajutrz przyszedł do atelier malarza wystrojony w szmaty, zmieniony nie do poznania. Gorliwy służący malarza wyrzucił go jednak za drzwi, wręczając mu na pociechę jednego franka. Następnego dnia u Delacroix pojawił się ubrany w liberię lokaj Rothschildów, prosząc o rozmowę ze służącym. Kiedy ów stanął przed nim, lokaj wręczył mu kopertę. W znajdującym się wewnątrz liście napisane było: — „Miły Panie, zwracam kapitał, który dałeś mi wczoraj wraz z odsetkami. Załączam przy tym czek na dziesięć tysięcy franków, który możesz zrealizować w dowolnym banku. Baron de Rothschild".

Ktoś złośliwy (pamiętliwy? dociekliwy? asekurant?) mógłby mnie zapytać, czy wiem skąd pochodzi i co znaczy nazwisko Rothschild? Owszem. Protoplasta rodu, Mayer Amschel, który miał kantor wymiany we Frankfurcie, w drugiej połowie XVIII wieku, robił coraz większe pieniądze, ale nie był zadowolony, że nazywa się Mayer Amschel. Na frontonie domu, w którym miał kantor wisiał czerwony szyld — r o t h s c h i l d. Mayer połączył to w jedno słowo. Ot, i cała historia.

„Przekrój" doniósł ostatnio o zagrożeniu spuścizny artystycznej rodziny de Pugetów-Puszetów: Ludwika, Jacka, Zofii, Albany. Jakie to smutne, że rzecz cała dzieje się w Krakowie i to w dużej mierze za sprawą tamtejszych urzędników „od kultury". Pugetowie przyjechali do Polski z Francji w 1680 roku, a do Krakowa — w 1750 r. Rodzina to dla kultury naszej w ogóle, a dla Krakowa szczególnie wielce zasłużona... A jednak NIC to nie znaczy. Nie tylko zbiory, archiwum i dorobek artystyczny Pugetów niszczeje, również pałac rodzinny doszczętnie zrujnowany... Nie jest to wypadek odosobniony. Przedtem załatwiono Kossakówkę (zbiory są „aż" w Płocku, dom zburzony), drukarnię Anczyca też załatwiono — lista byłaby długa jak stąd do księżyca albo jeszcze dłuższa. Nie zawsze o jakiejś takiej zbrodni decyduje brak pieniędzy. Bardzo, bardzo często — głupota, znieczulica, zawiść, brak rozumu i sumienia.

Żeby trochę odejść od tych smutnych rzeczy podzielę się wierszem erotycznym, który znalazłem w piśmie „Amorek": Były chwile/ Bajkowego szaleństwa/ Dni gorące/ i noce bez snu./ Rozkosz ziemi/ Wzlatująca do słońca/ Zaplątana/ W pajęczynę słów./ Była zieleń/ I kwiaty/ Na łące./ Drżące serca/ I słodycz ust./ I kropelki potu/ Błyszczące/ Jak lusterka/ Lub/ Jak baloników rój./ Było ciepło/ Ramion/ Bez końca/ Splatających się/ W warkocz/ I znów/ Powracały westchnienia/ Wznoszące/ Na nieboskłon/ Nasz żywot,/ Nasz cud./ Nasze życie/ Tak bujne, kipiące/ Nasza miłość/ Budziła ze snu./ Nasze oczy/ Wciąż gorejące/ Wysysają z serc/ Naszych miód./

Podpisane to jest: eSKael. Gratuluję!!!

Chciałbym, żeby mi kiedyś jakieś oczy wyssały z serca mego miód, doszczętnie. Ale pewnie nie dożyję.

ANDRZEJ GRUN

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

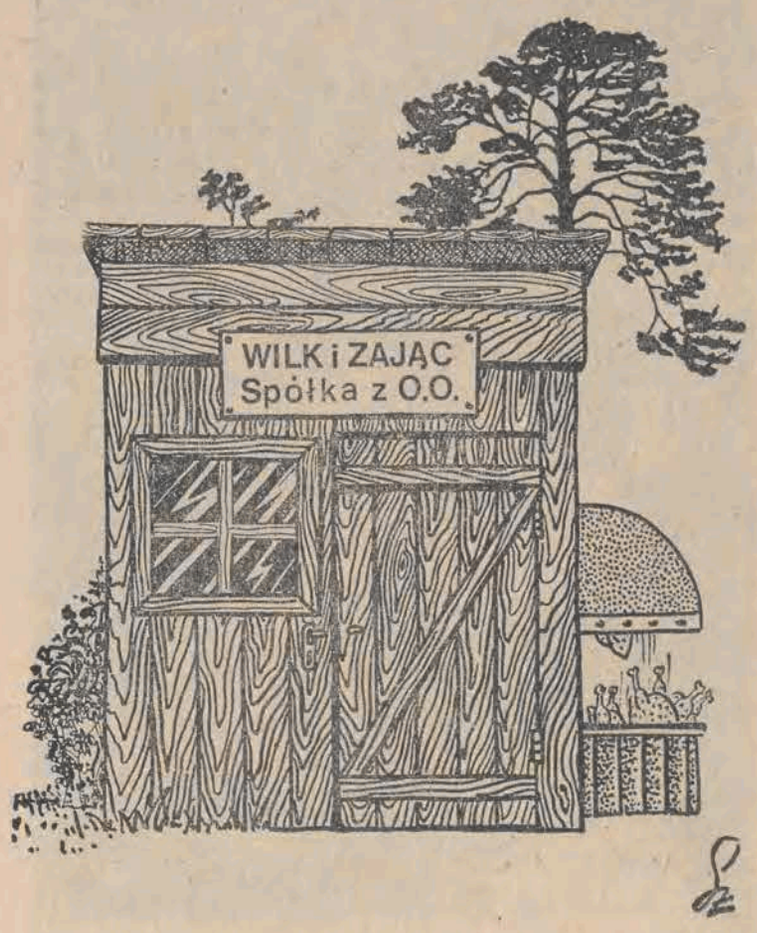

Rys. Sławomir Łuczyński

ZDRAJCA WŁASNEJ KLASY

„W pewnym sensie **Michaił Szemiakin** jest zdrajcą swojej własnej klasy. Ten urodzony w Moskwie malarz wywodzi się z niższego szczebla nomenklatury — radzieckiej elity. Jego ojciec był pułkownikiem w wojsku, matka — znaną przed wojną aktorką. Jako uprzywilejowany, Szemiakin został przyjęty na Akademię im. Riepina w Leningradzie — jedną z najlepszych akademii sztuk pięknych w ZSRR. Wkrótce jednak młody artysta odrzucił kanony realizmu socjalistycznego i naraził się władzom z powodu swego stylu w malarstwie i w życiu. Wyrzucono go z akademii, zamknięto w szpitalu dla umysłowo chorych i w 1971 wydalono wreszcie z kraju. („Newsweek").

Dziś jego sztuka jest równie bezkompromisowa i antyradziecka jak zawsze. Dzięki zmianom zapoczątkowanym przez głasnost Szemiakin powrócił jednak — nie bez pewnych obaw — do swego kraju, który niegdyś uważał za „klatkę"... „Dawniej artystów rozstrzeliwano — wspomina Szemiakin. — Za czasów Chruszczowa i Breżniewa osadzano ich tylko w szpitalach psychiatrycznych". Wobec niekonwencjonalnego stylu życia i pracy Szemiakina władze wydały — jak mówi on sam — »ogólnikową diagnozę: łagodna schizofrenia«. Szemiakina umieszczono w szpitalu psychiatrycznym, gdzie — wespół z innymi pacjentami — po raz pierwszy wystawił swoje prace w 1961 roku. Artysta twierdzi, że w szpitalu poddawano go zabiegom mającym wywołać wstręt do sztuki. Lekarze wstrzykiwali mu m.in. jakiś lek, po czym, założywszy mu słuchawki na uszy, wykrzykiwali na takich współczesnych artystów jak Picasso i Dali. Szemiakin uważał te zabiegi za niepoważne, mimo to jednak, jak twierdzi, ogarniał go po n'ch »podświadomy strach«, kiedy tylko próbował malować... Po roku jego matce udało się uzyskać zwolnienie syna ze szpitala. Kiedy wychodził, jego lekarz zauważył sardonicznie: »Do zobaczenia niebawem«. I rzeczywiście — wspomina Szemiakin — znajdowałem się wówczas w takim stanie, że miałem ochotę tam wrócić i prosić ich o pomoc".

„SEMAFORLAND" POWINIEN BYĆ...

„Muzeum historii filmu i dziejów łódzkiej szkoły filmowej było hasłem, na które odezwali się ludzie w całym kraju. Głównie animatorzy kultury, którzy, nie znając się wzajemnie, uprawiali już pewne formy muzealnictwa, zbierali fotografie, stare aparaty filmowe, taśmy, czasopisma filmowe — powiedział dla tygodnika „Film" **Antoni Szram**, dyrektor Muzeum Kinematografii. — Oczywiście pomysł filmoteki był piękny, ale wiedzieć jak się zabrać do organizacji muzeum mass mediów, to zupełnie inna historia. Głównym ośrodkiem przemysłu kinematograficznego jest Łódź. Tu rozwijano badania filmoznawcze i prace warsztatowe mistrzów łódzkiej szkoły filmowej. W Łodzi uczy się sztuki filmowej, tu wykładają filmowcy, prowadzi się ćwiczenia operatorskie. Muzeum Kinematografii to coś między Muzeum Techniki a Filmoteką (International Museum of Photography Film and Television w Bradford), albo między panoptikum a świątynią sztuki (Museum d'Orsay w Paryżu — muzeum na dworcu zbudowanym w 1900 roku, o powierzchni użytkowej 47 tys. m kw.)... albo między graciarnią a salonem...".

Na pytanie o zamiar „wyczarowania' z okalającego muzeum parku polskiego Disneylandu, Antoni Szram odpowiedział: „Semaforland powinien być w stolicy polskiego filmu. Muzeum Filmu z „parkiem marzeń" dla dzieci w ogrodach rezydencji fabrykanta Karola Scheiblera — to początek „nowego życia" w naszym mieście... Łódź jest centrum filmowym. Jest tu akademia filmowa, przemysł filmowy, tylko nikt nie pragnie w to inwestować — nie rozumiem czy to depresja ekonomiczna, czy przekonania polityczne. Faktem jest, że jako muzealnik (25 lat służby) chcę pomóc filmowcom w tworzeniu ich etosu, w ich staraniach, aspiracjach i pracy... Muzeum Filmu to ich pasja, ich życie zawodowe: moją pasją jest stworzenie muzealnej świątyni Sztuki Filmowej...".

WZGLĘDY KOMERCJALNE

„Poznałem chyba wszystkie książki polskich autorów, które wydane zostały we Włoszech —

MALARSTWO DUDY-GRACZA W SIERADZU.

Dzwon na trwogę

Jerzy Duda-Gracz, od kiedy jego obrazy pojawiły się w polskich galeriach, wzbudza gwałtowne, gorące reakcje publiczności. Uznany w świecie i w Polsce przez znawców bulwersuje w dalszym ciągu przeciętnego odbiorcę sztuki. Uczucia „konsumentów" jego dzieł lokują się między wściekłością a podziwem — czego dowody znaleźć można w księgach pamiątkowych wyłożonych zwyczajowo w każdej galerii. Tak jest i w Sieradzu. Tam wpisy w księgę wystawy rozpoznają w Dudzie-Graczu — z jednej strony — geniusza, z drugiej zaś, rozhisteryzowanego wariata, chorego umysłowo człowieka, którego należy czym prędzej zamknąć w zakładzie dla obłąkanych, ku ogólnemu dobru i szczęściu obywateli. Obywateli, których własne ułożenie myśli o sobie i swym uporządkowanym, mieszczańsko dostatnim życiu (które jest faktycznie „życiem", „życiątkiem"), nie dopuszcza innych, niepokojących, szyderczych, mocnych, aż do paranoicznego skrzywienia — ilustracji skretynienia życia naszego powszedniego. Dudy-Gracza nie lubią syci dorobkiewicze, karierowicze, lawiranci życiowi, ślepi pseudopatrioci, oportuniści, nieudacznicy i inne moralne karły, którzy jednak trochę myślą, bo ci nie myślący nie chodzą na wystawy. Artysta burzy ich wypielęgnowany szyk wartości, szydzi, obnaża brutalną prawdę o nich i o nas wszystkich. A to wystarczający powód, by nienawidzić takiego człowieka. Nie lubia go również pewni koledzy artyści, za szczerość, mówienie prawdy niewygodnej innym, walenie między oczy niezbitymi argumentami, logikę wywodu, bezkompromisowość, konsekwencję i — wreszcie — za sukces, uznanie i rozgłos.

Wystawa malarstwa Dudy-Gracza w sieradzkiej galerii BWA zapoczątkowała działalność nowo powstałej placówki, w odremontowanym przez łódzkie PKZ zabytkowym budynku i stała się, co oczywiste, wydarzeniem artystycznym sezonu w tym niewielkim mieście wojewódzkim. Artysta obiecał objęcie patronatu nad galerią, słusznie uzasadniając swój gest stwierdzeniem, że sztuka musi pojawiać się w mniejszych ośrodkach, bo zblazowane centra mają wystarczająco dużo atrakcji kulturalnych, publiczność jest rozkapryszona i nie zawsze umie docenić prawdziwa wartość dzieła. Tam decyduje moda i „wyrok" tzw. salonu. Tłumy w sieradzkiej galerii potwierdzają jego słowa.

Opisywanie obrazów nie ma sensu, to tak jak opowiadanie dowcipów rysunkowych, zresztą są tak znane, że zainteresowani wiedzą, o co chodzi. Tym bardziej, że pokazano płótna starsze, wypożyczone z różnych kolekcji, a między innymi słynny cykl obrazów jurajskich. Oglądanie w takiej ilości wynaturzonych typów ludzkich obrazujących główne i poślednie wady narodowe, scen symbolicznych ukazujących w szyderczym wykrzywieniu polski charakter — może zmęczyć. Ale trudno nie zgodzić się z artystą, gdy drwi, często z goryczą, z dewocji, skłonności do męczennictwa, pychy, kalekiego patriotyzmu, przymierzania świata, a także wszelkiej dupereli do „sprawy Polskiej", z megalomanii narodowej, podczas gdy rzeczywistość jest odrapana, szara, ponura, podparta kosturem i głupotą, podwiązana zardzewiałym drutem, by się nie rozleciała w gruzy. Pokrętna filozofię głupawego Polaka można przedstawić tylko w formie odrażającego, wynaturzonego, chorego obrazu. Jest to jedyna uczciwa stylistyka. Wymodelowana perfekcyjnie w warstwie intelektualnej, poparta znakomitym opanowaniem techniki malarskiej — stawia autora w rzędzie najwybitniejszych polskich artystów, czy to się komuś podoba, czy nie. Prace jego znajdują się w zbiorach galerii we **Florencji, Gandawie, Moskwie, Wiedniu,** w kolekcji **Alexandra Krafta Księcia Hohenlohe** i **Wojciecha Fibaka,** a także w zbiorach prywatnych w **Afganistanie, Austrii, Australii, Belgii, Czechosłowacji, Danii, Holandii, Izraelu, Japonii, Kanadzie, Meksyku, Norwegii, RFN, Szwajcarii, Szwecji, USA, Wenezueli, Wielkiej Brytanii, we Włoszech, na Węgrzech, w ZSRR** — i nie są to jeszcze wszystkie miejsca.

Artysta, nie chcąc, by wstęp do katalogu pisał kolega po fachu, bo napisze tekst grzecznościowy; krytyk, bo napisze pozytywnie na zamówienie autora; on sam, bo nikt nie uwierzy facetowi, który objaśnia siebie i swoja sztukę — wybrał fragmenty tekstów **Adama Korsaka** z **„Nowego Dziennika"** (1978) i **„Konfrontacji"** (1988), gdzie czytamy między innymi:

„Choroba polska jest częściowo chorobą umysłową, a częściowo chorobą woli. Polska jako jedyne państwo w Europie będące mocarstwem w epoce Jagiellonów i do końca XVII wieku — właściwie bez przyczyny, na skutek rozkładu wewnętrznego, bez wojen i najazdów przeciwników — rozpadło się i przestało istnieć. Polak woli stracić wszystko, byleby tylko jego rodak też wszystko stracił. Polacy wyłącznie źle mówią o innych Polakach. Polacy mają wielkie wyobrażenie o sobie, o swojej szlachetności patriotyzmie i są przywiązani do swoich symboli, np. do orła z koroną. Natomiast zupełnie nie dostrzegają, że dawno nie mają korony, a i orzeł jakiś taki nie królewski, tylko... ludowy, biedny, oskubany. Polacy ośmieszają się przed innymi, płaszczą i podlizują obcym, nigdy nie popierają swoich rodaków i wystawiają im jak najgorsze świadectwo. Dawną i dzisiejszą cechą Polaków jest oskarżanie się o zdradę i kolaborację. Inną zasadą Polaków jest nierobienie ze sobą interesów" — i tak dalej, i tak dalej. Wystawa jest ilustracją tych — i innych — naszych cech narodowych.

Po masochistycznym nasyceniu się światem Dudy-Gracza wyszedłem na ulicę. W piękny, optymistyczny świat codzienności. Na najbliższym rogu czterech facetów popijało piwo z butelek. Bełkotliwa mowa, szare, skretyniałe twarze, brudne łachy, syf, choć to sobota. Jaki dzień tygodnia ma tu zresztą znaczenie? Niedaleko, w rynku, tłum oczekiwał na otwarcie sklepu spożywczego. Milczący ludzie wpatrywali się tępo pod nogi. Wyciągnięte twarze, podkrążone oczy, apatia. Na ławeczce siedzi dwóch trzeźwych staruszków, jeden to inwalida. Przerażające, co starość robi z ludzką twarzą, gdy jej właściciel — co widać — nie trudził się specjalnie w życiu myśleniem. Bezzębne dziąsła, nic w oczach, otępienie. Duda-Gracz mógłby tych ludzi malować żywcem, zmieściliby się idealnie w jego formie artystycznej. Można dojść do karkołomnego wniosku, że malarz jest „wybitnym przedstawicielem realizmu w sztuce. Mój Boże...

Z pobliskich restauracji i piwozdrojów dobiegają ryki, wytaczają się pijani faceci o wyglądzie zdebiałych wozaków, węglarzy, nie wiem kogo. Jeden z nich sika pod ścianą, inni ledwo idą, bełkocą. Jest godzina 14. Obok dwaj mali chłopcy zaciekle rzucają kamieniami w gołębie. Bardzo chcą trafić. Na pobliskich ulicach więcej pijanych niż trzeźwych. Wiadomo, że Polska jest zapita, ale w małym mieście widać to wyraźniej niż w wielkim. Przerażająco wyglądają ci faceci. Oczy w słup, niezborne ruchy, twarz nie wyraża nic — wymóżdżenie. Zaraz, zaraz, ktoś powie, co on (niby ja) taki święcie oburzony, a on sam, to co? To, że ja też nie gardzę alkoholem, ale ponieważ nie piłem nigdy „dykty", ani „Autovidolu", czy metylu, nie oślepłem, jeszcze widzę. A co widzę, to opisuję („bo tęsknię po Tobie" — Joanno).

A więc, czy postacie z obrazów Dudy-Gracza wylazły na ulice Sieradza? Czy też Duda-Gracz patrząc na rzeczywistość — przenikliwiej i głębiej, bo artysta — dostrzegł jej chorą tkankę? Odpowiedź nie powinna budzić wątpliwości. Dziś cały koszmar kryzysu ekonomicznego, moralnego, społecznego, kryzysu wartości włazi nam nachalnie w oczy, w świadomość, w życie codzienne z przerażającą siłą faktów. Duda-Gracz zaczął malować swoje obrazy 20 lat temu, kiedy organizm narodu nie był jeszcze tak powszechnie zepsuty jak dziś. Jednak on to widział, przewidział już wtedy. Jego wizja oblekła się w gnijące, rakowate ciało. Dźwięczy jak dzwon na trwogę.

MAREK KOPROWSKI

Autoportret.

Kronika

ZGODNIE Z TRADYCJĄ, z okazji **Święta Odrodzenia,** minister kultury i sztuki przyznał nagrody artystyczne. **Tegorocznymi laureatami zostali m.in.** łodzianie: **Wanda Karczewska — nagroda I stopnia w dziedzinie literatury** za całokształt twórczości, **Bohdan Hussakowski — nagroda I stopnia w dziedzinie teatru** za wybitne osiągnięcia reżyserskie, **Stanisław Lenartowicz — I nagroda w dziedzinie filmu** za całokształt twórczości artystycznej w dziedzinie filmu animowanego, oraz **Andrzej Nawrot — nagroda II stopnia w dziedzinie plastyki** za osiągnięcia artystyczne. **Gratulujemy!**

POD PATRONATEM ŁÓDZKIEGO TOWARZYSTWA MUZYCZNEGO, w zabytkowej scenerii architektonicznej łagiewnickiego klasztoru, odbywają się w **każdą wakacyjną sobotę koncerty muzyki organowej, wokalnej i instrumentalnej.**

Zaplanowano łącznie **11 koncertów** — z udziałem **wybitnych artystów polskich i zagranicznych.**

Inicjatywa, której należy przyklasnąć!

WYSOKĄ NAGRODĄ UHONOROWAŁO JURY występy łódzkiego **Teatru Lalek „Pinokio" na Międzynarodowym Festiwalu Teatrów Lalek w Pécs (WRL).**

Łodzianie zaprezentowali tam — w pięknej, zabytkowej katedrze — **„Historyję o Chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim" Mikołaja z Wilkowiecka, w reżyserii Wojciecha Kobrzyńskiego.**

Przedstawienie spotkało się **z gorącym przyjęciem** międzynarodowej publiczności.

POD PRZEWODNICTWEM TOMASZA JODEŁKI-BURZECKIEGO, prezesa koła ZSL przy Związku Literatów Polskich, zawiązał się pod patronatem **Ludowej Spółdzielni Wydawniczej Dyskusyjny Klub Literacki.** Wspierać on będzie działanie zmierzające do rozwoju i promocji literatury tzw. nurtu wiejskiego

Zainteresowanie działalnością klubu zgłosili m.in.: **prof. Jan Szczepański, Julian Kawalec, Lesław M. Bartelski, Zygmunt Wójcik, Stanisław Srokowski,** oraz znany łódzki literat, **Tadeusz Papier.**

EKIPA ŁÓDZKICH ARCHEOLOGÓW pod kierownictwem **mgr Zdzisława Kaszewskiego,** prowadząca prace wykopaliskowe koło Ozorkowa, **odkryła cmentarzysko prasłowiańskie** (kultury łużyckiej) **z lat 120—600 p.n.e.**

DZIAŁALNOŚĆ W NASZYM MIEŚCIE rozpoczął oddział **Związku Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego.**

Członkowie zarządu **dyżurują w każdy wtorek** w lokalu przy ulicy **Mariana Buczka 18** (od 16 do 18).

PRZEŚMIEWCY NASZEJ RZECZYWISTOŚCI zjednoczyli rozproszone dotąd ostrza swoich ciętych piór — zakładając **Ogólnopolskie Towarzystwo Satyryczne.** Prezesuje mu wrocławski pisarz i felietonista znany **z niewyparzonego języka i niewyparzonych pomysłów, Zdzisław Smektała.**

Do „loży szyderców" zgłosili już swój akces: **Eryk Lipiński, Zbigniew Jujka** i **Marek Kasz.**

„A kysz, a kasz" — odtąd te słowa wielu osobom w naszym kraju powinny cisnąć się coraz częściej na usta.

PRYWATNA OFICYNA WYDAWNICZA SAAW W POZNANIU zapowiedziała m.in opublikowanie kilku interesujących książek znanych dotąd tylko z II obiegu: **„Z notatnika stanu wojennego" Andrzeja Szczypiorskiego, „Foksal 81" Dariusza Fikusa, „Widzieć Polskę z oddalenia"** (wywiady **z Edwardem Raczyńskim, Józefem Czapskim, Janem Nowakiem-Jeziorańskim, Gustawem Herlingiem-Grudzińskim, Zdzisławem Najderem) — Jagody Jędrychowskiej, „Narodziny systemu władzy" Krystyny Kersten, „Dwie ojczyzny" Jana Józefa Lipskiego.**

ŁÓDZKI RZEMIEŚLNIK — Krzysztof Jędrych — zamierza napisać **książkę poświęconą zegarom wieżowym w Polsce** których **ostało się jeszcze około tysiąca.** Rozpoczął właśnie ich katalogowanie, z myślą o ratowaniu niszczejących zabytków kultury technicznej.

ANNA LEWKOWSKA objęła **dyrekcję Domu Środowisk Artystycznych w Łodzi.** Dotychczas pełniła funkcję **zastępcy dyrektora w DDK Łódź-Górna.**

Filozofia pieniądza

Georg Simmel zmarł w wieku 70 lat na dwa miesiące przed zawieszeniem broni w 1918 r., w Strasburgu który wkrótce potem miał powrócić wraz z całą Alzacją do Francji. Jego **„Filozofia pieniądza"** jedno z najwybitniejszych dzieł myśli socjologicznej zostało przetłumaczone w przeszło 80 lat po opublikowaniu go w Niemczech. Tytuł książki jest nieco mylący. Nie znajdzie się w nim żadnych przepisów jak zarządzać majątkiem, czy rekompensować poniesione straty nie zawiera żadnej ekonomicznej teorii zysku inflacji czy rotacji kapitału. Jest to natomiast pełen obraz drogi, jaka przebyła ludzkość od czasu pojawienia się monety. Pieniądz nie tylko przeobraził stosunek człowieka do rzeczy i stosunki międzyludzkie ale także przedstawił równowagę psychologiczna jednostki skłaniając ją do traktowania świata nie jako doświadczenie które należy przeżyć lecz jako problem, który należy rozwiązać. Wywołał on powszechna ekspansje aktywności intelektualnej kosztem aktywności emocjonalnej.

Pieniądz który z tak prymitywnego środka wymiany jak muszla czy kwarta soli stał się dzisiaj karta kredytowa, a jutro będzie karta elektroniczna — przeobraził mentalność ludzka i oblicze społeczeństwa. Narzucając istotom i rzeczom jednolity sposób oceny — napisał recenzent książki **Andre Bruguière** w **„Le Nouvel Observateur"** — zastąpił jakość ilością, na miejsce pytania „dlaczego" postawił pytanie „ile"...

M.B.

„Górna" — górą!

Co dwa lata Wydział Oświaty, Wychowania i Kultury Urzędu Dzielnicowego Łódź-Górna organizuje przeglądy amatorskiego ruchu artystycznego, podsumowujące działalność podlegających mu placówek, a więc domów kultury, klubów i świetlic. Dawniej nazywały się te imprezy przeglądami, ale w tym roku mieliśmy już II dywidualna nagrodę za najlepszą kreację aktorską. Natomiast za udział w Biennale, teatr „Strefa" otrzymał Grand-Prix. Bo istotnie, jest to ciekawa kreacja zbiorowa i dobrze się stało, że zyskała poklask jurorów. Spektakl „Strefy" nosi tytuł **„Po obiedzie"** i jest konglomeracją wielu wątków wyjętych z najwyższego lotu literatury światowej (między innymi **„Wilk stepowy" Hermana Hesse'go).**

Biennale ARA. Mogłoby się wydawać, iż placówki, o których mowa, w czasach jakie obecnie przeżywamy, powinny świecić pustkami, bo komu dzisiaj w głowie zabawa w kulturę? A tymczasem, przynajmniej w Dzielnicowym Domu Kultury Łódź-Górna przy ulicy Siedleckiej 1 i w podległych mu placówkach, rzecz się ma zupełnie inaczej. Weźmy chociaż studencki teatr **„Strefa"** z **„Energetyka".** Zespół ten, w obecnym sezonie kulturalnym, na **Łódzkim Przeglądzie Teatrów Amatorskich w ŁDK,** otrzymał nagrodę za kreację zbiorową, a jeden z jego współtwórców, **Marek Grondas,** in-

Z kolei pierwsze miejsca na tegorocznym Biennale uzyskały w swoich kategoriach takie zespoły jak: **Kabaret seniorów „Złota Jesień",** prowadzony przez **Bogumiła Popowa** (Oddziałowy Dom Pracy Społecznej — Cieszkowskiego 11) i prowadzony przez **Jerzego Ziomkę** zespół taneczny **„Poziomki"** (Siedlecka 1). Także i o tych zespołach warto powiedzieć dwa słowa. Otóż program kabaretu „Złota Jesień", autorstwa Bogumiła Popowa, to rzecz warta polecenia szerokiej publiczności, która jest żądna dobrej rozrywki. A dziewczęta i chłopcy z zespołu tanecznego tańczą naprawdę wspaniale i imponująco rytmicznie.

Szereg innych zespołów DDK Łódź-Górna uzyskało dyplomy uznania, ale nie obeszło się bez jeszcze jednego I miejsca... Otóż życie kulturalne to nie tylko zespoły teatralne czy estradowe. To także koła zainteresowań. W DDK Łódź-Górna jest takich kół sporo (filatelistyczne, szachowo-brydżowe, komputerowe itp...) i to właśnie one przysporzyły dyrektorce tego Domu Kultury — **Irenie Żydek,** kolejnej satysfakcji, uzyskując za swą działalność i najlepiej zaprezentowany dorobek, kolejne I miejsce.

Tak więc kultura, czy też życie kulturalne, kwitnie, i to w placówkach, o których się mówi, że już dawno powinny umrzeć śmiercią naturalna. Jasne, wszak środków na ich utrzymanie coraz mniej, a dewizy na kulturę, jak wiemy, nie napłyną.

A.W.M.

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

Sienkiewicza, Gombrowicza, Schulza, Miłosza, Hłaski — powiedział włoski pisarz, **Fulvio Tomizza,** który odwiedził nasz kraj z okazji wydania przez PIW jego powieści **„Lepsze życie"** — Wiem, że jest to bardzo mało, jeśli chodzi o polską literaturę. Wielokrotnie przekonywałem naszych wydawców o potrzebie wydawania książek z Europy Wschodniej. Niestety ze względów komercjalnych robią to niezbyt chętnie. Literatura amerykańska, nawet ta nie najlepszych lotów daje im gwarancję lepszego zysku. Prawo rynku prawem rynku, ale jest przecież tylko jedna Europa i nie może ona oznaczać tylko krajów zachodnich. Kultura państw Europy Wschodniej z ich często dramatycznymi doświadczeniami historycznymi może nas wzbogacić o nowe, nie znane nam wartości. Nie powinno być tak, że z tej części Europy tłumaczone są u nas najczęściej tylko te książki którym towarzyszy skandal polityczny...".

TAJEMNICY CIĄG DALSZY

Tajemnice samego Stradivariusa i jego skrzypiec od lat budzą wiele emocji. I oto ostatnio niemal sensacyjnie zabrzmiało oświadczenie radzieckiego naukowca **Arkadija Popowa,** jakoby tajemnica niezwykłego dźwięku wydawanego przez skrzypce wytwarzane przez włoskich mistrzów z Cremony tkwiła w ich nastrojeniu. Popow, pracownik Instytutu Psychologii Akademii Nauk ZSRR, wykorzystuje do swoich doświadczeń instrumenty produkowane fabrycznie, odmawiając jednak ujawnienia bliższych szczegółów na temat zabiegów, jakim je poddaje. Jak twierdzi w zrozumieniu tajemnicy brzmienia skrzypiec, altówek i wiolonczel pomogła mu znajomość procesów zachodzących w mózgu. Jego zdaniem, istnieją analogie między rytmem pracy mózgu, a wrażeniami doznawanymi w czasie słuchania muzyki.

Arkadij Popow udoskonalił swoją metodą 20 skrzypiec i altówkę, a wyniki jego pracy spotkały się z wysoką oceną wirtuozów i pedagogów z moskiewskiego Instytutu im. Gniesinych. Według ich zapewnień instrument zachowuje nowe właściwości na czas nieograniczony, czego dowodem są pierwsze nastrojone przez niego skrzypce przed blisko 20 laty i nadal brzmiące tak samo...

BOHATER I JEGO KON TIKI

Nazwisko **Thora Heyerdahla** nigdy nie przestało być głośne od 1947 roku, kiedy wylądował z pięcioma towarzyszami w archipelagu Tuamotu we francuskiej Polinezji, po przepłynięciu z Peru całego Oceanu Spokojnego na zbudowanej z drzewa balsa tratwie **„Kon-Tiki".** W tym roku istnieje jednak szczególny powód, by mówić o Heyerdahlu: słynny norweski podróżnik kończy 6 października 75 lat. Pełne niezwykłych przygód życie Heyerdahla stało się tematem największej nakręconej dotychczas w Skandynawii dokumentalnej serii telewizyjnej. Od jesieni pięciogodzinny program pokazywany będzie na ekranach 30 telewizji świata.

Galeria pisarzy

ANDRZEJ WILCZKOWSKI

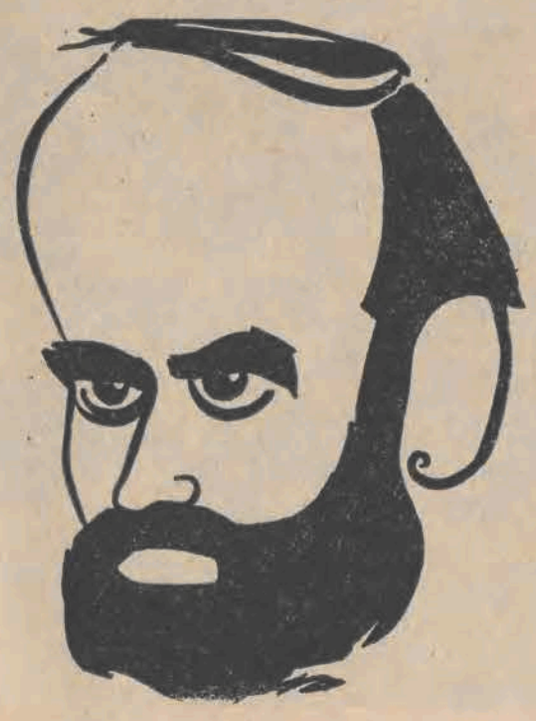

Rys. Sławomir Arabski

Opracował: JAK

Wrzesień 1939: Łodzianie w walczącej Warszawie

Na ulicach i w piwnicach twierdzy

WŁODZIMIERZ SKOCZYLAS **(3)**

Na Chmielną do wujostwa Dworzenieckich, przyszliśmy około godziny ósmej. Drzwi zastaliśmy zamknięte. W całej kamienicy i oficynach szyby w oknach były powybijane. Pozasłaniano je prowizorycznie kawałkami dykty, tektury czy poduszkami lub też wyszarzałymi dywanikami. Od sąsiadów dowiedzieliśmy się, że wujostwo przenieśli się do zakładu, gdzie solidna piwnica daje większą rękojmię bezpieczeństwa.

Na Kredytowej, gdzie znajdował się ich zakład fryzjerski okazało się, że już od ponad roku wujek przeniósł się na Marszałkowską 79, a firma nazywa się „AS". Ledwie wyszliśmy z bramy rozległo się przejmujące wycie syren. Chcieliśmy iść dalej, ale natychmiast zostaliśmy skierowani do rowów przeciwlotniczych wykopanych na środku ozdobnego gazonu. Przycupnęliśmy na dnie. W rowie siedziało już kilka osób.

Alarm nagle odwołano. Wygramoliliśmy się z rowu. Ulice były wyludnione. Z rozmów ze spotkanymi przypadkowo ludźmi wynikało, że wczorajszej nocy wezwano przez radio wszystkich mężczyzn, by opuścili Warszawę i kierowali się na wschód. W Garwolinie, Siedlcach, Zambrowie i Brześciu nad Bugiem miano formować drugą linię obrony. Byliśmy zupełnie zdezorientowani. My przychodzimy im na pomoc z Łodzi, a oni opuszczają stolicę? Iść dalej, czy zostać? Na rogu Ale i Marszałkowskiej grupa osób stała stłoczona przed rozklejonym plakatem. Był to rozkaz do wszystkich żołnierzy i ludności cywilnej, podpisany przez generała Waleriana Czumę i prezydenta Stefana Starzyńskiego. Warszawa ogłoszona została twierdzą.

Sprawa była jasna — zostajemy na miejscu, a po wizycie u Dworzenieckich natychmiast zgłaszamy się do wojska. Szliśmy Marszałkowską. Dozorcy spokojnie zamiatali chodniki, zgarniając na kupki stosy potłuczonych szyb.

Wejście od ulicy do zakładu wujostwa zasłonięte było opuszczoną żaluzją. Nad bramą, na wysokości trzeciego piętra, pocisk wywalił w murze wielką dziurę. Za stosem gruzów odkryliśmy wejście od podwórza. Drzwi były lekko uchylone. W pomieszczeniu panował półmrok. Z prawej strony sali, spod podłogi, wynurzała się ciemna postać.

— Przyjechaliście? — poznałem głos ciotki Stachy.

— Nie. Przyszliśmy.

— Z Łodzi? Na piechotę? — zapytała zdziwiona.

— Połowa Łodzi wyruszyła do Warszawy, a tu widzimy, że połowa Warszawy poszła do Wołomina — z kpiną odparł ojciec.

Do piwnicy schodziło się po żelaznych, kręconych schodach. Pomieszczenie było przedzielone cienką ścianką z dykty. W pierwszej części wisiały na ścianie duże lustra, przed którymi stały wygodne fotele, wzdłuż ściany, przy piecu, stała wąska kanapka. Siedział na niej chudy mężczyzna o końskiej twarzy. Na głowie miał brązowy kapelusz typu „Eden". Pod nosem sterczała mu szczoteczka rudych wąsików. Pod szyją drżała nerwowo wiśniowa muszka. Ręce opierał o grubą, bambusową laskę, wpatrując się w wyglansowane, brązowe półbuty. Było tam jeszcze kilka innych osób, wśród których spostrzegłem ładną postawną blondynkę. Różowy sweterek ciasno obciskał jej wydatne piersi. Zrobiła na mnie kolosalne wrażenie.

Drugie pomieszczenie służyło za jadalnię, dla personelu. Wzdłuż szafek na ręczniki i akcesoria fryzjerskie rozłożono materace do spania. Ciotka przygotowała nam jedzenie. Szybko posililiśmy się i gdy ojciec zamierzał wyjść, mężczyzna spod pieca zwrócił się do niego z nieśmiałą prośbą.

— Mógłby mnie pan odprowadzić do domu? Niedaleko, na Wilczą.

— Pan siedzi tutaj już trzeci dzień — poparła go ciotka. — W domu na pewno się niepokoją. Nic nie chce jeść, tylko herbatę pije. Jeśli możesz zabierz pana ze sobą.

Obudziłem się późnym popołudniem. Przy stole siedział wujek Wiktor. Łapczywie jadł zupę, opowiadał o swojej wędrówce z Kowala, gdzie od dwóch lat był naczelnikiem poczty. Przyniósł do Warszawy całą kasę urzędu i już zdążył ją zdać na Poczcie Głównej. Widziałem, jak wujek Kazik z dezaprobatą pokręcił głową. Ja przyjąłem to jako absolutnie naturalną decyzję wujka Wiktora.

Pod wieczór wrócił ojciec. Uzyskanie mundurów i broni było rzeczą nierealną. Do Warszawy ściągało mnóstwo wojska i nikt nie miał głowy do mundurowania cywilów, trzeba było organizować rozproszone oddziały i szykować się do obrony miasta. Ojca natychmiast przyjęto do Śródmiejskiego Oddziału Inżynieryjnego jako fachowca robót drogowych i budowlanych. Oddział miał swoją siedzibę w gmachu YMCA przy ulicy Marii Konopnickiej, niedaleko placu Trzech Krzyży. Ja z wujkiem Wiktorem mieliśmy się zająć aprowizacją dla całej rodziny zgromadzonej w piwnicy.

W piwnicy domu przy ulicy Marszałkowskiej z wolna zaczęło się robić coraz tłoczniej. Ojciec uzgodnił z wujkiem Kaziem, że będziemy nocować w ich mieszkaniu na Chmielnej. Pierwsza noc spędzona w wygodnym łóżku przebiegła bez sensacji. Rano ojciec poszedł na wyznaczony mu posterunek, a ja z wujkiem Wiktorem penetrowaliśmy sklepy. Ale już następnej nocy miasto znalazło się pod obstrzałem ciężkiej artylerii. Dom na Chmielnej przy Dworcu Głównym był bardziej narażony na zbombardowania. Ojciec zdecydował, że przeniesiemy się do YMCA.

Następną noc spędziłem w sali kominkowej, na dwóch fotelach klubowych. Gruba, perskafirowa wykładzina pokrywała podłogę i ci, dla których zabrakło foteli, leżeli bezpośrednio na niej. Współlokatorzy przez całą noc zmieniali się bezustannie.

Ojcu udało się załatwić specjalne kartki, na podstawie których mogliśmy jeść obiady w miejscowej stołówce. Korzystali z niej wszyscy pracownicy YMCA i członkowie Oddziału Inżynieryjnego.

— Zostaniesz tutaj. Zjesz obiad i czekaj na mnie — zdecydował ojciec wychodząc rano do swych zajęć. — Postaraj się, żebym nie musiał cię szukać.

Pożegnaliśmy się. Zawiedziony usiadłem w fotelu, nie wiedząc co z sobą począć. Postanowiłem rozejrzeć się po budynku. Przez jakiś czas włóczyłem się bez celu, aż na końcu jednego z korytarzy spostrzegłem szerokie, przeszklone drzwi, za którymi w basenie z czarnobiałych kafelków połyskiwało lustro zielonobłękitnej wody. Na pływalni panowała niczym nie zmącona cisza. Przysiadłem w rogu na taborecie, ściągnąłem z siebie ubranie i ostrożnie zanurzyłem się w wodzie. Klasyczną żabką przepłynąłem dwukrotnie długość basenu. To była cudowna kąpiel.

Odświeżony i odprężony, wyszedłem przed gmach. Obok mnie przemknął strażacki samochód. Na drzwiach szoferki zdołałem odczytać napis: Łódzka Straż Ogniowa, I Oddział ul. 11 Listopada 5. Zrobiło mi się ciepło na sercu, jakbym spotkał kogoś bliskiego. Jechaliśmy w kierunku Wiejskiej. W okolicy budynku Sejmu buchały w niebo kłęby dymu.

Pobiegłem w tamtą stronę. Gdy znalazłem się na miejscu, akcja strażaków była w pełnym toku. Paliły się jakieś magazyny. Nagle strumień wody zaczął maleć, wreszcie osłabł zupełnie. Zaniepokojony strażak, stojący na szczycie wysuniętej drabiny popatrzył w dół i krzyknął:

— Spadło ciśnienie! Stacja pomp nie daje rady! Pożary w całym mieście.

— W podwórzu jest studnia z motorem elektrycznym! — poinformował dozorca.

Strażacy natychmiast pobiegli do sąsiedniej posesji. Poszedłem za nimi. Odsunęli wielki betonowy krąg i jeden wszedł do środka po wmurowanych klamrach. Okazało się, że silnik był zepsuty. A może odcięto dopływ prądu? Strażacy bezradnie patrzyli na szalejący żywioł. Przygladający się biernie tłum rzucił się do wrót magazynu. Wyłamane zostały w mgnieniu oka. Buchnęły kłęby dymu. Ludzie cofnęli się kilka kroków, ale ponieważ nie było widać ognia, weszli do środka. Cała hala, wysoko pod sufit, była zastawiona puszkami konserw. Wszyscy ładowali blaszane pudełka w co popadło.

Ostrożnie wsunąłem się za nimi. Tuż za wrotami, w załomku muru znalazłem wiklinowy koszyk. Chwyciłem bez namysłu — o ułamek zdążyłem ubiec innego amatora tego cennego nabytku. Szybko wrzucałem do kosza nawijające się pod rękę puszki, zręcznie przeskakując od pryzmy do pryzmy. Gdy kosz był pełen, ruszyłem do wyjścia. Wtedy na rogu hali zobaczyłem znane mi puszki smakowitych konserwowych ogórków. Odpiąłem pasek od spodni i przytroczyłem nimi jedną puszkę do uchwytu kosza, a drugą chwyciłem pod lewe ramię. Obładowany jak wielbłąd, ogrodami, przez dziury w płotach, wróciłem do YMCA. Drogocenną zdobycz zadekowałem w rogu sali kominkowej, zasłaniając fotelami. Czekałem na ojca. Wrócił po południu. Z dumą pokazałem mu pełny kosz. Opieprzył mnie strasznie. Nawymyślał od maruderów żerujących na cudzym nieszczęściu. Nie rozumiałem jego pretensji.

— Załatwiłem przeniesienie na Pragę do Czwartego Oddziału Inżynieryjnego — powiedział ojciec. Tam są wszyscy znajomi z Łodzi. Musimy zdążyć przed zapadnięciem nocy. Szybko spakowaliśmy nasz skromny dobytek. Najpierw poszliśmy do wujostwa na Marszałkowską. Przywitali nas radośnie, bo nie wiedzieli przez cały ten czas, co się z nami dzieje. Z zadowoleniem przyjęli część konserw. Ciotka Stacha szykowała coś do zjedzenia, ale odmówiliśmy, śpiesząc w dalszą drogę.

Nowym Światem i Krakowskim Przedmieściem dotarliśmy do placu Zamkowego. Tramwaje nie kursowały. Wszystkie zgromadzone u wylotowych ulic miasta, barykadowały dostęp do stolicy. Słońce skłaniało się ku zachodowi. Gdy wchodziliśmy na most Kierbedzia, podszedł do nas sierżant w hełmie z paskiem pod brodą.

— Proszę dokumenty.

Ojciec podał mu legitymację i przepustkę. Przeczytał uważnie i oddając ją zasalutował. Wskazał nam na most.

— Proszę, panie inżynierze — spojrzał na zegarek — tylko szybko. Za dwadzieścia minut spodziewamy się nalotu. Te sukinsyny muszą mieć gdzieś blisko lotnisko. Przylatują regularnie co pół godziny. Zawsze ta sama maszyna. Już tak drugi dzień bawimy się w kotka i myszkę. Ale ja go dostanę. Tak mi podejdzie pod lufę, że już go berlińska mamusia nie zobaczy.

Prawie truchtem przebiegliśmy most. Wzdłuż ulicy biegnącej od kościoła św. Floriana do Brukowej, było kilka świeżo usypanych mogił. W śródmieściu widywałem je sporadycznie, bo poległych chowano na podwórzach.

Czwarty Oddział Inżynieryjny kwaterował w wielkim młynie mechanicznym przy ulicy Brukowej. Spotkałem tam wielu znajomych, kolegów ojca z czasów budowy drogi Łódź-Łagiewniki. Byli tu: inż. Kruażyr, inż. Mieczysław Kosiński, inż. Włodzimierz Kostenko, Bronisław Puławski, Stanisław Śmigielski, był nawet kierowca niebieskiej chevrolety, który przewoził nas w pierwszych dniach wojny na Radogoszcz.

Zakwaterowaliśmy się w nielicznych biurowych pomieszczeniach młyna. Przypadł nam w udziale maleńki, przeszklony kantorek, w rogu magazynu. Jedna biurowa szafa, koślawy stolik, dwa wyplatane krzesła i kanapka stanowiły całe umeblowanie tego pomieszczenia. Dopełniał je mały, żelazny piec w rogu kantorka. Próba spędzenia nocy na niewygodnej i za krótkiej kanapce wypadła bardzo żałośnie. Na szczęście w magazynie znaleźliśmy stertę pustych worów, z których umościliśmy sobie posłanie na podłodze.

C.D.N.

Czy Józef Stalin był antysemitą?

„Mienia zowut Swietłana..."

RYSZARD BADOWSKI **(2)**

Jedynym Żydem, który przetrwał w Biurze Politycznym KC KPZR do śmierci Józefa Stalina był Łazar Kaganowicz. Dopiero w 1957 roku Nikita Chruszczow usunął go z kierownictwa partii wraz z Grigorijem Malenkowem i Wiaczesławem Mołotowem. Łazar Kaganowicz poparł Józefa Stalina w czasie ogólnopartyjnej dyskusji na przełomie 1924—25 roku. Był wówczas sekretarzem KC RKP(b). Józef Stalin, jak uważają niektórzy zachodni kremlinolodzy, umiejętnie manewrował „Żydami przeciwko Żydom". W walce z głównym wrogiem, Lwem Trockim, wsparli go Grigorij Zinowiew, Lew Kamieniew i Nikołaj Bucharin, ożeniony z Żydówką — córką weterana partii bolszewickiej, Łarina. Później Bucharin opowiedział się za Stalinem przeciwko Zinowiewowi i Kamieniewowi.

W 1926 roku Lew Trocki, Lew Kamieniew i Grigorij Zinowiew wyprowadzeni zostali z Politbiura. Kandydatem Biura Politycznego został Łazar Kaganowicz. Nikołaj Bucharin przetrwał w Biurze Politycznym do 1929 roku. W tym samym roku Lwa Trockiego wydalono z ZSRR.

Lew Kamieniew, który za życia Włodzimierza Lenina był wicepremierem rządu radzieckiego (zastępcą przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych) i Grigorij Zinowiew — do czasu konfliktu ze Stalinem przewodniczący Kominternu, zostali straceni w 1936 roku. Nikołaj Bucharin, najzdolniejszy teoretyk partii, poniósł śmierć w 1938 roku. Lwa Trockiego w 1943 roku zamordował w Meksyku hiszpański komunista Ramon Mercador, któremu Józef Stalin nadał za to (ujawniono to niedawno) tytuł Bohatera Związku Radzieckiego. Natomiast Anna Łarina-Bucharina powędrowała na zesłanie. Przeżyła.

Roza Kaganowicz istniała naprawdę.

Jej wpływ na Józefa Stalina został wyolbrzymiony. W 1987 roku w Nowym Jorku wyszła książka Stewarta Kahana „Wilk na Kremlu", poświęcona Łazarowi Kaganowiczowi. Amerykański autor przedstawia Rozę Kaganowicz jako kochankę Józefa Stalina i jego.. trucicielkę. Według niego siostra Łazara Kaganowicza była osobistym lekarzem Stalina. Zgładziła go, gdy Łazar Kaganowicz wpadł w niełaskę, a Stalin zamierzał posłać półtora miliona radzieckich Żydów na Syberię i do Kazachstanu.

Książce tej znany radziecki historyk Roj Miedwiediew zarzuca wiele fałszerstw i przeinaczeń. Józef Stalin nigdy nie miał osobistego lekarza-kobiety. Szefem opiekujących się nim lekarzy kremlowskich był profesor Włodzimierz Winogradow, wybitny specjalista w dziedzinie wczesnej diangostyki raka, gruźlicy płuc i nerek oraz patologii przewodu pokarmowego. Po aresztowaniu prof. Włodzimierza Winogradowa pod koniec 1952 roku w związku ze sprawą „lekarzy-morderców" Józef Stalin odsunął od siebie wszystkich lekarzy. Na jego daczy w Kuncewie znajdował się jedynie felczer wśród oficerów ochrony osobistej.

Miedwiediew dementuje

wyssane przez Stewarta Kahana z palca rewelacje, jak ta, że Łazar Kaganowicz na polecenie Stalina śledził jego żonę Nadieżdę Alliłujewą (matkę Swietłany), że w latach powojennych Józef Stalin wysłał go na Ukrainę dla zdławienia powstania narodowego i inne. Potwierdza natomiast, że Łazar Kaganowicz był odpowiedzialny za terror w czasie kolektywizacji na północnym Kaukazie, że „demaskował" i niszczył „szkodników" w kolejnictwie, że wraz z Nikołajem Jeżowem wytrzebił połowę organizacji na Białorusi, że w czasie wojny kierował działalnością trybunałów wojennych i osławionych „oddziałów zaporowych", które pędziły ogniem do ataku własne wojska i strzelały do cofających się czerwonoarmistów.

Stewart Kahan posuwa się tak daleko, że przypisuje Łazarowi Kaganowiczowi szefostwo **„departamentu mokrej roboty"** w NKWD (takich słów używa amerykański autor). Roj Miedwiediew stwierdza kategorycznie, że taki departament nie istniał. Łazar Kaganowicz nigdy nie był funkcjonariuszem NKWD.

W powieści Borysa Sotnikowa „Osobyj reżim" drukowanej na początku 1988 roku w gazecie „Dnieprowskaja Prawda", Józef Stalin omotany został „żydowską pajęczyną". Książka napisana jest z pozycji antysemickich. Zdaniem tygodnika „Ogoniok" odbija poglądy członków Towarzystwa „Pamięć", organizującego wiece antyżydowskie.

Borys Sotnikow przypomina, że starszy syn Józefa Stalina, Jakow, urodzony z małżeństwa z pierwszą żoną, Jekatieriną Swanidze, ożenił się z Julią Melcer, która była nie tylko tancerką i rozwódką, ale na dodatek Żydówką. Pierwsza wnczka Stalina, Gala, córka Jakuba i Julii, to zatem pół-Żydówka.

Córka Stalina Swietłana, z małżeństwa z drugą żoną, Nadieżdą Alliłujewą, w wieku siedemnastu lat miała romans z 39-letnim Żydem, dziennikarzem Aleksiejem Kaplerem. Potem jako studentka wyszła za Grigorija Morozowa, który wprawdzie nosił „dobre" rosyjskie nazwisko, ale też był Żydem. Jej pierwsze dziecko, jedyny wnuk Stalina, nazwany na cześć dziadka Josif, to także pół-Żyd.

Swietłana wychodziła kolejno za mąż

za naukowca Jurija Żdanowa, indyjskiego komunistę Radża Bridge Singha, wreszcie za bogatego amerykańskiego architekta Wiliama W. Petersa. Urodziła dalsze dwie córki, ostatnią w Stanach Zjednoczonych. Mały Josif, jak czytamy w jej pamiętnikach, został początkowo przyjęty przez Stalina z rezerwą, potem jednak zdobył sympatię dziadka.

Nie wracam do książki Borysa Sotnikowa. Mam jednak do jego książki uzupełnienia.

Żona Jakowa Dżugaszwili, Julia Melcer, została zesłana. Starszy syn Stalina, jak wiadomo, wpadł na początku wojny w ręce Niemców, a Stalin represjonował rodziny jeńców (o sobie zapomniał). Ironia losu sprawiła, że podczas selekcji jeńców nad Berezyną niemiecki oficer wziął Jakowa ...za Żyda. **„To Gruzin, syn Stalina"** — krzyknął ktoś z szeregu, pragnąc uratować mu życie. Starszy lejtnant, dowódca baterii Jakow Dżugaszwili, zginął jednak zastrzelony na drutach 14 kwietnia 1943 roku w Sachsenhausen. Świadkami jego śmierci byli polscy oficerowie, którzy się nim opiekowali.

Na propozycję wymiany swego syna na von Paulusa Stalin odpowiedział: **„Ja marszałków na poruczników nie wymieniam".**

Kochanek Swietłany Alliłujewej, Aleksiej Kapler, został wsadzony do obozu w 1943 roku. Z Grigorijem Morozowem Swietłana się rozwiodła. Na temat jej żydowskich (i nie tylko żydowskich) kochanków krążyło jednak w Moskwie wiele plotek.

W latach sześćdziesiątych byłem na imieninach pracownicy polskiej ambasady w Moskwie, która później zmieniła obywatelstwo. Poznałem wówczas tłumacza opowiadań Stanisława Lema i jego przyjaciółkę.

— **Mienia zowut Swietłana** — powiedziała. — **A Tiebia?**

Zamieniłem z nią parę zdawkowych słów.

— **To córka Stalina** — powiedziała z wypiekami na twarzy gospodyni. Straciłem okazję ciekawej rozmowy.

C.D.N.

Andrzej Makowiecki

Pięćdziesiąt melonów

31

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Co robić? Przecież on wyjdzie tak czy tak! wcześniej, później!. Grubas tarmosił kędziory na czole i rozważał gorączkowo inne warianty: a może, zamiast biec na róg do najbliższego automatu, zadzwonić od Stasiaka? Będzie klął, zbudzony głęboką nocą, lecz jest, do kurwy mamy, milicjantem i powinien chyba wspomagać prawo?!...

Ruszył grubas do drzwi, zawrócił wszelako i znowu przystawił lornetę do sfatygowanych oczu. Nie wolno ani przez chwilę tracić bandyty z pola widzenia — ja na schodach, a on myk! Ja przy telefonie a on w drugą! i zamiast nagrody dostanie mi się jeszcze po pysku.

Jakby na potwierdzenie tych obaw Bernard chwycił worek i zrobił ruch sugerujący, iż ma zamiar opuścić ubikację. Kukuryk runął ponownie ku drzwiom, nim zamknął je wszakże za sobą odwrócił się przytomnie celem ustalenia, czy śledzony obiekt nie zmienił przypadkiem zamiarów. No i okazało się, że owszem: śledzony obiekt, przeżywający nie mniejsze chyba rozterki duchowe niż grubas, pozostał w ustępie.

Straszliwe choć idiotyczne skądinąd przypuszczenie przeszyło boleśnie mózg Kukuryka: błąd?! Po kija-bata kupowałem lornetę, skoro widzę drania gołym okiem?! Żałował przez moment wydanych pieniędzy, niebawem jednak luksus owych niewczesnych zmartwień wyparty został przez inne silne wrażenia. Otóż Bernard stanął w jasno oświetlonym oknie wygódki i zadzierając głowę zdawał się patrzeć wprost na przyczajonego w ciemnościach strychu szpicla, który zadrżał nagle, spłynął potem, zrobił się jak gdyby miękki w nogach i był niebezpiecznie blisko zawału.

Jednakże, jakeśmy już wspomnieli, grubas nie czytał nic o zawałach i upiekło mu się znowu. Oddychał spazmatycznie przekonany, że tamten musi to słyszeć, że musi o wszystkim wiedzieć, że zaraz wpadnie na strych i udusi go gołymi rękami. Niebo rozszczepiły błyskawice, grzmotnęło: fala deszczu przeszła nad podwórkiem tłukąc o dach i parapety. Zawyła w oddali karetka pogotowia, wrzasnął w piwnicznej dziurze kot, wiatr wessał się przez otwory w nieszczelnych drzwiach i przeciągnął Kukurykowi po nogach.

Zaprotestował żołądek. Powinien biec natychmiast do latryny na drugim podwórku, ale bał się ruszyć. Człowiek w oknie po drugiej stronie kamienicy, zwalisty, posępny, sztywny jak atrapa celownicza, wciąż jeszcze trzymał go na uwięzi swoich przeraźliwych oczu.

Żyć! Pracować! Zbierać zdjęcia piosenkarek i sportowców! Do czarta z nagrodą!

Gorzały mu policzki. Niewiele brakowało, by krzyknął do swego urojonego prześladowcy: — Czołem, panie Bernardzie! Co słychać!

A potem akcja, ku wielkiej uldze i radości grubego, potoczyła się w innym kierunku — Bernard odstąpił od okna, wepchnął wór w to samo miejsce, skąd go wziął, zamaskował dziurę w kafelkach, coś tam jeszcze wrzucił do sedesu, spuścił wodę i zgasił światło. Kukuryk ujrzał go niebawem w pokoju stołowym — w marynarce, gotowego do wyjścia.

Zbiegł pospiesznie ze schodów i wymknął się na ulicę. Odprowadził wzrokiem Bernarda, który uruchomił samochód i pojechał do swojego mieszkania na Teofilowie No, teraz można dzwonić! Wziął otłuczoną słuchawkę i wybrał starannie numer funkcjonariusza. Druga! Spiorunuje mnie, nie ma to tamto! — myślał czekając na połączenie.

Punkt kontaktowy był jednak uprzejmy. Uważnie i cierpliwie wysłuchał raportu grubasa, który dał się poznać jako solidny, uczciwy i wiarygodny kolaborant. Sprawa wyglądała nieprawdopodobnie, ale Kukuryk nigdy jeszcze nie wzniecił fałszywego alarmu.

— Dobra! Czekajcie w domu.

— Na co?

— Na wytyczne.

— Wytyczne? — Grubas poczuł ciepło wokół serca. Kochał piosenkarzy i sportowców, nade wszystko jednak imponowała mu władza.

Usiadł z papierosem w kuchni i czekał na wytyczne. Jest kimś ważnym, szanowanym, docenianym. Bierze bezpośredni udział w poważnej operacji. Złapie nagrodę, zafunduje sobie nowe buty, marynarkę i płaszcz. Uszczelni okno, wyremontuje dach. Kto wie, może szarpnie się na lodówkę?

Burza wróciła. Pioruny znowu rozdarły niebo, deszcz chlusnął o szyby jak z wiadra. Jakiś szczur zachrobotał w drzwi. Nie! Żaden szczur. Ktoś puka!

Otworzył, żeby wpuścić wytyczne. Forpoczta zawału wymierzyła mu cios. Zwalił się na podłogę poznając w ciemnościach sylwetkę Bernarda.

— Czego? — zakwilił błagalnie.

— Szszsza!

— Nie wiem nic...

— Pan zwariował, człowieku?

— Naprawdę! Niech pan spyta...

— Czy pan się nazywa... to znaczy, z Kukurykiem mam przyjemność?

— Tak.

— I nie telefonował pan niedawno do...

— Telefonowałem! — rzekł pospiesznie grubas. Coś poprzestawiało mu się w zmęczonych oczach i skołowanej głowie; przecież to nie Bernard! Chyba nie Bernard, do cholery?! — A pan jak się nazywa? Nie, nie zapalaj pan światła!

— Spokojnie, spokojnie — Nieznajomy pomógł grubasowi wstać i posadził go na rozchwianym krzesełku. Z bliska miał pogodną fizjonomię zawodowca bez skrupułów. Pachniał lawendą; szerokie bary opinała skórzana czarna bodajże kurtka — Wody?

— Chętnie. W zlewie jest kubek.

— A dla mnie znajdzie się jakieś naczynko?

— Zrozumiałe! Gdzieś w pokoju zostawiłem szklankę. Poszukam jej zaraz.

— Odpocznij pan lepiej.

— Już mi dobrze. — Poczłapał Kukuryk w głąb mansardy z otuchą w sercu; cudowna burza, piękna noc! — Jak pan chce, mogę zaparzyć herbatę.

— Czemu nie? — zgodził się gość. — Najbliższych kilka godzin spędzimy razem.

— Razem?

— Razem! — potwierdził niezłomnie mężczyzna i dodał zawile: — Muszę pana przypilnować.

— Przed kim?

— A, żeby nic się panu nie stało.

— Co tam może mi się stać?

— Wie pan, tak w ogóle. Nerwy, głupota, przemęczenie...

— Ja?

— Wszyscy.

— Nie rozumiem. — Kukuryk nie lubił zawiłego gadania. Ale oni tak zawsze. Zawsze! Włączył grzałkę pod uniwersalnym czajnikiem, w którym jak było trzeba, gotował również zupy w proszku i jajka, a czasem nawet, gdy zatkał się zlew, oddawał do niego mocz, żeby jednak coś gorszego zrobił — nigdy! Otoknął kubek i szklankę, odmierzył cukier, wsypał herbatę. Powtórzył sobie kilkakrotnie w duchu: — Jestem szanowany i ważny! — żywił jednak w tym względzie pewną wątpliwość. Zerknął na gościa i stwierdził z niesmakiem, że facet, nie prosząc bynajmniej o zgodę, lornetkuje kamienicę usadowiony na krzesełku, jakoś tak dziwnie, bokiem, jakby podejrzewał, iż Kukuryk rąbnie go znienacka w łeb. Wypytywał przy tym, niecnota, tonem obelżywym i nad wyraz paskudnym:

— Od dawna pan to masz?

— Lornetkę?

— Tak.

— Od niedawna.

— Ile kosztowała?

— Trzydzieści.

— Kawał grosza! No, ale pożyteczny sprzęt, pożyteczny!

Kukuryk trzęsł się z oburzenia. — Gada ze mną jak z bandziorem, chamidło!

— Na wytyczne czekam, proszę pana — oświadczył z godnością.

— Jasne! — zaciągnął serdecznie gość nie przestając lornetkować domu. — Obaj czekamy na wytyczne.

— Myślałem, że dostanę je od pana?

— Nie, nie! Wytyczne przyniesie rano ktoś inny. Jeśli chodzi o mnie, to ja tylko tak, wie pan... żeby pana przypilnować... — Trzymał w podniesionych rękach lornetkę. Kurtka zadarła się do góry i pod paskiem widać było pistolet.

— Herbatka raz! — zameldował posłusznie gospodarz.

— Ano, czemu nie — zgodził się gość. — Skoro mamy spędzić razem kilka godzin, może być herbatka.

19.

W tym samym czasie Jan T., emigrant, ojciec Bernarda i Jacka, przebywający ostatnio w Ciudad de Mexico, siedział obok urodziwej Polki w oficynie LOT przy Paseo da la Reforma i czekał na konfirmację biletu do Warszawy. Normalnie dygotałby z nerwów, mając w bliskiej, lecz nieznanej jeszcze perspektywie powrót na ziemię przodków, wszelako strzelił sobie rankiem kielicha i był żwawy. Palił i zabawiał Polkę rozmową. W sąsiednim pomieszczeniu stukotał telex. W dole za oknem szeroką dwukierunkową ulicą przetaczały się tysiące samochodów nękając miasto wizgotem opon, rykiem silników i wrzaskiem klaksonów.

Polka, pani Grażyna, kobieta w okolicach trzydziestki o semickich rysach i zgrabnej, szczupłej sylwetce, wyszła przed kilkoma laty za meksykańskiego inżyniera i wobec trudności materialnych, z którymi borykał się mąż, podjęła pracę w biurze Polskich Linii Lotniczych jako sekretarka w najszerszym tego słowa wymiarze — obsługiwała telexy i telefony, wystawiała bilety, utrzymywała permanentny kontakt z innymi biurami podróży, aby załatwić komuś w razie czego lot wiązany; prowadziła księgowość, kasę i korespondencję, pisała w dwóch językach na maszynie, podawała dyrektorowi i gościom kawę, a czasami była także gońcem, sprzątaczką i pielęgniarką.

Jana potraktowała niezwykle ciepło — już od paru dni starała się zarezerwować mu miejsce w samolocie Aeroflotu. Zgłosiła go, wbrew obowiązującym rygorom, na dwa jednocześnie rejsy w ostatnią i przedostatnią sobotę czerwca, lecz ciągle były jakieś komplikacje: a to na linii Meksyk — Moskwa, a to znowu na odcinku Moskwa — Warszawa.

Uśmiechała się niepewnie.

— Pójdę przeczytać telex.

— Narobiłem pani kłopotów — mitygował się Jan.

— Głupstwo. Może jeszcze kawy?

— Dziękuję.

— Dziękuję: tak, czy dziękuję: nie?

— Gdyby ewentualnie była pani łaskawa...

— Dobrze, wstawię wodę i zobaczę, co tam oni piszą.

Patrzył z uznaniem na jej ruchliwe, zwinne biodra i wyraźnie zarysowane pośladki. Niezła sztuka! Niby chuda, ale niczego dziewczynie nie brak. Można by ją zaprosić na jednego do taniej restauracji. Biust! Hu, hu! Nie ma lepszej rzeczy niż wiotka kobieta o dużych piersiach. Zniknęła w wąskim, krótkim korytarzu, tymczasem główne drzwi biura odskoczyły z trzaskiem i wpakowała się do środka trzyosobowa rodzina w ciemnej, rzekłbyś: meksykańskiej tonacji — czteroletnia dziewczynka o naszpikowanych złotem uszach, bardzo młoda, śliczna kobieta, której włosy i oczy były niby jasne, cera wszelako przypominała magnoniowy fornir, wypucowany solidnie przez służącą, oraz czarniawy, korpulentny, przystojny na swój sposób mężczyzna z nikłym, hiszpańskim wąsikiem nad wargą emitującą z sekundy na sekundę różne stany duchowe tego człowieka — raz łagodną, innym razem okrutną, czasem znowu pogardliwą i wrogą.

Matka przysiadła z córeczką na kanapie, ojciec zaś podszedł zamaszyście do biurka, przy którym siedział z boku Jan, i ku ogromnemu zdziwieniu karykaturzysty zaseplenił w gwarowej polszczyźnie:

— Je tu kto?

— Ja jestem — rzekł układnie artysta.

— Mnie mówili, że ma być kobita.

— Owszem, zaraz przyjdzie.

— Ta kobita?

— Hm, ta pani.

— Gada po naszemu?

— Jakoś sobie radzi.

— To dobrze. — Wąs rodaka przybrał linię pogodną i czułą, niebawem jednak zmienił położenie i wyartykułował z mrożącym szyderstwem: — Nie podobuje mnie się tyn Meksyk, panie. Ludzie głupie, mamrotają coś pod nosem: człek nic nie rozumi. W kraju, panie, to rozumi mnie każdy Polaczek, a tu same jakieś przygłuptasy, nikt nic nie rozumi, nic! jakby gadał ze stodołą.

— Może nie zna pan po prostu hiszpańskiego? — zauważyła przyjaźnie Grażyna. Wróciła na swój fotel za biurkiem, spojrzała na Jana i oświadczyła ze smutnym uśmiechem:

— Trzeba czekać.

— Nic?

— Nic. To znaczy: ma pan w obydwu wypadkach O.K. na trasie Meksyk — Moskwa, brak natomiast potwierdzenia rejsu z Moskwy do Warszawy.

— Przecież w Moskwie mógłbym dostać się na pokład każdego lotowskiego odrzutowca.

— Oczywiście. Złapałby pan coś wcześniej czy później, ale wie pan, jacy są Rosjanie — chcą stuprocentowej gwarancji, że tranzytowy pasażer nie będzie się szwendał po lotnisku: pił, przysypiał, marudził i tak dalej. Trudno im się w końcu dziwić. No, głowa do góry! Zaraz ich ponaglę, tyle tylko, że spadło napięcie, końcówki komputera w tutejszym Aeroflocie nie działają i nie sposób wprowadzić pana do centralnego, rozstrzygającego komputera w Moskwie. — Zerknęła na człowieka z wąsikiem, który był aktualnie w stadium zniecierpliwienia i gniewu: — Czym mogę służyć?

— Jóźwik jezdem — zameldował osioł tonem rozwiewającym wszelkie wątpliwości.

— Ach, pan Jóźwik. — Grażyna westchnęła głęboko; bujny biust zafalował pod lekką tkaniną sukienki, a szyja poczerwieniała wyraźnie. — Z żoną i córeczką?

— Ma się rozumieć!

— Był w pana sprawie telefon od konsula.

— Konsula obiecywał, że tu przyjdzie.

— Więc przyjdzie.

— Obiecywał, że wepchnięta nas do najbliższego samolotu, bo jak nie, to ja zemrę bez pieniędzy jak pies, chyba że mnie konsula coś pożyczy.

— Wszystko pan stracił?

— Wszystko. Okradli nas w hotelu!

— Kiedy?

— Ostatniej nocy. Gołe my teraz jak pierony. Fiata sprzedalim, żeby kupić przelot i dolce. Fiat kosztował mnie dwie bańki, ale te złodzieje doliczają dwadzieścia pińć procent podatku, więc już masz pan trzy. — Rodak skierował te słowa do Jana, kobiet bowiem nie darzył szacunkiem. — Cały majątek poszedł, jeszcze się człek dopożyczył — mówił z kpiącą urazą. — Mieli po nas przyjechać na lotnisko krewniaki Polaczki z USA. Nie przyjechali, panie, bo jeszcze nie wyrobili papirów. Myślelim, że przyślą przynajmniej trochę hajcu, nie przysłali. Wystawili nas do wiatru. — Pompował mocarnymi, nawykłymi do ciężkiej roboty piąchami, przewracał nabiegłymi krwią oczyma, buchał w Jana gorącym oddechem: przełknął ślinę i sapnął: — Pić:

— Zrobię panu herbaty — pospieszyła Grażyna.

— Nie lubię herbaty.

— Coca-cola?

— Za słodka.

— Tonic?

— Nie chcę — zaoponował z rozbrajającą prostotą osiłek. I wyjaśnił: — Gorzki! Zwykłej wody mnie dajta, ludzie!

Grażyna wzięła dzbanek i poszła po wodę. Jan zdobył się na samodzielną decyzję i wręczył dziecku kredowy karton do malowania, a to z tego powodu, iż dziewczynka smarowała flamastrem blat drewnianej ławy. Matka, nie wypuszczając z palców marlboro super-king size, rozpłakała się nagle. Była śliczna, ale gdy wstrząsnęły nią spazmy, błysnął w ustach srebrny pniaczek, wstawiony zapewne dla ozdoby w miejsce zdrowego zęba.

Jan zmiękł. Cicha, bezradna rozpacz kobiety rozstroiła go nerwowo. Pocieszał:

— Mogło być gorzej. Mogliście państwo stracić paszporty, bilety lotnicze albo i życie. Gdzie mieszkacie?

— A tam! — Osioł wycelował palcem w okno, za którym po drugiej stronie ulicy pruł w niebo trzydziestopiętrowy budynek. Nie pensjonat nie ubogie schronisko, lecz hotel dla średnich milionerów.

— Chłopie! — szepnął ze zgrozą karykaturzysta — Ile ty płacisz za dobę?

— No, pięćdziesiąt tysięcy tych ichnich pensiaków.

— Poważnie?

— Poważnie.

W tym momencie Jan przestał współczuć rodakom.

C.D.N.

Lotnictwo.

MIG – 29

Ognista kula zakipiała czerwienią i czernią. O 15.15 koziołki i susy pod nisko zwisającymi chmurami nagle się skończyły.

— Tam, obok swego fotela, leży pilot i porusza się — zawołał jeden z obecnych, który oglądał upadek przez lornetkę. Tym, który tam leżał, był 37-letni Anatolij Kwoczur — niewątpliwie jeden z najdzielniejszych radzieckich pilotów wojskowych — który cudem tylko nie odniósł niebezpiecznych dla życia obrażeń.

Czym były prezentacje zachodnich samolotów bojowych, jak AMX, F-16 czy F-18 „Hornet", które krótko przedtem odbyły loty demonstracyjne w porównaniu ze sztuką latania Miga-29!

— Żaden zachodni samolot nie wykonuje tak ekstremalnych manewrów — oświadczył w Paryżu z wyraźną zazdrością przedstawiciel zachodnioniemieckiego koncernu lotniczego MBB. Tak samo było kilka miesięcy temu w Farnborough, gdzie Rosjanie po raz pierwszy zaprezentowali na zachodnim pokazie swego cudownego ptaka.

Dla Zachodu nowością jest nie tylko samolot, lecz także sposób, w jaki Rosjanie próbują zdobyć nań klientów w krajach poza blokiem wschodnim.

— Po raz pierwszy zdarzyło się, by Rosjanie zorganizowali autentyczną kampanię marketingową dla wojskowego odrzutowca — zauważył Aaron Karp ze sztokholmskiego instytutu SIPRI. Radzieckie ministerstwo przemysłu lotniczego oferuje zaprojektowanego jako „myśliwiec do wywalczania przewagi w powietrzu „Miga-29" za ok. 11 mln dolarów — mniej niż połowę tego, co USA żądają za reprezentującego ten sam poziom techniczny F-18 „Horneta" (ok. 27 mln dol.).

Rosjanie oferują prosty myśliwiec wielozadaniowy, który zwalczać może naddźwiękowych przeciwników, jak również atakować cele naziemne lub — dzięki swym szczególnym właściwościom w locie z małą prędkością — polować na śmigłowce lub samoloty transportowe. Zdaniem fachowego pisma „SOLDAT UND TECHNIK" Mig-29 nadaje się „wspaniale do walki kołowej".

Wymyślny system klap w dyszach, zasysających powietrze dla 2 silników po 8200 kg ciągu każdy, zapobiega wciąganiu w trakcie startu ciał obcych — dzięki czemu samolot ten może w razie konieczności korzystać także z nieprzygotowanych pasów startowych. Zastrzeżone to dotąd było tylko dla samolotów pionowego startu i lądowania. Jednakże w przeciwieństwie do nowoczesnych zachodnich samolotów bojowych, które sterowane są w systemie „fly by wire" impulsami elektrycznymi, pilot Miga-29 prowadzi swą maszynę przy pomocy niezwykle długiego drążka sterowego, przekazującego jego wolę zwykłemu systemowi hydraulicznemu.

— U Rosjan pilotaż to wciąż ręczna robota, a robią to po mistrzowsku — ocenił Miga-29 rzecznik firmy Dornier, Rolf Christ.

Piloci Migów-29 noszą specjalne hełmy. Są one dwukrotnie cięższe od zwykłych hełmów pilotów odrzutowych, zawierają nadmuchiwaną poduszkę powietrzną i mają chronić słuch pilota przed grzmotem turbin. Samolot ma trzy lusterka wsteczne, gdyż wskutek rozmiarów hełmu, pilot ledwo może obracać głową. Być może hełm zapobiegł czemuś gorszemu, gdy — po ostatnim numerze Flippera — pilot doświadczalny Anatolij Kwoczur dopiero niebezpiecznie blisko ziemi zdecydował się wysiąść przy pomocy katapulty.

Pozostaje jednak zagadką, dlaczego utracił on nagle kontrolę nad samolotem. Zawiódł system sterowania? Defekt silnika? Wielu ekspertów przypuszcza, że Migowi-29 zaszkodziło przerwanie strumienia powietrza dopływającego do silników. Dochodzi wówczas do — co jest szczególnie niebezpieczne przy niewielkiej wysokości lotu — swego rodzaju „zakrztuszenia się" silników. Przyczyną tego może być nieprawidłowe ustawienie przegród w kanale wlotowym, które w zwykłym przypadku zapobiegają dostawaniu się zanieczyszczeń do sprężarki.

„DER SPIEGEL"

Wideonotes

FILM TV WIDEO

— Postanowił pan nakręcić film o Julianie Ochorowiczu, mało znanym i nie docenionym polskim uczonym. Dlaczego wybór padł właśnie na tę sylwetkę?

— Dziesięć lat temu realizowałem w Wiśle film zatytułowany **„Dokąd Beskidzie"**. Konsultant filmu, kierownik tamtejszego muzeum, **Jan Krop**, zapytał mnie, czy wiem, kto to był Julian Ochorowicz? Nie znałem odpowiedzi. Wywołałem ogromne zdumienie u mojego rozmówcy. Jednym tchem opowiedział mi o założycielu uzdrowiska Wisła, znanym na świecie uczonym, wynalazcy, lekarzu, psychoterapeucie itd. Na co ja wyraziłem zdziwienie: Skoro tak, to dlaczego w Wiśle nie ma żadnego dowodu pamięci o nim? Jan Krop bezradnie rozłożył ręce, gdyż wówczas jeszcze dla władz miejscowych, Ochorowicz — odkrywca Wisły nie zasługiwał na to. Po roku osiemdziesiątym postawiono mu kamień pamiątkowy. Zaintrygowany postanowiłem dowiedzieć się o Ochorowiczu czegoś więcej

— Nie było to łatwe zadanie. Encyklopedyczna nota powiada jedynie: „Ochorowicz Julian (1850—1917), filozof i psycholog, przedstawiciel pozytywizmu: Wstęp i pogląd ogólny na filozofię pozytywną, Pierwsze zasady psychologii". Ta skąpa nota biograficzna nie sugeruje wcale, jak barwną postacią był Ochorowicz. Skąd pan czerpał wiedzę o nim?

— Pierwsze ślady napotkałem w Muzeum Beskidzkim w Wiśle, którego kierownik skontaktował mnie z **Januszem Krajewskim**, założycielem i dyrektorem Biblioteki Polskiej Akademii Nauk, współpracownikiem profesorów: **Władysława Tatarkiewicza i Tadeusza Kotarbińskiego.** Jest to człowiek który o Ochorowiczu wie wszystko i posiada liczne po nim pamiątki. Przekazał 107 tomów pamiętników Ochorowicza do Ossolineum i wskazał mi na inne źródła wiedzy o nim. Liczne rozmowy z Januszem Krajewskim grzebanie po archiwaliach Ossolineum rozbudziły moją wyobraźnię. Ochorowicz to rzadki przypadek geniuszu ludzkiego, niezwykłej pracowitości i uporu. W innym wolnym społeczeństwie mógłby stać się jednym z największych umysłów XIX wieku Kolega z ławy szkolnej — **Bolesław Prus** sportretował go w **„Lalce"** jako Ochockiego. W kraju był nie doceniany. Wyjeżdżał za granicę, zdobywał sławę, wracał i znowu był nie doceniany, a potem zapomniany. Uświadomiłem sobie, że my nie zdajemy sobie sprawy z tego jak fascynujących i wielkich ludzi mieliśmy w historii. Być może taka postawa wynika z braku tolerancji Polaków do szalonych pomysłów. Idee, które proponował Ochorowicz społeczeństwu, dalekie były od tradycyjnego myślenia.

— Co pana najbardziej zafascynowało w biografii Juliana Ochorowicza?

— Obok wszechstronności zainteresowań, jego prawdziwie pozytywistyczna postawa wobec życia i chęć ratowania substancji kulturowej narodu. Jako siedemnastoletni młodzieniec, student wydziału historyczno-filozoficznego nowo otwartej Szkoły Głównej w Warszawie, o którą walczył poprzednie pokolenie, wygrał konkurs w dziedzinie nauk psychologicznych. On pierwszy domagał się oddzielenia psychologii od filozofii. Jednocześnie interesował się mediumizmem i tak modną wówczas hipnozą — skuteczną metodą leczenia niektórych chorób psychicznych. Problemami tymi zajmowali się najsłynniejsi nobliści epoki. Za tego typu działalność był szykanowany w Polsce, a nawet w pewnym momencie zmuszony do opuszczenia Warszawy. Wtedy to musiał wyjechać do wioski Wisła, było to w 1903 r. Po dziesięciu latach pracy tam, stworzył z niej znane uzdrowisko. Aparaty jego konstrukcji lepiej działały od amerykańskich aparatów Bella i opanowały rynki: Francji, Belgii, Holandii, Rosji i Polski do końca XIX w. Zaczął od przeprowadzenia pierwszej, głośnej transmisji na odległość, koncertu **Kamila Saint Saensa.** Było to w Paryżu w 1895 r.

— Jak tam zawędrował?

— Znalazł się tam, gdy musiał opuścić Uniwersytet we Lwowie, gdzie nie chciano mu przyznać profesury. Przez sześć lat pracował jako prywatny docent, za darmo, żyjąc jedynie z renumeracji czyli doraźnych zasiłków. Rektor uczelni pisał do władzy w Wiedniu, że wprawdzie Ochorowicz jest zdyscyplinowany jako pedagog ale niezbyt rozwija się jako naukowiec On w tym czasie wydał kilkanaście książek z dziedziny psychologii, a jednocześnie był pierwszym człowiekiem, który opracował teoretyczne zasady działania telewizji — **„aparatu do zdalnego widzenia i słyszenia"** — który obowiązuje do dzisiaj: zamiany obrazu na impulsy elektryczne (kodowanie obrazu), przesyłanie elektryczności na odległość (transmisja) oraz ponowne odwrócenie impulsów elektrycznych na obraz (dekodowanie).

— Czy to mógł być powód do niezadowolenia władz uczelni?

— Nie tylko. Nie podobał im się pozytywista z Kongresówki i niebezpieczny socjalista. Ochorowicz był pedagogiem, który rozpalił wyobraźnię młodzieży, wzbudził jej szacunek do tego stopnia, że poprzez demonstracje poza murami uczelni studenci występowali w jego obronie.

— Czy w Paryżu znalazł większe zrozumienie dla swojej pracy?

— O tak. Nazwisko Ochorowicza było znane w kręgach naukowych. Z zainteresowaniem i sympatia odnoszono się do jego poczynań. Choć w Paryżu Ochorowicz znalazł się bez grosza, to szybko pospieszył mu z pomocą noblista **Charles Richet** — od dawna interesujący się jego metodą leczenia niektórych chorób psychicznych przy pomocy hipnozy. Drugą osobą był niedawny współpracownik **Bruno Abdank Abakanowicz** ze Lwowa — wynalazca lampy elektrycznej, od roku przebywający w Paryżu. Oddał do dyspozycji Ochorowiczowi swoją pracownię. Po trzech latach dramatycznych prób zademonstrował swój telefon i przeprowadził głośną transmisję. Prasa na całym świecie szeroko opisywała jego sukces. On zaś odnotował w dzienniku: **„Praca wynalazcza podtrzymywała mnie na razie, ale w rezultacie przyniosła mi więcej zaszczytów niż dochodów. Z konieczności więc musiałem po paru latach wejść na nieszczęsną drogę praktyki lekarskiej, która wzmogła objawy niechęci w kraju, w kołach lekarskich, a tym czasem w Paryżu oddając się na usługi lekarzy nie tylko nie potrzebowałem obawiać się szykan, ale mogłem w dalszym ciągu korzystać naukowo z obcowania z nimi, w zakresie jedynie mnie interesującym".**

Profesorowie Charkot i Voisen oddali mu do dyspozycji pacjentów w swoich klinikach, gdzie przeprowadzał doświadczenia w terapii hipnotycznej. Całe dnie spędzał wśród chorych osiągając zdumiewające rezultaty.

Ochorowicz ciągle utrzymywał kontakt z krajem i przyjechał, by podzielić się najnowszymi wynikami badań nad chorobami psychosomatycznymi. W warszawskim Szpitalu Św. Ducha demonstrował eksperymenty paryskie, jednocześnie rozpoczął energiczną akcję propagandową. Wygłaszał odczyty, pisał w prasie medycznej. Otwarcie występował przeciwko obowiązującemu w medycynie kierunkowi przyznającemu prymat komórki nad psychologicznymi właściwościami pacjenta. Reakcja środowiska lekarskiego była natychmiastowa. **Zeromski napisał: „Towarzystwa lekarskie wystąpiły przeciwko klinice Ochorowicza z taką zaciekłością, jaką nie wzbudziłby lekarz leczący owce. Pisma obrzuciły go grubianstwami, nazwano go bowiem nieukiem i szarlatanem. Uwierzyć mi się nie chce. Mieszano go z błotem tak, że nie wiem, czy żyć potrafi w Warszawie. On jednak przyjął wyzwanie lekarzy i będąc jednym z największych teoretyków w tej dziedzinie, stanął z otwartym czołem do walki. Rozpoczął się głośny spór, który ostatecznie wygasł z końcem wieku, gdy oponenci zaczęli przychylać się do poglądów Ochorowicza".** Obecnie wiadomo, że około 50 proc. chorób ma podłoże psychosomatyczne.

No i jeszcze cała sprawa „mediumizmu" która w kraju podważyła jego pozycję. Obecnie wśród reprezentantów parapsychologii Ochorowicz uważany jest za polskiego prekursora, a wówczas **Adam Asnyk** pisał:

„Za życia byłem sceptykiem,
Po śmierci jestem nim jeszcze,
Za karę w nodze stołowej się
mieszczę
I muszę ruszać stolikiem".

To są powody, dla których powstaje ten film.

— Kiedy pana film będzie można zobaczyć?

— Jestem w trakcie realizacji zdjęć. Może jesienią...

— Dziękuję za rozmowę.

IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

„Żadnego dowodu pamięci?"

Rozmowa z JANUSZEM SIJKĄ, reżyserem filmowym.

A może do kina?

Na lato nie ma nic lepszego, jak dobry film. Proponujemy zatem amerykański film **Ridleya Scotta, pt. „Osaczona".** Jest to opowieść o dwóch różnych światach, z których wywodzi się para głównych bohaterów Mike, świeżo upieczony detektyw, jest przykładnym mężem i ojcem, zaś Claire, obracająca się w wytwornym, luksusowym środowisku, fascynuje go nie tylko jako kobieta, ale i cząstka świata, do którego on może tylko aspirować. Powierzone mu zadanie ochrony Claire, jako ważnego świadka, gwałtownie zburzy harmonię jego związku małżeńskiego...

W rolach głównych występują: **Tom Berenger, Mimi Rogers, Lorraine Bracco, Jerry Orbach, John Rubinstein i inni.**

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia – podnieś słuchawkę i wykręć numer: 30-77-76

Poglądy, opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

27 lipca — DARIUSZ DOROŻYŃSKI — godzina 10—15.

3 sierpnia — PAWEŁ TOMASZEWSKI — godzina 10—15.

RELACJA Z REPORTERSKIEGO DYŻURU Z DNIA 20 LIPCA.

17 lipca do domu handlowego **„Teofil"** wstąpił pan **Jan Bartczak,** aby kupić jakiś drobiazg pasmanteryjny. Była godzina 18.45. Sprzątaczki wymachiwały miotłami, wzniecając tumany kurzu. Zapytane, czemu się tak spieszą, odparły, że dziś czynne do 19.

Na stoisku z pasmanterią jedna z klientek grymasiła, za nią stała młoda kobieta z dzieckiem, młody mężczyzna, a z nimi p. Bartczak. Gdy była już za pięć siódma, za p. Bartczakiem stanął pan z kluczykami obwieszczając, że zamyka. Pierwsza z klientek zapłaciła 40 tysięcy, nabywając m.in. serwetki z Chin. Jan Bartczak także nabył, co chciał. Wtedy pan Bartczak powiedział do pana z kluczami, że zamiast popędzać klientów, powinien się cieszyć z wysokich obrotów. Za „karę" kazano mu się wspinać po schodkach wewnętrznych na szczyt DH „Teofil", wraz z nim sapiącemu z wysiłku ojcu z dzieckiem na rękach, po to, aby mogli zejść obok zamkniętych drzwi innymi schodami.

W **Grotnikach** przy ulicy **Krzemień 1** znajduje się gajówka, a w niej mieszkanie służbowe, w którym od 6 lat, tj. od rozwodu, nadal zameldowany jest ob. **Mieczysław Florczak,** były mąż pani **U.K.** (nazwisko do wiadomości redakcji), chociaż, przez cały czas (mimo zapłacenia grzywny) mieszka on u swoich rodziców w Zgierzu. Była małżonka w obawie, że mąż zechce w każdej chwili wrócić i urządzić jej piekło interweniowała wielekroć w wydziale meldunkowym UG w Zgierzu podając miejsce pobytu eks-męża i prosząc o wymeldowanie go z gajówki. W odpowiedzi słyszy, że nie można wymeldować obywatela „w nieznane". A przecież są na to świadkowie, że p. Florczak od 6 lat mieszka w Zgierzu.

W tych samych **Grotnikach** znajduje się ciasna i brzydka stacja kolejowa. Większość ludzi z Grotnik pracuje w Łodzi. Skoro tak, i skoro łodzianie korzystają masowo z kolonii i wczasów w Grotnikach, to może prezydent nakłoniłby zakłady pracy i PKP, aby ze swoich funduszów zbudowały przyzwoitą stację kolejową w Grotnikach.

Na **Nowym Rokiciu** przy ul. **Brzozowskiego** znajduje się sklep PSS typu delikatesowego, w którym **od 17 lipca** zlikwidowano stoisko z napojami i alkoholem, a otwarto stoisko z konfekcją, dzięki czemu kurz z ciuchów oblepia masło i sery. Natomiast sprzedaż piwa i wódki przeniesiono do małego, dwuosobowego sklepu przy ul. Rogozińskiego 2a, który czynny jest do 14. Pan **Zygmunt Bronkowski** przypomina, że swego czasu komitet osiedlowy sprzeciwił się sprzedaży alkoholu w tym sklepiku, ponieważ blisko niego mieści się bursa i szkoła.

Pan **Edward Gwóźdź** twierdzi, że w Warszawie, gdy wsiądzie do autobusu pospiesznego, to ten zatrzymuje się dopiero po 3 km, omijając przystanki tramwajowe i zwykłych autobusów. W Łodzi takie autobusy jak „K" i „B" zatrzymują się na każdym przystanku, i to przy trasach tramwajów i innych autobusów.

Pana **Sławomira Wiśniewskiego** bardzo interesują wywiady publikowane w „Odgłosach" przez panią Iwonę Niemiec-Adamską. Byłoby usatysfakcjonowany, gdyby autorka napisała także coś o własnym życiu i swojej pracy.

Jedna z naszych **Czytelniczek** wraca do wyborów na urząd prezydenta PRL. Zauważa, że połowa z liczby 537 to nie 269,5, lecz 268,5. Zamiast więc ironizować z „połówki", należy raczej mówić o przewadze półtora głosu.

Andrzej Guz z ul. Pabianickiej 186 sygnalizuje, że na rogu ul. **3 Maja** od tygodnia są uszkodzone barierki, co w każdej chwili grozi wypadkiem.

Sprawę poruszoną przez ob. **E.G.** (nazwisko do wiadomości redakcji) zajmie się reporter, który pofatyguje się do Kurowic.

Pani **Małgorzata Rejniak** dziękuje za reportaż pt. „Zamiana". 30 czerwca dowiedziała się, że musi zapłacić za stare mieszkanie o wiele więcej niż się spodziewała. Teraz będzie prosić prezesa **Pabianickiej Spółdzielni Mieszkaniowej,** aby jej rozłożyć ten haracz na raty.

Pan **M.M.** (nazwisko i adres do wiadomości redakcji) wykrył na granicy pól **Starowej Góry i Rzgowa** ok. 3 ha żyznej gliniastej ziemi, obok której rośnie piękna pszenica. A na tym kawałku, przejętym od dwóch kobiet na PFZ, kwitnie plantacja ostu, który rozsiewa się po okolicznych polach.

Na parterze bloku przy ul. **Gorkiego 17,** w kuchni mieszkania nr 67 co rusz wybija woda, zalewając sprzęty. **P. Dembowski,** jest bezsilny, gdyż interwencje w administracji nie pomagają. Przyjdzie bowiem fachowiec, coś tam przepchnie i woda znowu wybija.

Ponieważ na petycję mieszkańców **Nowosolnej,** podpisaną m.in. przez pana **Stanisława P.** (nazwisko do wiadomości redakcji), a skierowaną do władz Łodzi, nie było odpowiedzi, 19 lipca w Nowosolnej odbyło się spotkanie mieszkańców z władzami miasta. Niestety, wiceprezydent Stanisław Załobny nie potrafił zająć konkretnego stanowiska wobec pytań i postulatów mieszkańców.

Pan **Bolesław Szewczyński** zam. przy ul. Gazowej 18 donosi, że w lutym mieszkańcy Kozin wpłacili na konto PGM po 35 tys. zł na instalację anten satelitarnych. Obecnie, rzekomo ze względu na nietypowość osiedla, musieli dopłacić po 65 tys. — i większość się nie zgodziła. Otrzymają zwrot pieniędzy, ale... po potrąceniu kosztów administracyjnych. Te pieniądze straciły dziś na wartości. I nikt z mieszkańców nie wie, co za firma ich tak urządziła. PGM z pewnością wie.

Na **Gazowej** nie ma znaków, iż jest to ulica jednokierunkowa i bez wylotu. Dozorcy postawili z dwóch stron małe „znaczki" z zakazem wjazdu i ganiają z miotłą samochodziarzy aż miło. Każda ulica ma swoich Aniołów.

Kiedy na ulicy **Gagarina** remontowano torowisko, przez kilka miesięcy funkcjonował tam przystanek autobusów 52, 61, 69. Obecnie, jak nas informuje p. **Elżbieta Nowak,** przystanek zlikwidowano i mieszkańcy osiedla Piastów biegają ok. kilometra do najbliższego przystanku.

P. **M.P.** (personalia do wiadomości redakcji) twierdzi, że MPK zostawia na przejazdach dziury, sterczące szyny i inne pułapki dla samochodów. I dlatego p. M.P. nie płaci podatku drogowego, protestując tym sposobem przeciwko złemu stanowi dróg w Łodzi.

W Łodzi najwięcej wolności mają psy, które biegają sobie gdzie chcą bez kagańców i smyczy. Pan **Jerzy Kaźmierczak** kilkakrotnie przeżywał szok, a potem dni niepewności, bo jego dzieci zostały ukąszone przez psy. Na szczęście obyło się na strachu.

RYSZARD BINKOWSKI

Odgłosy w „Odgłosach"

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie" publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawiane w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

DODATKOWE UWAGI O ARMII „ŁÓDŹ".

Tak się złożyło, że swoją długoletnią służbę wojskową rozpoczynałem w ludowej kawalerii, której żywot był stosunkowo krótki, bo w styczniu—lutym 1947 r. wszystkie jednostki kawaleryjskie zostały rozwiązane, pozostał jeszcze tylko przez jakiś czas szwadron reprezentacyjny Prezydenta PRL. Po zakończeniu działań wojennych w maju 1945 r. 1 Warszawska Samodzielna Brygada Kawalerii była przeformowywana na 1 Warszawską Dywizję Kawalerii. Z 2 zapasowego pułku piechoty w Krakowie trafiłem właśnie do formującego się w rejonie Gorzowa Wlkp. 1 Pułku Ułanów, w tym pułku jesienią ukończyłem szkołę podoficerską kawalerii, w 1946 roku byłem już podchorążym kawalerii w Oficerskiej Szkole Piechoty i Kawalerii, po 1947 roku w piechocie, a później zawodowa służba na różnych stanowiskach liniowych do 1985 roku.

Pochodzę z „Kresów wschodnich", urodziłem się, chodziłem do szkoły i wychowałem się w Brodach na pograniczu Podola i Wołynia. Brody — miasto powiatowe liczące dwadzieścia kilka tysięcy mieszkańców było dość dużym garnizonem wojskowym jednostek, które właśnie weszły w skład „ARMII ŁÓDŹ". Jak wiadomo w Brodach stacjonował 22 Pułk Ułanów Podkarpackich, 13 dywizjon artylerii konnej i detaszowany 3 batalion 43 Pułku Strzelców Legionu Bajończyków z Dubna (we wrześniu 1939 r wchodził w skład 13 DP „ARMII PRUSY"). Brody były też garnizonem dowództwa i sztabu Samodzielnej, a od 1937 roku Kresowej Brygady Kawalerii i części pododdziałów brygadowych (szwadronów łączności, pionierów, kolarzy itd.).

Nasza rodzina zamieszkiwała na przedmieściu Stare Brody nie opodal koszar 13 dak i rozciągających się na południowy-wschód od miasta wojskowych placów ćwiczeń. Od pobudki do capstrzyku rozbrzmiewały w koszarach sygnały grane przez trębaczy, które z dokładnością zegarka regulowały życie wojska, bardzo dobrze były one słyszane i rozpoznawane w naszym osiedlu. Bez mała codziennie w kierunku placów ćwiczeń przeciągały szwadrony ułanów, kompanie piechoty, czy też baterie artylerii konnej turkocząc swoimi 75 mm armatami.

Niezapomnianym przeżyciem dla mnie jako 10-letniego chłopca był parada 3 maja 1934 r., pamiętam jak gen. Władysław ANDERS (ówczesny dowódca brygady kawalerii) w asyście zastępcy i adiutanta dokonywał przeglądu uszykowanych w rynku i na przyległych ulicach pododdziałów piechoty, kawalerii i artylerii. Zafascynowany byłem wyglądem tego czterdziestokilkuletniego przystojnego i dziarskiego generała, który na siwym arabie podjeżdżał kolejno do kolumn wojskowych i witał się z nimi dźwięcznym głosem: „czołem żołnierze", gromkie „czołem p...nie g..rale" odbijało echem i niosło się wzdłuż ulic. Rozpoczęła się defilada, gen ANDERS salutował defilujące kompanie, szwadrony i baterie, pierwszy przemaszerował batalion 43 pułku na czele z pułkową orkiestrą przysłaną z Dubna. W takt „Warszawianki" w zwartych kolumnach czwórkowych, twardym defiladowym krokiem maszerowały kompanie.

Imponująco wyglądała defilada pułku ułanów. Defiladę otwierała barwnie wystrojona w biel i amaranty orkiestra czyli tzw. pluton trębaczy. Tuż za orkiestrą defilował poczet sztandarowy ze sztandarem pułku, a następnie poczet z buńczukiem pułkowym. Niezapomniany widok stanowiły szwadrony liniowe ułanów na koniach o jednolitej maści każdy, od kasztanów „z gwiazdką", „gładkich" i „brudnych" kasztanów do skarogniadych. Furkotały na wietrze białe z amarantowym trójkątem u nasady proporczyki (kolor pułkowy) na lancach, wspaniale utrzymane konie dziarsko prowadzili młodzi ułani w rogatywkach z białym otokiem. Przy turkocie kół taczanek ciągnionych przez trójki karych koni przedefilował szwadron cekaemów.

Czytając szereg rozpraw i publikacji dotyczących wojny obronnej w 1939 roku, doczytałem się, że dowództwo i sztab „ARMII ŁÓDŹ" mieściło się w Julianowie w pałacyku pośród parku (dzisiejszy park im. A. Mickiewicza przy ul. Zgierskiej). Skutki bombardowania były dotkliwe, obiekt nie nadawał się do dalszego użytku. Gen. Juliusz RÓMMEL zmuszony był przenieść dowództwo i sztab naprzód do Brzezin a stwierdziwszy, że i tu środki łączności zostały zniszczone, ruszył do Mszczonowa, skąd było już połączenie kablowe z Warszawą. Zawiodło więc dowodzenie armią w okresie szczególnie trudnym, przypomnijmy był 6 września 1939 r., związki taktyczne „ARMII ŁÓDŹ" były w odwrocie, a to wymagało bardzo operatywnego kierowania tymi skomplikowanymi działaniami. Ani dowódca armii, ani jego szef sztabu nie pozostawili w Julianowie nawet małej grupy oficerów sztabu, pracujących tam do chwili zorganizowania dowodzenia w nowej kwaterze.

Wspomina oficer sztabu 10 DP: *„Wybranie tej luksusowej siedziby położonej około pół kilometra za miastem przy głównej szosie na Zgierz, usytuowanej na górze, gdzie wśród zielonego parku wyraźnie odznaczały się białe marmury pałacu, wydawało się nam już wtedy ignorowaniem spraw wojny nie do darowania"*

W pierwszym artykule o Armii „Łódź" Lucjusz Włodkowski opierając się na pewno na autorytatywnym materiale źródłowym, podaje siły armii przed rozpoczęciem wojny, przedstawiały się one następująco: 24 bataliony piechoty, 29 szwadronów kawalerii 168 dział polowych, 10 dział plot, 50 czołgów rozpoznawczych i lekkich, 2 pociągi pancerne itd. Osobiście spotykałem się z tymi samymi danymi, ale też spotykałem i inne wyliczenia. Znając organizację wojska polskiego okresu międzywojennego i opierając się na źródłach informujących o składach poszczególnych armii, doszedłem do nieco odmiennych wniosków i danych. Przypomnijmy, że 2 DP Legionów i Kresowa BK dopiero 2 września przybyły na obszar operacyjny armii, ale Kresowa BK wraz z podporządkowanym jej 1 Pułkiem Kawalerii KOP dopiero 4 września 1939 r. weszła do boju, a przed wejściem do walki poniosła dotkliwe straty w wyniku bombardowania lotniczego.

A zatem 1 września 1939 roku Armia Łódź" liczyła: 34 bataliony piechoty (10 DP — 10 batalionów, 28 DP — 9 batalionów, 30 DP — 9 batalionów plus 4 bataliony Obrony Narodowej (bardzo słabe, bez ciężkiego uzbrojenia) plus 2 bataliony Wołyńskiej BK — 1 etatowy i 1 przydzielony z 84 pp w sumie 34 bataliony) Szwadronów kawalerii już tylko 23 (w czterech pułkach Wołyńskiej BK po 4 szwadrony liniowe wzmocnione cekaemami szwadronu CKM plus szwadron kolarzy, plus 6 szwadronów kawalerii dywizyjnej — w każdej DP po 2 szwadrony to daje wynik w sumie tylko te 23 szwadrony). Czołgów rozpoznawczych i lekkich było według moich wyliczeń tylko około 30 (91 kcz 28 DP i dywizjon pancerny Wołyńskiej BK).

2 września 1939 r. nie licząc strat Armia „Łódź" miała w swoim składzie 43 bataliony piechoty (34 plus 9 batalionów 2 DPLeg.), a 4 września doszło 18 szwadronów kawalerii (12 etatowych szwadronów Kres. BK plus 6 szwadronów 1 Pułku Kaw. KOP) oraz dywizjon pancerny Kresowej BK, co dopiero wtedy stanowiło sumę 50 czołgów rozpoznawczych i lekkich.

Na marginesie należy dodać, że w armii przedwrześniowej pułk kawalerii stanowił przelicznik słabego batalionu piechoty. Przechodząc do walki pieszej, a tak przeważnie poza nielicznymi szarżami, walczyli kawalerzyści we wrześniu 1939 r. (przykład: bój pod Mokrą k. Częstochowy) ze składu 120 kawalerzystów w szwadronie odchodziło z końmi w pierwszym wariancie 20 koniowodnych (z każdej sekcji 1 koniowodny — sekcja 6 ułanów), w 2 wariancie 40 koniowodnych (środkowy każdej trójki). Ten 2 wariant był stosowany bardzo rzadko, przeważnie w boju spotkaniowym, gdy trzeba było przejść niespodziewanie i szybko do walki pieszej. Zazwyczaj najczęstsze zastosowanie miał wariant 1.

30 czynnych dywizji piechoty czyli „kadrowych", a takie tylko wchodziły w skład Armii „Łódź" było wyposażonych w hełmy wz. 31 tzw. „nowe-polskie". Francuskie hełmy wz. 28 nosiły pułki kawalerii poza 1 Pułkiem Szwoleżerów Józefa PIŁSUDSKIEGO i 1 Pułkiem Strzelców Konnych, które krótko przed wojną zostały wyposażone w hełmy wz. 31. Hełmy francuskie nosili też żołnierze rezerwowych dywizji piechoty rozwijanych w wyniku mobilizacji powszechnej.

Erkaemy austriackie Schwarzlose wz. 08/15 i francuskie Chauchat wz. 1915, według ówczesnej terminologii były to lekkie karabiny maszynowe (LKM).

Kapelani nosili rogatywki z fioletowym otokiem, takiego koloru były też „łapki" na kołnierzach czamar (kapelani nosili je zamiast kurtek wyjściowych) i paski na kołnierzach płaszczy. Kapelani wyznań chrześcijańskich nosili metalowe lub haftowane krzyżyki na łapkach i kołnierzach płaszczy pod fioletowym paskiem. Poszczególne wyznania różniły się kształtem krzyżyka, kapelani katoliccy nosili „proste" krzyżyki, ewangeliccy krzyżyk stylizowany, a prawosławni też stylizowany z ukośnym krótszym ramieniem u dołu. Kapelani wyznania mojżeszowego — rabini wojskowi nie nosili oznak.

Wszystkie związki taktyczne ARMII „ŁÓDŹ" poza 30 DP posiadały w swoim składzie dwudziałowe baterie artylerii przeciwlotniczej wyposażone w działa 40 mm wz. 36 Bofors, a nie bataliony artylerii przeciwlotniczej jak ujęto to w „Odgłosach"

Walczyła w rejonie Puław, Księżomierza i Krasnobrodu, 17—20 września brała udział w drugiej bitwie pod Tomaszowem Lubelskim. 20 września brygada uległa rozproszeniu, a sprzęt i uzbrojenie zniszczono.

Lucjusz Włodkowski wspomina o zmianach na stanowisku dowódcy i szefa sztabu Kresowej BK („Odgłosy" nr 14 z 2.04 89 r.) płk. Stefan HANKA-KULESZA przekazał dowództwo brygady płk. dypl. Jerzemu GROBICKIEMU, zmienili się też szefowie sztabu. Nie była to jedyna zmiana, bo w przededniu wojny w rejonie wyjściowym koło Radomska dowódca 2 Pułku Strzelców Konnych płk. NIEMENTOWSKI przekazał dowodzenie tym pułkiem ppłk. Józefowi MULARCZYKOWI, byłemu zastępcy dowódcy 1 Pułku Strzelców Konnych z Garwolina. Jeśli ta druga zmiana miała aspekt pozytywny, to ta pierwsza była raczej chybiona. By nie być gołosłownym, wspomnę o niezbyt chlubnym fakcie, spośród sześciu dowódców wielkich jednostek (związków taktycznych) ARMII „ŁÓDŹ", czterech opuściło swoje oddziały podczas działań odwrotowych, jednym z nich był właśnie płk Jerzy GROBICKI, który 8 września 1939 r. w rejonie Zgierza wyjechał samochodem rzekomo dla nawiązania łączności i odwiezienia rannego oficera do szpitala, do brygady już nie powrócił, a brygada w tym czasie prowadziła walki odwrotowe cofając się ku Warszawie. Oprócz płk. Jerzego GROBICKIEGO swoje oddziały opuścili też: płk. E. DOJAN-SUROWKA (dca 2 DPLeg.), gen. F. DINDORF-ANKOWICZ (dca 10 DP) i gen. W. BOŃCZA-UZDOWSKI (dca 28 DP).

Pozwolę sobie też na małe sprostowanie, otóż 2 dywizjon artylerii konnej Wołyńskiej BK stacjonował w Dubnie, a nie w Dubnem. Miasto to było garnizonem 43 Pułku Strzelców Legionu Bajończyków. (Dubno — miasto powiatowe w b. wojew. wołyńskim, nad rzeką Ikwą, (dopływ rz. Styr), ok. 15.000 mieszkańców, leżące przy linii kolejowej Lwów — Równe, 65 km na północny-wschód od Brodów).

Na koniec chciałem dopisać dalszy ciąg do „żurawiejek" 20 Pułku Ułanów im. króla Jana III SOBIESKIEGO i 6 Pułku Strzelców Konnych:

„Monokl w oku, mina pana,
To ułani króla Jana".
„Z Francji swój początek bierze,
A wśród strzelców jest na przedzie".

MIECZYSŁAW ŁEWAK

WCZASY W NIECHORZU

Pociąg pospieszny relacji Łódź-Kaliska — Trzebiatów odjeżdża punktualnie o godz. 19.26. W długim składzie pociągu udaje mi się z wielkim trudem zająć miejsce siedzące. W Trzebiatowie jesteśmy o godz. 3.50. Przesiadka na „ciuchcię" i dalej do Niechorza.

Jestem na miejscu. Zakwaterowanie w DW „Rybak" FWP Niechorze. Stare, wysłużone budynki, wyglądające obskurnie na zewnątrz, lecz jakże miłe i przytulne wewnątrz. Pokoje duże, czysto i schludnie utrzymane. Wyżywienie od samego początku do końca wyśmienite, rzadko spotykane na wczasach ze względu na niską stawkę osobodnia wczasowicza. Niewątpliwie jest dużą zasługą kierowniczki ośrodka wczasowego pani Danuty Kostrubiec. Warto wspomnieć o ciekawym eksperymencie, zastosowanym z powodzeniem w postaci zatrudnienia na sezon wczasowy junaków z Ochotniczego Hufca Pracy. W danym przypadku tę funkcję spełniają dziewczęta i chłopcy z Liceum Medycznego nr 2 przy ul. Lipowej 16 w Łodzi. Kierowniczka ośrodka i komendantka Hufca pani Maria Szpikowska są zadowolone z takiej współpracy. Nie ma utyskiwań na brak personelu. Dziewczęta sprawnie i grzecznie obsługują wczasowiczów, pracują w kuchni. Chwalą sobie tę pracę. Mają czas wolny na odpoczynek i opalanie. Są to przeważnie uczennice ostatnich klas Liceum Medycznego.

Niechorze. Cicha, spokojna osada rybacka. Jedyną atrakcją jest morska latarnia i świeże ryby, kupowane prosto z kutrów rybackich. Niektórzy wczasowicze przyjeżdżają własnymi samochodami, kupują śledzie, zasalają w beczułkach lub marynują w occie i wiozą do domów. Długa, ciągnąca się kilka kilometrów plaża i nieskażone jeszcze wody przybrzeżne morza, przyciągają wczasowiczów. Gdyby nie ta męcząca podróż na trasie Łódź-Kal. — Trzebiatów i odwrotnie. Tym razem pociąg pośpieszny jedzie o dwie godziny dłużej, bowiem odjeżdża z Trzebiatowa o godz. 23.00 — przyjeżdża do Łodzi Kaliskiej na godz. 9.00. Same postoje i mijanki, zamieszczone w urzędowym rozkładzie jazdy PKP... wynoszą aż ok. 2 godzin. Moim zdaniem to są kpiny z pasażerów.

WŁADYSŁAW BISZEWSKI

BANDY NA MANHATTANIE

W numerze 28 z 9 lipca br. Redaktor Dyżurny pisze o grozie, jaka powiała z opowieści pana „Z" z Manhattanu na temat zachowania się nieletniej młodzieży. Nie rozumiem tylko, czy ma to coś wspólnego z faktem, że siódme piętra zajmuje „Inwestprojekt"? Czyżby ta niesforna młodzież miała dostęp do pomieszczeń właśnie dlatego, że zajmuje je ta firma? Pomyłka.

Siódme piętra Manhattanu to tak zwana kondygnacja techniczna. „Inwestprojekt" wynajął pomieszczenia dla swoich biur, co znakomicie obniża czynsz reszty mieszkańców. Prawdą jest, że piętra te stanowią jedyną kondygnację umożliwiającą kontakt między różnymi klatkami schodowymi. A tym samym — miejsce spotkań — nazwijmy to — niedorostków, operujących brzytwami i paskudzących klatki, podpalających wszystko co się da. Prosimy Grzegorza Gałasińskiego, niech sfotografuje te zniszczenia. W windach i na klatkach codziennie czytamy napisy: o FMW, solidarnościowe i inne. Nikt tego nie sprząta. Po co? Uczmy się żyć w chlewie, a ile to sformułowanie nie uwłacza świniom. Młodzi sfrustrowani malują źle wiezie (maluj z nami!). Tylko jest pytanie: narzekanie to sprawa łatwa, ale czy już coś pozytywnego zrobiłeś?

Nieszczęście nasze polega na tym, że w oczekiwaniu kapitalistycznego raju i wolności nie możemy zapomnieć o nabytych już socjalistycznych uprawnieniach.

I tak nie sądzę, żeby czytał mnie ktokolwiek z tych „młodych i gniewnych". Jeśli cokolwiek czytają. Pozostaje więc westchnienie: a co na to władze porządkowe? Też pewno nic, bo są inne ważniejsze sprawy. Paskudźmy więc bezkarnie, niszczmy, malujmy pod osłoną nocy... Rzeczpospolita zapłaci!

PRACOWNIK „INWESTPROJEKTU"
(Imię, nazwisko i adres znane redakcji)

Zastanawia mnie fakt, dlaczego ludzie czytają w gazecie nie to, co tam jest napisane, a to, co chcą tam przeczytać. Podobnie zrobił Pracownik „Inwestprojektu". Bowiem „opowieść pana Z" znalazła się w sprawozdaniu z reporterskiego dyżuru, jaki miał miejsce w redakcji 29 czerwca 1989 roku. Relacja była podpisana przez Bogdę Madej, a nie przez Redaktora Dyżurnego. W relacji pisze się wyraźnie, jakie znaczenie ma fakt zajmowania przez „Inwestprojekt" siódmego piętra w blokach na Manhattanie, co na „okupację" bloków przez młodociane bandy zrobili mieszkańcy tych bloków i co odpowiedziała na ich interwencję milicja, która ma swoją siedzibę (RUSW — Śródmieście) tuż obok. Do kogo zatem swoje pretensje kieruje Pracownik „Inwestprojektu"?

REDAKTOR DYŻURNY

UMIERAĆ ZGODNIE Z PRZEKONANIAMI

Na zakończenie tekstur o śmierci świadka Jehowy, który kierowany nakazami wiary nie wyraził zgody na transfuzję krwi chociaż wiedział, czym ryzykuje, Eugeniusz Iwanicki nie kryje ambiwalencji: *„do końca nie jestem przekonany, czy nie należało jednak — mimo wszystko — ratować życia Jana Kowalskiego"*. („Jak mieszają wybrani przez Boga", „Odgłosy" nr 23/89).

Nie należało!

Człowiek to ciało, ale także psychika zwana duszą. Ciało jest „mdłe": *„z prochu powstało i w proch się obróci!"*. Dusza zaś według wielu jest nieśmiertelna; za dobro i zło „tu", czeka ją szczęśliwość wieczna lub potępienie. Dla ludzi mocnej wiary zbawienie duszy jest sprawą ważniejszą niż życie „tu". Jeśli więc człowiek nie życzy sobie zabiegów medycznych — które acz uratują ciało, to narażą duszę na potępienie, należy wolę uszanować. Dlatego niedobrze się stało, że lekarze *„mimo wszystko"* wstrzyknęli pacjentowi 300 ml zawiesiny erytrocytów, gdy ten stracił przytomność. Jest to zniewolenie; gwałt na przekonaniach człowieka; jaskrawe podeptanie praw człowieka!

Życie jest najwyższym dobrem. Jednak, jeżeli ktoś wyżej ceni życie niebiańskie od doczesnego, nie wolno mu nadziei na zbawienie odbierać żadnymi zabiegami medycznymi. Bo wyobraźmy sobie, że Jan Kowalski po otrzymaniu tych 300 ml krwi przeżył — jak by wyglądało jego życie ze świadomością, iż jest potępiony na wieki? Nikt, kto nie jest potencjalnym świętym (fanatykiem), nie może sobie wyobrazić piekła jego cierpień psychicznych na wieść, że został „splugawiony" transfuzja.

Obowiązkiem medyków jest ratować życie. Ale nie wbrew woli żyjącego, zwłaszcza gdy wola ta płynie z najgłębszych przekonań (wiary), i nikomu drugiemu krzywdy nie czyni prócz samego zainteresowanego — który wszak jest w pełni władz umysłowych! Nikomu nie wolno mieć za hetkę pętelkę niczyich przekonań. W zamian trzeba podjąć batalię o to, by anachroniczne kanony różnych wiar zostały anulowane przez samych wyznawców.

Wyjaśniam, iż jestem ateistą, co mi nie przeszkadza honorować przekonań wierzących w Boga. Problemy moralne, etyczne, medyczne, prawne i in. związane ze sprawą opisaną przez E. Iwanickiego jeszcze nie są najcięższe — bo tu zainteresowany wyraził wolę. Sprawa staje się dopiero tragiczna, gdy pacjentem jest dziecko — a rodzice wiedząc, iż jedynym dla małego ratunkiem jest transfuzja, na zabieg nie wyrażają zgody. Zdarzało się już tak.

W takim przypadku — dziecka, które jeszcze nie dokonało świadomego wyboru wiary, medycyna powinna spełnić swe powołanie, ratować życie mimo braku zgody ze strony rodziców lub opiekunów. Wcześniej należy wydać odpowiednie przepisy, żeby Bogu ducha winni lekarze nie ryzykowali zaszczuciem — w imię Boga!

J.S. KNYPL

RSM „BAWEŁNA" WYJAŚNIA

RSM „Bawełna" nadesłała wyjaśnienie zasad uiszczania różnych opłat za mieszkanie przez członków spółdzielni. Oto tekst wyjaśnienia podpisanego przez dyrektora RSM „Bawełna" — mgr. **Wiesława Cyzowskiego.**

Członkowie spółdzielni mieszkaniowej obowiązani są uczestniczyć m.in. w kosztach budowy mieszkań przez wnoszenie wkładów mieszkaniowych i budowlanych. Analogiczne zasady obowiązują również przy budowie mieszkań przeznaczonych na rotacyjne (obowiązują tylko wkłady mieszkaniowe). A zatem członkowie uzyskujący spółdzielcze prawo do lokalu nie wpłacają kaucji, lecz wnoszą wkłady 10 proc. kosztu całego mieszkania dla mieszkań lokatorskich lub 20 proc. dla mieszkań na zasadach własnościowego prawa do lokalu. Wkłady te stanowią określoną przepisami część kosztów budowy mieszkań wyliczonych na podstawie obowiązujących przepisów o kredytowaniu spółdzielczego budownictwa mieszkaniowego i zawarte na ich podstawie umowy kredytowe. Wkład mieszkaniowy wniesiony przez pana Czesława P. po zwolnieniu w przyszłości lokalu rotacyjnego w myśl obowiązujących obecnie przepisów będzie mu zwrócony po waloryzacji, której pioziom jest uzależniony od faktycznych kosztów w budownictwie obowiązujących na dzień zdania lokalu. Członkowie spółdzielni zwalniający lokale (również rotacyjne) zobowiązani są do pokrycia kosztów z tytułu zużycia (amortyzacji) urządzeń sanitarno-technicznych i podłóg oraz odnowienia mieszkania. Obowiązujące w naszej spółdzielni regulaminy w sposób jednoznaczny określają, że lokatorzy zdają mieszkanie w takim stanie technicznym, aby nadawało się do ponownego zasiedlenia.

NAGRODY CZEKAJĄ

— **NA TŁUMACZY**, którzy do **15 października 1989** roku nadeślą pod adresem: **Stowarzyszenie Tłumaczy Polskich, Oddział w Łodzi, 90-271 ŁÓDŹ, ul. Wschodnia 32** — trzy egzemplarze tłumaczenia prozy lub poezji pochodzącej z anglojęzycznego obszaru. Proza nie może przekraczać 10 stron maszynopisu. Podobnie poezja. Praca powinna być opatrzona godłem. Dołączyć do niej należy kopertę z takim samym godłem, w której będą dane autora. Ogólna suma nagród: 105 000 złotych. Pierwsza nagroda: 50 000 złotych. Rozstrzygnięcie w listopadzie 1989 roku.

— **NA POETÓW** nieprofesjonalnych, którzy do **15 września 1989 roku** nadeślą pod adresem: **Oddział Warszawski ZLP, ul. Krakowskie Przedmieście 87/89, 00-079 Warszawa** — 5 egzemplarzy nigdzie nie publikowanego wiersza. Jest to **Konkurs Jednego Wiersza** ogłoszony w ramach Warszawskiej Jesieni Poezji '89. Wiersz opatrzony powinien być godłem. W kopercie z tym samym godłem — dane autora. Główna nagroda: 100 000 zł. Dodatkowo: 5 wyróżnień po 50 000 zł i nagroda za wiersz o Warszawie: 60 000 zł.

— **NA KRYTYKÓW**, którzy napiszą esej lub recenzję poetycką i nadeślą do **15 września 1989 roku** pod adresem: **Oddział Warszawski ZLP, ul. Krakowskie Przedmieście 87/89, 00-079 Warszawa.** Esej nie może mieć więcej niż 20 stron maszynopisu, recenzja — 5 stron. Esej i recenzja opatrzone godłem. Dane autora w kopercie opatrzonej tym samym godłem. Pierwsza nagroda za esej — 100 000 zł, za recenzję — 75 000 zł. Konkurs ogłoszono w ramach Warszawskiej Jesieni Poetyckiej '89.

UWAGA

tylko do 31 sierpnia br.
NOWE ATRAKCYJNE CENY

Artykuły Przemysłowe,
Tekstylno-Odzieżowe

T A N I E J
do 30 proc.
Szczegóły w sklepach.

Pewex
ZAPRASZA

2583-k

ELEKTROWNIA BEŁCHATÓW

CENTRALNY OKRĘG ENERGETYCZNY ELEKTROWNIA BEŁCHATÓW

Z SIEDZIBĄ W ROGOWCU
97 406 BEŁCHATÓW 5

PRZYJMIE DO PRACY

pracowników w następujących zawodach:

- ENERGETYKÓW z wykształceniem średnim lub wyższym do pracy w systemie 4-brygadowym,
- MURARZY KOTŁOWYCH,
- MONTERÓW IZOLACJI TERMICZNEJ,
- SZKLARZY,
- MONTERÓW SPAWACZY,
- ABSOLWENTÓW SZKÓŁ ZAWODOWYCH i ŚREDNICH o kierunku łączności lub elektronika.

Przedsiębiorstwo zapewnia:
— konkurencyjne płace wg zakładowego systemu wynagrodzeń, dodatek bełchatowski, zniżkę w opłatach za energię elektryczną i szeroki wachlarz świadczeń socjalnych.

Informacji udziela Dz. Kadr Elektrowni — tel. 715-61 lub na miejscu. Dojazd z Bełchatowa autobusem spod Hotelu „Energetyk", godz. 8.57, 10.57, 12.07, 13.18.

4865-J

EX INTEX IN ®

INTEX

BIURO TURYSTYKI ZAGRANICZNEJ

POLUKS

Organizuje

7-DNIOWE WYCIECZKI samolotowo-autokarowe do TURCJI. Przelot na trasie GDAŃSK —BURGAS—GDAŃSK, przejazd autobusem do STAMBUŁU i z powrotem. Noclegi w hotelach 1 i 2-gwiazdkowych w centrum STAMBUŁU (AKSARAY). Śniadanie wliczone w koszty.
CENA: 198.000 zł + 45 USD

— 16-dniowe wycieczki do INDII i NEPALU (śniadanie kontynentalne wliczone w koszt wycieczki), 7-dniowy pobyt w DELHI i 3-dniowy w KATMANDU
CENA: 464.000 zł + 330 USD

Informacje i zapisy od poniedziałku do piątku w godz. 9—17.
ŁÓDŹ ul. Piotrkowska 18,
Telefon: 32-49-44
WARSZAWA
ul. Marchlewskiego 68
tel. 31-81-84
SOPOT ul. Powstańców Warszawy 6
Telefon: 51-03-30
51-59-84
Tlx 0512298 itex
Telefax 51-25-40 inter

2586-K

Szosa łącząca Łódź z Piotrkowem Trybunalskim przecina teren kasztelanii wolborskiej, wczesnopiastowskiej jednostki terytorialnej i administracyjnej, istniejącej w tej części Polski od XI do XIII wieku, rozciągniętej mniej więcej od Tuszyna do Pilicy. Na stromej skarpie nadpilicznej w Barkowicach Mokrych mgr **Mieczysław Góra** kilkanaście lat temu odkrył i zbadał najstarszy w tym rejonie wczesnośredniowieczny obiekt obronny strzegący przeprawy przez rzekę.

Znaczenie Barkowickiego grodu przygasło w okresie włączenia tej ziemi do monarchii piastowskiej. Kasztelanowie sprawujący w imieniu księcia władzę administracyjną i wojskową ulokowali się w pobliskiej **Rozprzy**, gdzie do dzisiaj wznoszą się resztki grodu kasztelańskiego zbadane w latach sześćdziesiątych przez dr **Aldonę Chmielowską** — kuratora Zespołu Archeologicznego Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi, oraz w **Wolborzu**, gdzie po ewentualnym grodzie nie zachowały się żadne ślady widoczne na powierzchni ziemi. Jedynym wyróżniającym się reliktem pochodzącym z wczesnego średniowiecza jest grodzisko w **Rękoraju**, datowane w wyniku badań wykopaliskowych dr A. Chmielowskiej od schyłku IX do połowy XII w., odległe od samego Wolborza o ok. 12 km.

Ośrodek kasztelański w Wolborzu, stanowiący dzisiaj zagadkę dla archeologa, decydował o rozwoju miejscowej osady, później miasta, udokumentowanym w źródłach pisanych. Już w połowie XI w. docierały stąd do opactwa w **Mogilnie** co roku 4 grzywny wzmiankowane w dokumencie zwanym „falsyfikatem mogileńskim" z 1065 r. Wzniesiony już wtedy kościół (wymieniany w 1239 r.) p.w. św. Mikołaja sugeruje istnienie dużej osady targowej. Opłaty targowe, celne, produkty rolne i leśne składały się na dziesięcinę zasilającą metropolię gnieźnieńską, o czym wspomina bulla papieża Innocentego z 1136 r. Z bulli Eugeniusza II z 1148 r. wiemy, że **Wolbórz** przeszedł na własność biskupów włocławskich. W 1215 r. odbył się tutaj synod prowincjonalny, miasto rozwijało się, a w **1273 r. Leszek Czarny** zezwolił obwieść je murami obronnymi.

Wzmianki historyczne, przytoczone w dużym skrócie, intrygują historyków i archeologów zainteresowanych wczesnośredniowiecznymi początkami Wolborza o kasztelańskim rodowodzie. W sukurs założycielowi i wieloletniemu prezesowi Stowarzyszenia Przyjaciół Wolborza ś.p. dr med. **Stefanowi Siniarskiemu** przyszła ekspedycja Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi kierowana przez dr A. Chmielowską.

Z ziemi jak z książki.

Wolbórz kasztelański

Po wstępnych badaniach w 1965—1966 r. rozpoczęła ona penetrację wykopaliskową w latach 1981—1984 wschodniej i południowej pierzei rynku. Odsłonięto wówczas fragmenty konstrukcji drewnianych i ceramikę z XIV—XV w., eksponowane czasowo w łódzkim muzeum. Wczesnośredniowieczny **Wolbórz** nadal pozostawał nieuchwytny. Do prac włączył się mgr **M. Góra** i geomorfolog mgr **P. Marosik.** Odwierty i badania powierzchniowe objęły okolicę miasteczka. Postęp badań terenowych ograniczony był skromnymi środkami, którymi — przy całej życzliwości i zrozumieniu potrzeb wykopaliskowych — dysponuje co roku wojewódzki konserwator zabytków w Piotrkowie mgr **Z. Błaszczyk.** Z pomocą organizacyjną wystąpili mieszkańcy **Wolborza**, którym nie są obojętne wyniki badań nad najstarszą historią miasta: obecny prezes Stowarzyszenia dr med. **Teresa Duda**, dyrektor Technikum Mechanizacji Rolnictwa **Z. Goliat**, z całym personelem szkoły, dyrektor Państwowego Stada Ogierów w Bogusławicach **A. Osadziński** i jego zastępcy.

Właśnie w **Bogusławicach**, oddzielonych rzeką od Wolborza, nastąpił w 1988 r. przełom w dotychczasowych poszukiwaniach. Na jednym z pól natrafiono na ślady osady z XII—XIII w., po której zostały wyraźnie rysujące się ciemne jamy wypełnione materiałem, głównie ułamkami ceramiki, datującymi obiekt. W jednej z jam odkryto rzadki zabytek sztuki sakralnej, tzw. enkolpion — brązowy krzyż (7 x 5 cm) z plastyczną postacią ukrzyżowanego Chrystusa. Ozdobne zakończenia ramion krzyża wyraźnie wskazują na ruskie, kijowskie pochodzenie zabytku i jego datowanie na XI—XIII w.

Enkolpiony pochodzące z Ziemi Świętej, opanowanej wtedy przez krzyżowców, odznaczają się prostymi ramionami krzyża. Enkolpiony, zawieszane na piersi, nosili na ogół duchowni, a ślady starcia powierzchni odkrytego okazu świadczą o długim używaniu wolborsko-bogusławickiego enkolpionu. W jaki sposób zabytek ten dostał się tutaj? Lokalna schizma raczej nie wchodzi w rachubę; prawdopodobnie przybył wraz ze swym właścicielem — duchownym prawosławnym? Kontakty rozbitej na dzielnice Polski piastowskiej z rozbitą na dzielnice Rusią były znacznie żywsze niż nam się to dzisiaj wydaje. Członkowie ruskich rodów książęcych nieraz musieli szukać schronienia na dworach polskich, małżeństwa piastowsko-ruskie też nie należały do rzadkości, częste były też wyprawy zbrojne z jednej i z drugiej strony.

Dostrzegają te fakty ostatnio także historycy ukraińscy, m.in. **A. B. Gołowko**, autor wydanej niedawno w Kijowie pracy o polsko-ruskich kontaktach politycznych w XI—XIII w. Enkolpiony odkryto przedtem na czterech stanowiskach archeologicznych w Polsce: w **Przemyślu, Czermnie** (Grody Czerwieńskie), **Krakowie i Gnieźnie.** Wolbórz uzupełnia teraz ten wykaz.

Mało prawdopodobna wydaje się więc ewentualność miejscowego wyrobu enkolpionu, chociaż coraz częściej podnosi się ostatnio kwestię lokalnych warsztatów złotniczych i menniczych. Sympozjum poświęcone monecie okresu wikińskiego w basenie bałtyckim, zorganizowane przez Szwedzką Akademię Nauk na początku czerwca 1989 r. w Sigtunie, pradawnej siedzibie władców Szwecji, dało asumpt do przedyskutowania tego zagadnienia przez specjalistów skandynawskich, niemieckich, angielskich, amerykańskich, francuskich, szwajcarskich, austriackich, czeskich, polskich i radzieckich w świetle skandynawskich, polskich i łotewskich odkryć naśladownictw monet z X—XI w. produkowanych lokalnie dla celów czysto dekoracyjnych.

Problem miejscowej produkcji biżuterii wczesnośredniowiecznej pojawia się wraz z nowymi odkryciami ozdób metalowych. Wprawdzie tegoroczne wykopaliska wolborskie dopiero się rozpoczęły, lecz drugiego dnia badań w kolejnej dziesiątej jamie osadniczej natrafiono na ozdobę kobiecą z XII—XIII w., tzw. kabłączek skroniowy — zawieszkę z drutu brązowego zaopatrzoną w uszko, przymocowywaną do przepaski na głowie w okolicy skroni. W tej samej jamie znaleziono też drobne ułamki naczyń glinianych oraz dobrze zachowany nóż żelazny z nikłymi pozostałościami drewnianej rękojeści. Początek badań tegorocznych przedstawia się obiecująco.

Podobny do wolborsko-bogusławickiego kabłączek skroniowy znany jest z wyposażenia jednego z ok. 90 grobów szkieletowych badanych prawie 30 lat temu w **Psarach**, położonych ok. 5 km od Wolborza. Tamtejsze cmentarzysko używane było przez miejscową ludność do chowania zmarłych w XI i na początku XII w., o czym świadczą liczne zabytki, m.in. topór i miecze, w większości nieco wcześniejsze od znalezionych w **Bogusławicach**. Przechowywane są one dzisiaj w Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym w Łodzi.

Nie ma dotąd pewności, czy badane w **Bogusławicach** stanowisko archeologiczne można utożsamiać z samym grodem kasztelańskim. Być może wykopy archeologiczne zlokalizowane zostały na miejscu osady podgrodowej. Suburbium Bogusławice jest wszakże wzmiankowane w źródłach średniowiecznych. Siedziba kasztelana otoczona była podporządkowanymi jej osadami wiejskimi. W ramach ogólnokrajowego tzw. archeologicznego zdjęcia Polski przeprowadzono rekonesans obejmujący dwa obszary badawcze (każdy o powierzchni 5 x 7 km) w okolicy **Wolborza** lokalizując takie domniemane osady wczesnośredniowieczne w **Krzykowicach, Świątnikach, Lubiatowie i Modrzewku.** To ewentualne plany na przyszłość. Prace wykopaliskowe zmierzające do wyjaśnienia zagadki grodu kasztelańskiego w **Wolborzu** trwają.

ANDRZEJ MIKOŁAJCZYK

1

Ktoś kompetentny

Żona pana D. wraz z dziećmi wyjechała na wczasy. Pan D. przez pierwsze kilka dni nudził się okropnie. Szybko jednak okazało się, że z miasta wyjechały także żony innych kumpli. Wystarczyło więc parę telefonów, by wesoła gromadka zaczęła zbierać się i wspólnie spędzać wieczory. Podczas owych męskich spotkań trochę popijano, trochę grano w karty, ale przede wszystkim dyskutowano o polityce. Boć przecież u nas na polityce znają się wszyscy, każdy na ten temat ma coś do powiedzenia, a ostatnio nawet zdecydowanie przybyło speców od gospodarki.

I tak, podczas pierwszego wieczoru, ktoś rzucił pytanie: czy po tym wszystkim co się stało, rzeczywiście weszliśmy w okres Czwartej Rzeczypospolitej?

— Chyba tak, choć to dopiero początek jutra — odpowiedziano mu.

— Na razie jednak znikają towary i wzrastają namiętności. Przydałoby się więcej pieniędzy a mniej głupoty — powiedział jakiś mądrala.

— Dobrze, ale co zrobić z gospodarką, idziemy w końcu po grani? — zapytał specjalista od ekonomii.

— Słusznie, jesteśmy przecież w gospodarczym pacie. Może więc należy chwycić kogo trzeba za gardło! — krzyknął radykał.

— Istnieją tu pewne szanse, ale są też i obawy, nie wiadomo bowiem od czego zacząć — łagodził nastroje liberał.

— Gospodarka powinna rozwijać się bez ingerencji — nie ustępował ekonomista.

— Nie mamy nic do stracenia — wtrącił się znowu radykał.

— Ty jesteś warchoł i buntownik, a tu chodzi o kwestię zaufania... lody w końcu pękają — ripostował liberał.

— Ale dlaczego tak późno? — atakował dalej radykał.

— Początek jest zawsze trudny, ale wypada się teraz zastanowić, w którą stronę iść? A poza tym, kłopoty to nasza specjalność... będziemy mieli taką Polskę, na jaką zasłużymy — powiedział ze smutkiem w głosie mądrala.

— Tu najważniejsze są konkrety, drogi przyjacielu, a nie ogólne pytania w stylu: jaka może być Polska? — ekonomista lekko się zdenerwował. — Problem na przykład jest: czy indeksacja może pomóc?

— Tak, ale... nie do końca... A w tej chwili prosiłbym, żebyśmy już skończyli, jutro rano niektórzy z nas muszą iść do pracy — powiedział rozsądnie gospodarz.

Został jednak zakrzyczany. Problemów bowiem z godziny na godzinę przybywało. Doszli w końcu do głosu ci, którzy pragnęliby widzieć Polskę w szerszym międzynarodowym kontekście. Padało wiele różnych pytań. Oto kilka z nich: Jakie będzie jutro Europy? Z kim rozmawiać na wschodzie? Jak wygląda sprawa Polski i Niemiec po II wojnie światowej? I tak dalej i dalej.

Zaczęło świtać, ale to nie przerwało dyskusji. Zmęczeni poszli wreszcie do pracy. Ale na następnym spotkaniu zabrakło już kilku rozmówców, ci najwytrwalsi jednak przybyli. I znowu zaczęła się wielka dyskusja. Po trzech czy czterech spotkaniach pan D. wyrzucił wszystkich już około 22.00. Nazajutrz sprzedał butelki, których trochę się nazbierało, za uzyskane pieniądze kupił sobie skrzynkę „Cytronety" i teraz po powrocie z pracy zamyka dokładnie za sobą drzwi i nikomu ich nie otwiera. Unika znajomych na ulicy, nie kupuje gazet ani nie ogląda telewizji, czyta natomiast Staffa i marzy o tym, żeby ktoś kompetentny zajął się wreszcie polityką, ale tak, by on miał święty spokój.

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

2

Lewym okiem

Przybyli ułani...

Ziemia obraca się wciąż mniej więcej jednakowo, ale wszystko, co dzieje się na jej powierzchni uległo w ostatnich dziesięciolecíach niezmiernemu przyśpieszeniu. Wielkie wynalazki techniczne starzeją się po dziesięciu, piętnastu latach, systemy społeczno-ekonomiczne stają się przeżytkami po kilkudziesięciu latach, starzeją się filozofie, światopoglądy, dezaktualizują się mapy naszych atlasów. I tylko wciąż od wielu pokoleń powtarzamy te same sentencje wielkich mędrców, te same złote myśli Greków, Rzymian, średniowiecznych i późniejszych myślicieli. Przysłowia wymyślone nie wiadomo kiedy też są ciągle aktualne, głównie chyba dlatego, że zawsze znajdą się dwa przysłowia wzajemnie się wykluczające, zawsze więc można znaleźć takie, które pasuje do danych okoliczności.

Jeszcze niezapomniany Stanisław Jerzy Lec formułował swoje lapidarne „Myśli nieuczesane" zrośnięte z naszą współczesnością. A gdyby tak spróbować pójść w ślady mistrza z całym, oczywiście, szacunkiem dla dystansu, który nas od niego dzieli? Tak sobie pomyślałem któregoś deszczowego popołudnia i oto prezentuję wam garść „Smutnych żartów" czyli cytatów na dziś:

Przybyli ułani pod okienko...
...ale było zamknięte. Przerwa śniadaniowa.
Jak się nie ma, co się lubi...
...to się narzeka na rząd.

Nie rzucim ziemi skąd nasz ród...
...chyba, że nam lepiej zapłacą.

Słuchaj dziewczko — ona nie słucha...
...ale spróbuj zagadać po szwedzku!

Po rannej rosie leć dźwięczny głosie...
...bo na telefon nie ma co liczyć.

Gdybym był młodszy, dziewczyno, gdybym był młodszy...

...to może bym doczekał własnego mieszkania.
Hej, ty, na szybkim koniu, gdzie pędzisz, kozacze?...
...czyżby w sklepie na rogu rzucili papier toaletowy?

Wsiąść do pociągu byle jakiego...
...a czy są jeszcze jakieś inne?

Hej użyjmy żywota wszak żyjem tylko raz...
...blok śniadaniowy pięć deko proszę.

Smutno mi Boże. Dla mnie na Zachodzie...
...nie ma już miejsca w przejściowych obozach.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3

Sport

Jak nie robić dobrych interesów?

Przez długi czas głośno było u nas o przedsiębiorczości i mogło się wydawać, że robienie dobrych interesów przestało być rzeczą wstydliwą. Co to są te dobre interesy? Ano, to jest coś takiego, kiedy daje się zarobić innym i zarabia się samemu. Na przykład sprzedając za granicę dobrego piłkarza. Swego czasu sprzedano Zbigniewa Bońka w ostatniej niemal chwili, zarobiono na tym nie tylko pieniądze, ale i sławę, dla polskiego piłkarza. Zbigniew Boniek zrobił karierę światową i przyczynił się do rozsławienia polskiego piłkarstwa w innych krajach. Dorobił się i nie zapomina o kraju.

Inny był los wielu piłkarzy, którzy zbyt późno zostali sprzedani za granicę. Taki los był udziałem Kazimierza Deyny, który nie zrobił międzynarodowej kariery i w angielskim klubie zasłynął głównie z tego, że grzał ławę. Teraz do Szkocji jedzie Dariusz Dziekanowski. Trudno powiedzieć, czy jedzie w ostatniej chwili, czy już za późno. Zobaczymy, co w szkockim klubie pokaże piłkarz Legii. Jak do tej pory nie miał szczęścia ani do klubów, ani do reprezentacji, ani do zagranicznych transferów. Dużo było w tym winy przede wszystkim jego samego. Tak fatalnie ustawiał się do świata, że świat nijak nie potrafił zrozumieć tej subtelnej duszy. Tak już bywa. Niektórzy nazywają to pechem.

Ale stało się. Kontrakt podpisany. Dariusz Dziekanowski jest już pracownikiem klubu Celtic Glasgow. W otoczeniu pięknej przyrody i pięknych kobiet — jak donosi na łamach krakowskiego „Tempa" Janusz Atlas — odbyło się prywatne pożegnanie Dariusza Dziekanowskiego z Polską. No i bardzo pięknie.

Ale Janusz Atlas zastanawia się nad ceną, jaką otrzymaliśmy za byłego piłkarza Legii i uważa, że gdyby go sprzedano rok temu do Pescary, to moglibyśmy wziąć za niego dwa razy tyle, co otrzymaliśmy teraz. Sprzedawaniem sportowców zajmują się u nas ludzie, którzy robić tego nie powinni, bo się na tym nie znają. Myśl tę można uogólnić, przypominając skecz z kabaretu „Dudek", w którym o interesach rozmawiali Edward Dziewoński z Wiesławem Michnikowskim. I ten ostatni zadał podstawowe pytanie: — ile trzeba stracić, aby mieć? Ta genialna myśl jakoś nie może trafić do naszych państwowych handlowców. Prywatnie każdy o tym wie, a już szczególnie, gdy się wybiera za granicę. W państwowym handlu zagranicznym obowiązuje u nas zasada brać, jak najwięcej, bo może nie być już następnego razu. I na ogół już nie ma, bo nikt nie lubi być ograbiany z pieniędzy.

Od 15 marca 1989 roku mamy nową ustawę dewizową, która między innymi pozwala klubom sportowym na zakładanie kont dewizowych. Wielu prezesów odetchnęło z dumą. Poczuli się tak samo silni jak ich koledzy z Rzymu, Londynu, Hamburga, Madrytu. Mają konta dewizowe i mogą podbijać świat. Ale ostało się tylko na poczuciu dumy, bo rzeczywistość finansowa jest daleka od marzeń i wyobrażeń.

Klub — powiedzmy — sprzedaje piłkarza za dewizy. Dostaje — załóżmy dla prostego rachunku — 100 000 dolarów. Z tego 20 000 dolarów wpłaca na swoje konto, a 80 000 dolarów sprzedaje bankowi po aktualnym kursie... bankowym. 8 lipca 1989 roku kurs ten wynosił: 1 dolar USA — 824.20 złotych. Następnego dnia ten sam klub staje do przetargu o swoje 80 000 dolarów i może je kupić, ale już po 4 800 złotych za sztukę. Czyż to nie jest czysta grabież? I kluby godzą się na to, bo nie mają innego wyjścia. Potrzebują dewiz.

Inny przykład. Klub ma ambicje i ma konto dewizowe. Kierownictwo klubu rozumie, że jego członkowie muszą mieć kontakt z zawodnikami zagranicznymi. Nic prostszego, jak zaprosić zagranicznych gości na mityng. Gościom trzeba zapewnić przyzwoite warunki życia, zapłacić za hotele. Za pobyt zagranicznych gości — choć zaprasza je krajowy klub — nie wolno płacić w polskiej walucie, ale trzeba w walucie wymienialnej. Trzeba wziąć z konta z trudem zgromadzone waluty i drogo zapłacić za pobyt gości. Jak się później prezes przyjrzy rachunkom, to już więcej żadnego mityngu z zagranicznymi sportowcami nie urządzi. Można jeszcze spróbować kazać zaproszonym płacić za siebie, ale skutek będzie taki sam. Drugiego spotkania już nie będzie.

W naszej polityce finansowej obowiązuje zasada zdzierania z kogo tylko się da i ile się da. Do końca, do ostatniego grosza. Zabrać ludziom wszystko. Jest to polityka krótkowzroczna. Trzeba coś stracić, aby coś zarobić. Trzeba mniej brać od gości, aby ich więcej przyjeżdżało, bo i pieniędzy wtedy będzie więcej. Podobnie z klubami sportowymi. Trzeba dać im możność zdobycia walut, aby poczuły się pewne, mocne, aby mogły tymi dewizami obracać z korzyścią dla sportu, a nie zabierać im wszystko, co tylko da się zabrać. Taka polityka finansowa wobec sportu nie rodzi nadziei na jego odrodzenie.

BOGDA MADEJ

OGŁOSZENIA DROBNE

ŁADNY dom na wsi — sprzedam. Łódź. 57-89-57.
41756-g

REWELACJE „TVSAT". Informacje 55-87-36.
41937-g

Superagent Tambor

(1)

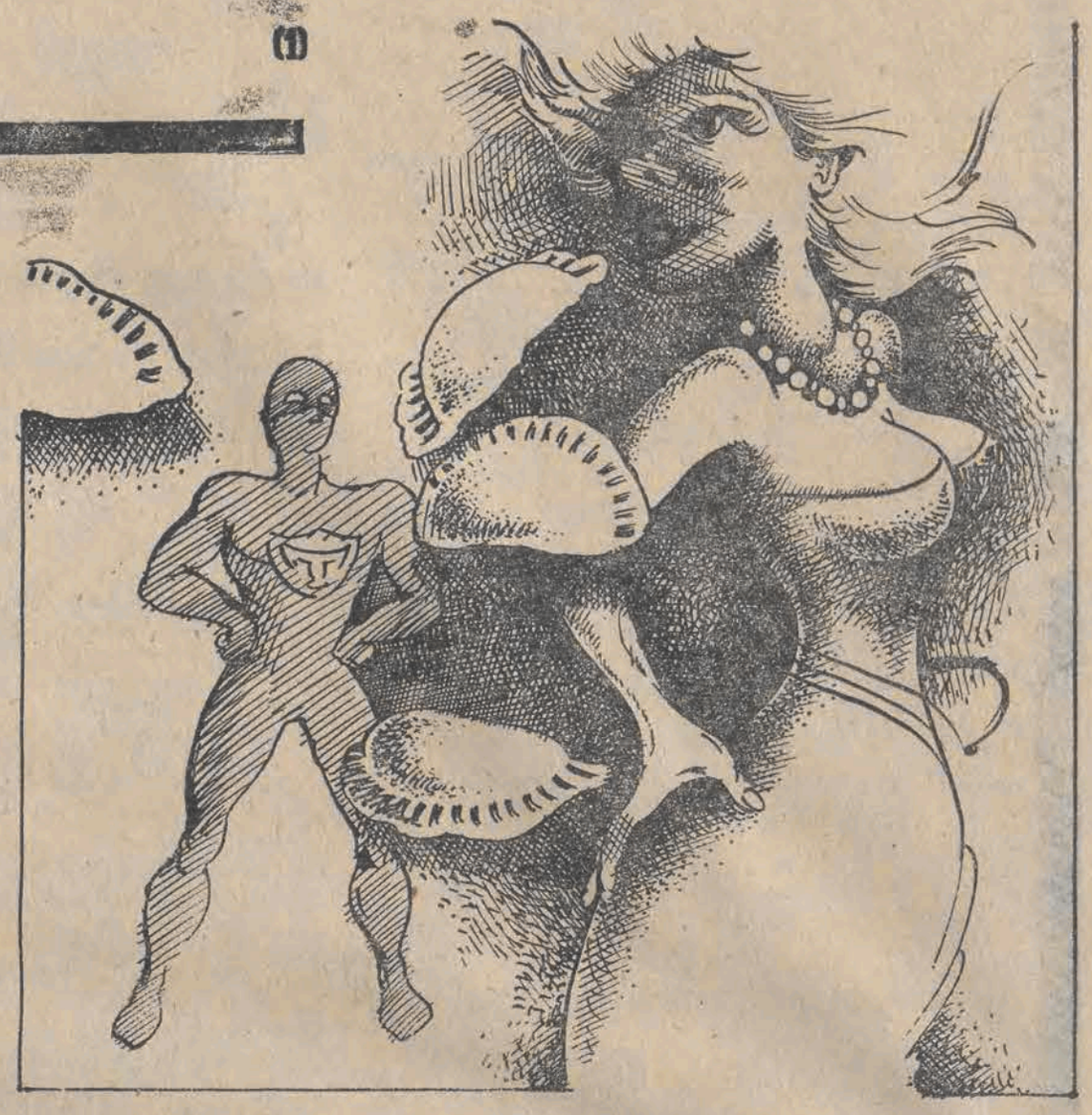

rys. Dariusz Romanowicz

JERZY JESIONOWSKI

Liza, fertyczna sekretarka pułkownika Knocka, powitała Tambora uśmiechem na cały garnitur reprezentacyjnych zębów, serwowanym tylko na cześć najznakomitszych gości szefa.

— Helo Tambo — pozdrowiła go pierwsza. — Miło mi cię widzieć, mistrzu.

— Helo Liza — odwzajemnił powitanie. — Wyglądasz coraz śliczniej. Młodniejesz?

— Dokładam starań. Codziennie zbijam jeden tydzień.

— Tylko nie przesadź. Szef nie mógłby zatrudniać nieletniej. Jest u niego ktoś?

— Nie. Czeka na ciebie, wejdź.

Pułkownik zamykał akurat masywne drzwi wielkiej kasy pancernej, wbudowanej w ścianę. Spoczywały tam dokumenty najtajniejsze z tajnych. Jak żartowano w tym gmachu, treść ich znał prócz Knocka tylko Pan Bóg i radziecki wywiad. Prezydent jedynie częściowo, w granicach konieczności, żeby nie komplikował wtrącaniem się odpowiedzialnej pracy tajnych służb.

— Melduję się, szefie — powiedział Tambor.

Pułkownik wskazał mu fotel przy stoliku z napojami.

— Siadaj. Jest nowe zadanie dla ciebie.

— Domyślałem się.

— Ważne — dodał pułkownik tonem uzasadnienia. — Nie trudziłbym cię byle czym.

— Gdzie to zadanie? W którym kraju?

— W Polsce.

— O, pierogi z kapustą! — ucieszył się Tambor. — Nareszcie najem się do woli.

— Co za pierogi z kapustą? — zdziwił się pułkownik.

— To taka polska potrawa. Delicje, rozkosz dla brzucha. Kiedy bywam w Detroit, chodzę na nie do restauracji „U brata Polaka". Gdzie indziej nie ma.

— Aha. A co więcej wiesz o Polsce?

— To bodajże u czerwonych. Gdzieś na północy, koło Szwecji. Był tam jakiś Hitler czy ktoś o podobnym nazwisku, dobrze nie pamiętam.

— U czerwonych, ale nie koło Szwecji. A Hitler to był w sąsiedztwie, nie u nich. Ale nie brnijmy w szczegóły. Dam ci broszurkę o Polsce, to sobie przed wyjazdem poczytasz. Ile czasu zajmuje ci nauczenie się obcego języka?

— Tydzień, jeśli dostanę dobry samouczek.

— Polski podobno trudny.

— To dziesięć dni.

— Pojedzie z tobą asystentka, która ci pomoże. Polski to jej ojczysty język. Do Ameryki przyjechała niedawno.

— Kim była w Polsce?

— Akrobatką cyrkową. Wyemigrowała z powodu braku swobód twórczych.

— U nas też jest akrobatką?

— Nie, w amerykańskich cyrkach nie chcieli jej przyjąć, za słaba. Usidliła naszego funkcjonariusza i on mi ją naraił do penetrowania środowisk polskich emigrantów. Niedawno się rozeszli, ale ten funkcjonariusz prosił, żeby zostawić ją w służbie, bo inaczej zażąda od niego alimentów.

— Nada się dla mnie?

— Chyba tak. Jest głupia, ale ładna i sprytna. Mężczyzn omotywać może. No i zna Polskę.

— Kiedy ją poznam?

— Kiedy chcesz. Możesz nawet dziś.

— No dobrze, a co to będzie za zadanie?

— Powiedziałem już, że ważne. Nasz tamtejszy rezydent zameldował, że w Polsce skonstruowano perpetuum mobile. Wynalazek podobno utajniono. Nasz rezydent uważa, że Polacy go nie spożytkują, utopią w biurokracji. Ale rzecz mogą przechwycić Rosjanie do swoich zbrojeń. Do tego nie wolno nam dopuścić. Musisz zdobyć ten wynalazek. A jeśli się da, przeszmuglować do nas także wynalazcę, obiecując mu, co zechce. Jasne?

Tambor sięgnął pamięcią do szkolnych lat i przypomniał sobie, czego go uczono.

— Szefie, ja do fizyki nie miałem zdolności, ale utkwiło mi w głowie, że perpetuum mobile jest niemożliwe. To sprzeczne z jakąś naukową zasadą.

— Tak twierdzą jajogłowi. Ale czy my możemy tym mędrkom dowierzać? Przecież oni kiedyś uważali, że atom jest niepodzielny, a co się potem okazało? Nie, Tambo, my nie mamy prawa im dowierzać. Nawet jeśli to polskie PM jest pomyłką, niech lepiej leży u nas, a nie u czerwonych. Tego wymaga interes Stanów Zjednoczonych.

— Tak jest, szefie. Interes Stanów Zjednoczonych to święta rzecz. Zdobędę to PM. Proszę uważać, że ma je pan już w szafie.

— Cieszę się, że to przyrzekasz. Przystąpmy do szczegółów. Ta twoja asystentka ma trzydzieści lat, a na imię Jola. Pojedzie z tobą jako żona. Ty dostaniesz dokumenty na nazwisko Stacho Swójak. Jesteś urodzonym w Ameryce Polakiem. Udajesz się do Polski z zamiarem założenia tam firmy polonijnej. Badasz warunki i możliwości, a jednocześnie poszukujesz atrakcyjnego wynalazku do produkowania. Z taką legendą będziesz mógł tropić to PM nie budząc podejrzeń. Odpowiada ci ten sposób?

— Tak.

— Szukając PM wybadasz przy okazji sytuację i nastroje w Polsce. Dostaniesz kwestionariusz z pytaniami, na które powinieneś odpowiedzieć. To zadanie dodatkowe, ale też ważne. Nie możemy zadowalać się raportami naszego rezydenta, który siedzi tam długo i mógł zatracić przenikliwość spojrzenia. Ty jedziesz do Polski pierwszy raz, więc będziesz miał oko świeże.

— Tak jest, szefie. Wypełnię zadanie ku chwale Ameryki.

Pułkownik podszedł do biurka i wyjął z szuflady samouczek języka polskiego oraz broszurkę, informującą o kraju. Wręczył obie książeczki Tamborowi i spytał:

— Kiedy chcesz poznać asystentkę?

— Jutro. Najchętniej o dziesiątej.

— Dobrze. Jutro o dziesiątej będzie na ciebie czekała w pokoju sto siódmym. Dokumenty i wszystko, co jeszcze trzeba, dostarczy wam kapitan Bedford. Życzę powodzenia.

— Dam sobie radę, szefie. Nie takie rzeczy załatwiałem. Amerykanin potrafi.

W domu Tambor zabrał się do czytania broszurki o Polsce, przeznaczonej dla udających się do tego kraju Amerykanów. Po zwięzłych danych geograficznych, z których Tambor dowiedział się, gdzie Polska leży i z kim sąsiaduje, następowały informacje polityczne. Obraz nadwiślańskiego kraju rysował się prosto i przejrzyście. Polska była totalitarną dyktaturą, a jej ludność dzieliła się na dwie nierówne części: funkcjonariuszy czerwonego reżimu oraz zniewolone społeczeństwo. Funkcjonariusze opływali w przywileje i dostatki, społeczeństwo zaś żyło w strachu i nędzy. Siłą ciemiężycielską był przede wszystkim rozbudowany aparat policji politycznej, zwanej służbą bezpieczeństwa (w skrócie SB). Rozeznanie ludzi według zewnętrznego standardu życia bywa jednak mylące, gdyż wielu funkcjonariuszy udaje niezamożnych, by infiltrować społeczeństwo. Z drugiej strony zniewoleni obywatele udają często zwolenników reżimu, by ustrzec się przed prześladowaniem lub usuwaniem z posad. Cudzoziemcy powinni przeto nie dowierzać pozorom i zdawać się na informacje niezależnych opozycjonistów, których miarodajność zasadza się na tym, że nigdzie nie pracują, przeto nie muszą się bać zwolnień. Reżim nęka ich oskarżeniami o pasożytnictwo, oni jednak pozostają nieustraszeni i nie zeszmacają się żadną kolaboracją. Społeczeństwo pokłada w niezależnych nadzieję na lepszy los Polski po przyszłym przełomie politycznym.

Po przeczytaniu broszury Tambor wiedział już, czego ma się w Polsce trzymać i gdzie szukać prawdy o niej. Wątpił, czy potrzebna mu jest w ogóle asystentka polskiego pochodzenia, postanowił wszakże nie rezygnować z niej. Mogła się jednak na coś przydać. Męcząca była tylko namolność seksualna, jakiej nieodmiennie doświadczał ze strony asystentek, ilekroć je miał.

Tambor wiedział, że kobiety nazywają go samcem stulecia, co zawdzięczał swej męskiej urodzie i kondycji seksualnej. Nie było damy w erotycznym wieku, której na jego widok nie swędziłyby uda. I nie było też takiej, która po intymnym kontakcie z nim nie łaknęłaby dalszych spotkań w łóżku. Tymczasem powtarzalne partnerki nużyły Tambora. Mimo trzydziestu pięciu lat pozostawał przeto kawalerem, by ustrzec się miłosnej katorgi ze stałą żoną. Od utrwalania romansów odwodziło go również to, że bywały już takie kochanki, które po zasmakowaniu w nim truły się, gdy dochodziło do rozstania. Starał się zatem zaspokajać swe męskie potrzeby stosując zasadę: przespać się i uciekać.

Nie można było jednak uciekać od asystentki — zwłaszcza wyznaczonej do roli żony i mieszkającej w hotelu razem. To był haracz, jaki należało płacić bez szemrania. Toteż ciekawiło Tambora, czy odkomenderowana doń teraz Jola jest rzeczywiście ładna, jak zapewnił pułkownik. Współżycie z pokraką byłoby zbyt wysoką ceną za służbową pomoc.

Jola okazała się rzeczywiście ładna — ba, śliczna — tyle że urodą cukierkową, na okładki ilustrowanych magazynów. Takie nie podniecały Tambora. Bywały jednak pomocne przy zabiegach wokół innych mężczyzn, łasych na słodziutkie twarze. Jola ze swej strony doceniła męską aparycję Tambora i dała temu wyraz.

— Aleś ty przystojny i seksowny — powiedziała z zachwytem w głosie oraz oczach. — Cycuś.

Tambor nie odwzajemnił komplementu, by nie przewracać asystentce w głowie. Powinna czuć dystans. Była w końcu pomocniczą funkcjonariuszką, a nie prawdziwą żoną. Ani nawet kochanka z wyboru.

— Swoje zadanie znasz? — spytał służbowym tonem.

— Mam ci pomagać w Polsce jako rzekoma żona. Ale w czym, nie wytłumaczyli mi.

— Ja ci wytłumaczę. Kim w ogóle jestem, wiesz?

— Powiedzieli mi, żeś superagent. Czym zarobiłeś na to miano, nie chcieli zdradzić, chociaż pytałam. Może ty mnie wtajemniczysz? Przynajmniej częściowo.

— Częściowo mogę. Ale bez szczegółów.

— Niech będzie bez szczegółów.

Po krótkim namyśle Tambor wybrał do ujawnienia przed Jolą trzy ze swoich wyczynów.

— W jednym z mocarstw uwiodłem kopistkę sztabu generalnego i zdobyłem przy jej pomocy komplet najtajniejszych planów wojskowych.

— Wielki sukces! A ta kopistka ładna była chociaż?

— Poczwara. W łóżku musiałem zasłaniać jej twarz, żeby zdławić wstręt. Taką sobie dobrali, aby mierziła obcych agentów. Ale nie ze mną takie numery. Dla mnie w służbie nie ma przeszkód. Każdą pokonam.

— Podziwiam cię. Czego więcej dokonałeś?

— W pewnym azjatyckim państwie doprowadziłem do przewrotu i zmiany rządu po myśli naszego Departamentu Stanu. Wylansowany przeze mnie premier jest przy władzy do dziś, i to bez naszych subwencji.

— Nie do wiary. Co jeszcze?

— Wysadziłem w powietrze silnie strzeżoną kopalnię uranu we wrogim nam kraju. Trudno im będzie odbudować ją. Złom i gruz. Wystarczy ci tego?

— Wystarczy. Jesteś naprawdę superagentem. Co mamy załatwić w Polsce?

— Tam podobno wynaleziono perpetuum mobile. Mam je wykraść.

— Co to jest to... jakże tam... nobile?

— Nie chodziłaś do szkoły?

Jola zawstydziła się, jednak tylko na moment.

— Chodziłam, ale miałam pod górkę, więc spóźniałam się na lekcje. Wytłumacz mi przystępnie, co to za wynalazek.

— Perpetuum mobile to urządzenie, które może funkcjonować wiecznie bez żadnego zasilania. Mówiąc przystępnie takim urządzeniem byłby na przykład samochód, nie potrzebujący benzyny ani innego paliwa.

— To wspaniale! Jaka wygoda i oszczędność! I moi rodacy wynaleźli coś takiego?

— Tak twierdzi nasz wywiad.

Jola popadła w zakłopotanie. Po chwili powiedziała:

— Nie wiem, czy powinnam pomagać w wykradaniu im tego. Jestem przecież Polką.

— Wyzbądź się skrupułów. Oni i tak tego nie spożytkują. Utopią w biurokracji, jak powiedział mi szef.

Przezwyciężywszy po tym wyjaśnieniu rozterkę Jola oznajmiła:

— No to wykradajmy. W imię boże, Tambo. Oby nam się powiodło.

— Zbędne te zaklęcia, Jolu. Dla mnie takie zadanie to bedłka.

II.

Nudząca się w samolocie Jola ponawiała próby rozmowy, ale Tambor pozostawał obojętny na jej świergot. Wertował samouczek języka polskiego, który stawiał opór jego lingwistycznej pojętności. Elementarny zasób słów dał się wprawdzie zapamiętać, ale gramatyka była bez wątpienia dziełem wyrafinowanych sadystów; pisownia także. Tambor współczuł serdecznie polskiej młodzieży szkolnej. Nie dziw, że inżynieria źle się w tym kraju rozwijała, skoro tyle trudu szło na naukę języka. Jola twierdziła zaś, że nie mniej na wkuwanie historii krzywd i męczeństwa. Zaiste — na nauki praktyczne nie mogło starczać czasu.

Na lotnisku w Warszawie Tambor zderzył się z inną pożerającą czas mitręgą. Prawie godzinę trwało wyczekiwanie przed stanowiskami kontroli paszportów, a potem służby celnej. Kraj, cierpiący na niedostatek towarów, bronił się pracowicie przed ich wwozem. Kiedy — znużony bezczynnym staniem — Tambor wydostał się z Jolą na podjazd przed halą przylotów, ujrzał z przerażeniem jeszcze jedną długą kolejkę: do taksówek, których zresztą na postoju nie było.

— Jolu, ja się tu zestarzeję, nim wykonam swoje zadanie — powiedział zaniepokojony.

— Nie pękaj — odrzekła spokojnie Jola. — Zaraz pojedziemy.

— Czym?

— Przecież nie okrętem. Taksówką. Tylko nie odzywaj się po polsku.

Jola poprowadziła go do stojącej na uboczu taksówki ze zgaszonym napisem — jakby uszkodzonej albo zajętej.

— Płacimy zielonymi — oznajmiła Jola kierowcy.

Taksówkarz obrzucił Tambora oceniającym spojrzeniem, zerknął na walizki, a potem odpowiedział Joli:

— Proszę bardzo. Do hotelu?

— Tak. Tam, gdzie są wolne pokoje.

— Okey.

Kiedy ruszyli taksówkarz stwierdził tonem uznania:

— Operatywna jesteś, dziadziu. Kontraktujesz już na lotnisku.

Jola skrzywiła się gniewnie, ale zareagowała ze spokojną godnością damy.

— Proszę zachować te pochwały dla zaprzyjaźnionych panienek z hoteli. Ja jestem żoną.

— O, przepraszam, madame — pokajał się taksówkarz i podczas dalszej jazdy milczał. Kiedy zatrzymali się przed hotelem, Tambor spytał po angielsku:

— Ile?

— Pięć — odrzekł taksówkarz w tymże języku.

Jola znowu wkroczyła po polsku.

— Proszę nie uważać mojego męża za jelenia. Dwa to już będzie z sutym napiwkiem. — Zwróciła się do Tambora po angielsku: — Zapłać dwa, kochanie.

Taksówkarz przyjął dwa dolary z miną znieważonego i nie odpowiedział na pożegnalne pozdrowienie Tambora. Od drzwi hotelu podszedł bagażowy i zajął się walizkami. Ten grzecznie podziękował za wręczonego mu w pokoju dolara.

Po posiłku w samolocie Tambor był jeszcze syty, lecz nie mógł się oprzeć żądzy pierogów z kapustą. Toteż zaraz po rozpakowaniu się zaproponował Joli zejście do restauracji.

— Nie jestem głodna — odrzekła. — Mam ochotę tylko na kawę.

— To napijesz się kawy, a ja przekąszę co nieco.

W restauracji zaczęło się czekanie na kelnera. Polska niespieszność budziła już w Tamborze lęk, bo naprawdę wróżyła źle jego misji. Nie wszędzie przecież można było radzić sobie tak, jak z taksówką na lotnisku. Kelner podszedł w końcu z wyrazem udręki na twarzy. Może to skutek zniewolenia przez reżim? — przemknęło Tamborowi przez głowę. Może ten biedny człowiek pracuje tu przymusowo? To by wiele wyjaśniało.

— Słucham — powiedział kelner oschle.

— Pierogi z kapustą, woda mineralny i dwa kawy — zamówił Tambor swą niezdarną jeszcze polszczyzną.

Kelner spojrzał na niego ze zdziwieniem i niesmakiem.

— Pierogów z kapustą nie mamy w karcie — odpowiedział.

— To zrobić na zamówienie. Ja płacić, co kosztuje.

Zdezorientowany kelner oddalił się w stronę swoich siedzących przy służbowym stoliku kolegów. Tymczasem Jola poinformowała Tambora:

— Tu nie dostaniesz pierogów z kapustą, Tambo.

— Dlaczego?

— Za dużo przy nich roboty.

— To niech drożej liczą.

— Nie ma chętnych do pracy.

— Nie chcą zarobić?

— Zarobić to chcą, ale nie w męczący sposób. Nasz naród nie jest tak pazerny na pracę jak Amerykanie. Mamy swój honor.

— Jola zamilkła. Trwała natomiast rozmowa przy stoliku kelnerów. Tambor natężył słuch.

— To jakiś łachudra — orzekł pogardliwie ktoryś z kelnerów. — Przyszedł z dziewczyną i chce ją poderwać na pierogi.

— Udaje w dodatku cudzoziemca — *Tambor rozpoznał* głos kelnera, z którym rozmawiał. — Kaleczy język. Mam iść do kuchni pytać, czy zrobią te pierogi?

— Nie ośmieszaj się. Powiedz mu twardo, że nie ma, i niech spierdala.

— Też tak uważam — poparł przedmówcę trzeci głos. — Głupia ta ładna babka, że dalej z nim siedzi. Szkoda czasu.

Kelner wrócił do Tambora z jeszcze większą niż przedtem udręką na twarzy.

— Niestety, proszę pana, nie możemy podać tych pierogów. Nie ma.

— A szef jest? — nie ustępował Tambor, rozogniony apetytem na swój przysmak.

— Powinien jeszcze być.

— To poproszę szefa.

Czekanie na szefa przeciągnęło się do prawie kwadransa. Wreszcie zjawił się. Wyglądał na mniej udręczonego niż jego podwładny, jednakże odpowiedź była taka sama.

— Niestety, proszę pana, nie możemy wykonać tego zamówienia. Nie dowieźli nam dziś kapusty. Służymy chętnie daniami z karty. Podać może jakiś alkohol? Mamy bogaty wybór.

Tambor zrozumiał, że podawanie alkoholu męczy personel najmniej. Nie miał jednak ochoty na żaden mocny trunek. Skończyło się na kawie, wodzie mineralnej i nadziei, że da się upolować pierogi z kapustą gdzie indziej. Jola pocieszyła Tambora, że może na prowincji opłaca się restauratorom je serwować, lecz nie było w jej głosie wiary w to przypuszczenie. Tambor przeczuwał już, że Polska to nie Detroit, gdzie nadwiślański rodak poniżał się lepiąc pierogi.

C.D.N.